





DEKALOG NARODOWEGO PRZETRWANIA

CO MA SMARTFON DO POSIADANIA DZIECI

WILDSTEIN: KRYPTODYKTATURA W NATARCIU

WŁADZA UDERZA W PRAWICOWYCH DZIENNIKARZY

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

22 (704) 2026
25–31 maja 2026
CENA: 13,90 zł
(w tym 8% VAT)

MAREK BUDZISZ ALARMUJE:

ZACZĘŁA SIĘ WIELKA GRA

MNOŻĄ SIĘ PROWOKACJE.
KREML ESKALUJE NAPIĘCIE.
CZY UDERZY?
JAK ODPOWIE ZACHÓD?

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
9 772544 269601 22
Numer w sprzedaży do 1 VI 2026 r.

NOWOŚĆ! PRENUMERATA PRZEZ InPost

Wybierz swój Paczkomat®
i czytaj SIECI
już w poniedziałek



Zyskujesz też możliwość
czytania SIECI
na telefonie



- **dostawa już w poniedziałek** przez Paczkomat®
- dodatkowo **dostęp do e-prenumeraty** SIECI i e-booków Sieci Extra niedostępnych dla innych czytelników
- **cena niższa niż w kiosku** – tylko 9,39 zł za egzemplarz (w kiosku to 13,90 zł)
- opcja zmiany na inny Paczkomat® (np. na czas urlopu)
- darmowa dostawa

Zamów już dziś prenumeratę przez Paczkomat!

prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl ab1a4acd9d

Pogarda Obywatelska

Demokracja nie jest dla przegranych – powiedziała nam rządząca większość. Rozumiemy te bandyterkę, ale wtedy nie jest to już demokracja.

Sprzeciw Senatu wobec wniosku prezydenta Karola Nawrockiego o referendum w sprawie Zielonego Ładu to policzek wymierzony nie tylko głowie państwa i 100 tys. ludzi, którzy w minioną środę maszerowali Traktem Królewskim w Warszawie. To odwrócenie się plecami do całego narodu, który dopiero odczuje koszty unijnego ekoszaleństwa.

Jak bardzo? Senatorom próbował to uzmysłowić szef gabinetu prezydenta. Paweł Szefernaker przywoływał w izbie wyższej m.in. analizy banku PKO BP, według których wdrożenie pakietu Fit for 55 może kosztować Polskę ponad 527 mld euro do 2030 r., czyli tyle, ile wydamy przez 35 lat na program 800+. A to, co zapisano w Krajowym Planie w dziedzinie Energii i Klimatu, przewiduje wydatki liczone w bilionach złotych. „Do 2040 r. Polska może zostać zmuszona do wydania nawet 3,5 bln zł na realizację polityki klimatycznej. Czy naród ma prawo, czy nie ma prawa wypowiadać się o skali tych kosztów?" – pytał prezydencki minister.

Do dania odporu argumentom Szefernakera wyznaczono Stanisława Gawłowskiego, czyli najbardziej skompromitowanego z senatorów, skazanego na bezwzględne więzienie (na razie w I instancji) za udział w tzw. aferze melioracyjnej. Prokuratura zarzuca mu, że przyjął łapówki w zamian za pomoc w zdobywaniu wielomilionowych kontraktów. I tenże Gawłowski próbował obarczać odpowiedzialnością za koszty polityki klimatycznej poprzedników, oskarżając ich m.in. o wydawanie pieniędzy z podatków ETS, w tym na dotowanie nierentownych kopalń czy tarcze energetyczne dla Polaków. Tyle że te kopalnie stały się nierentowne m.in. przez unijną ekoszajbę.

Zresztą nie ma co wchodzić w polemikę z Gawłowskim. Nie trzeba już wielkich analiz, by zrozumieć, że religia europejskiego klimatyzmu nie ma żadnego uzasadnienia. Skoro Unia Europejska odpowiada jedynie za 6 proc. światowej emisji dwutlenku węgla, a Chiny i Indie – najwięksi jego emitenci – w ostatnich trzech dekadach zwiększyły produkcję CO_2 o odpowiednio 300 i 220 proc., to jaki jest sens rżnąć gospodarkę państw Starego Kontynentu? Im bardziej zaciskamy sobie pętlę, tym bardziej jest to idiotyczne, bo tym mniejsze ma znaczenie dla całego globu – abstrahując już od bezsensowności podstawowego założenia ekoszaleństwa, jakoby człowiek miał wpływ na zmiany klimatu, i to jeszcze większy niż np. aktywność naszej gwiazdy.

Czy obóz rządzący, wyrzucając do kosza prezydencki wniosek, pozbył się problemu i Polacy pokochają teraz Zielony Ład? Nie, ta kula śniegowa będzie rosnąć – podwyżki cen wszystkiego (prawdziwy horror zacznie się po wprowadzeniu systemu ETS2, przesuniętego na 2028 r., gdy już przewalą się wszystkie ważne wybory w krajach członkowskich), kolejne upadające zakłady, a wręcz znikające całe gałęzie przemysłu nie dadzą się zignorować. To będzie tylko niewielkie odsunięcie agonii w czasie, a nie próba wyleczenia chorego organizmu. I to Donald Tusk bierze za to odpowiedzialność. Nie będzie mu to zapomniane.

Wróci doń także kolejna próba zabrania nam kluczowego demokratycznego mechanizmu – referendum samorządowego. Gdy ślemy do drukarni ten numer „Sieci", nie wiemy jeszcze, czy uda się odwołać Aleksandra Miszalskiego z fotela prezydenta Krakowa oraz radę miasta. Wiemy za to, że główna partia rządząca jest obywatelska tylko wtedy, gdy marzy o władzy. Gdy zaś ją już zdobędzie, obywatelskością gardzi.

Namawianie do bojkotu kolejnego referendum (poprzednio w udany sposób zrobili to jesienią 2023 r.) jest tyleż haniebne, co dowodzi przerażenia w partii Tuska. Wiedzieli, że Krakowianie mają dla Miszalskiego tylko czerwoną kartkę, że nie da się im wmówić, iż to porządny gospodarz, skoro zaczął zmieniać zdanie w sprawach gardłowych dla mieszkańców dopiero wtedy, gdy przy jego skroni pojawił się referendalny pistolet.

Powtórzmy: to wróci, acz z większą siłą. Pytanie, w których jeszcze miastach i z jakim wpływem na wyniki przyszłorocznych wyborów parlamentarnych.

Marek Pyza



Autopromocja

eprasa.pl ab1a4acd9d

SIECI

spis treści



37 Maja, co karpia zdradziła
Konrad Kołodziejski



43 Robert I Wielki
Stanisław Janecki



56 Sojusz w cieniu rzezi wołyńskiej
Stanisław Płużański

NA POCZĄTEK

5 **IDEE MAJĄ KONSEKWENCJE**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **POLITYCZNE KOMPROMITACJE**
Dorota Łosiewicz

9 **RUDY I BRUDY**
MuMa

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **ORDER DLA MERKEL. BRUKSELA HONORUJE ZA NAJWIĘKSZE BŁĘDY**
Daniel Obajtek

13 **ŻYWNOŚĆ – RZECZ STRATEGICZNA**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA BASI HRYCAJ**
Michał Korsun

16 **(NIE)ZASŁUŻONA DLA EUROPY**
Arkadiusz Mularczyk

17 **POSIEW NIENAWIŚCI**
Jan Pietrzak

17 **NIEBEZPIECZNE FIKSACJE TUSKA**
Samuel Pereira

18 **WYMIAR ZEMSTY**
Ryszard Makowski

TEMAT TYGODNIA

20 **ROSJANIE URUCHOMILI SCENARIUSZ ESKALACJI WOBEC PAŃSTW NATO**
Marek Budzisz

24 **ZIMNY PRYSZNIC Z WASZYNGTONU**
Piotr Gursztyn

KRAJ

28 **LIBERALNY KOSTIUM FASZYZMU**
Bronisław Wildstein

32 **ŚCIGANI: ZBIGNIEW ZIOBRO I WALDEMAR ŻUREK**
Dariusz Matuszak

34 **KONIEC BEZKARNOŚCI PSEUDOMEDYCZNYCH GURU**
Dorota Łosiewicz

37 **MAJA, CO KARPIA ZDRADZIŁA**
Konrad Kołodziejski

40 **CYWILIZACJA ŚMIERCI W WERSJI SMART**
Maciej Walaszczyk

43 **ROBERT I WIELKI**
Stanisław Janecki

46 **ŚPIEW I POLITYKA**
Marzena Nykiel

OPINIE

48 **PREZYDENT NAWROCKI TO GŁOS POLSKI**
Z Ryszardem Czarneckim rozmawia Jerzy Szmit

ŚWIAT

51 **ZATRZYMANA BRYGADA**
Jan Rokita

54 **WOJNA IKON W GLOBALNEJ WIOSCE**
Grzegorz Górny

HISTORIA

56 **SOJUSZ W CIENIU RZEZI WOŁYŃSKIEJ – POLSKO-UKRAIŃSKI ATAK NA HRUBIESZÓW**
Stanisław Płużański

SIECI KULTURY

59 **FILMOWE OJCZYZNY**
Jolanta Gajda-Zadworna

61 **20 LAT I… TAK WIELE**
Marek Jurek

62 **HITY I KITY**
Piotr Zaremba

GOSPODARKA

64 **BOLI MNIE CZAS STRACONY PRZEZ POLSKĘ**
Z Danielem Obajtkiem rozmawia Maciej Wośko

PODRÓŻE

66 **MOJE SZLAKI, MOJE SMAKI: MARIA PASQUALE**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

67 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

68 **PASZA DEMONÓW**
Robert Tekieli

70 **PRECZ Z KOMUNĄ**
Wojciech Reszczyński

71 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

72 **STARY UNIWERSYTET**
Aleksander Nalaskowski

73 **KSIĄŻE WILLIAM W SZATNI Z LWAMI**
Ryszard Czarnecki

74 **CYFROWA PYTIA DELFICKA**
Katarzyna Zybertowicz

eprasa.pl ab1a4acd9d

BRONISŁAW WILDSTEIN

Idee mają konsekwencje

Historia „Gazety Wyborczej" ciągle nie została napisana. Najciekawsze w niej jest to, że stając się egzemplifikacją przytoczonej w tytule maksymy Richarda Weavera, wymknęła się z rąk Adama Michnika, swojego twórcy i animatora, oraz poszła w kierunku, który nie przyszedł mu do głowy.

Jej naczelny to par excellence polityk. Potrafił, nie licząc się z niczym, przekształcić organ opozycji, bo tym w założeniu była „GW", w narzędzie projektu daleko odbiegającego od oczekiwań, jakie wiązała z nim większość solidarnościowej zbiorowości. Zgodnie z planem Michnika dziennik miał ugruntować w Polsce dominację układu, który tworzyła część solidarnościowych elit z liberalnym skrzydłem PZPR. Ten alians, w którym postkomuniści – jak sądził naczelny „GW" – skazani są na wasalną rolę, miał przejąć władzę na czas wystarczający do przeprowadzenia w kraju niezbędnych reform, zmodernizowania go i zeuropeizowania. W tym celu miał zablokować jakiekolwiek rozliczenie z totalitarną epoką, przekreślić dekomunizację oraz lustrację i „przeanielić Polaków" w liberalnym duchu. Był to pomysł stworzenia w Polsce modelowej „demokracji liberalnej", czyli oligarchii rządzonej przez oświeconych.

Na początku lat 90. wydawał się bliski realizacji, chociaż okazało się, że przejmujący polską gospodarkę postkomuniści z pozycji wasalnej dość szybko przesunęli się na dominującą. Spowodowało to ich konflikt z „GW" uwieńczony aferą Rywina i okresowym załamaniem się III RP.

Dla Michnika zablokowanie dekomunizacji i lustracji było politycznym rozwiązaniem bez żadnych ideowych konsekwencji. Jednakowoż w celu przeprowadzenia go trzeba było uruchomić retorykę, która odwołuje się do ideowych argumentów. Trzeba było zanegować i odwrócić fundamentalne normy etyczne, zasadę sprawiedliwości oraz wartości, do których musi odwoływać się narodowa wspólnota, aby przetrwać. Szybko zatem okazało się, że i ją trzeba zakwestionować, zbudować pedagogikę wstydu, która będzie polskość identyfikować ze sromotą, co zresztą korespondowało z ideologią emancypacji zaczynającą dominować na Zachodzie. Jej wrogiem jest każda, zwłaszcza narodowa, tożsamość.

W efekcie uruchomiony został proces przechodzenia „GW" na skrajnie lewicowe pozycje, które wcale nie były bliskie jej naczelnemu. Doprowadziło to do ideowego skolonizowania dziennika przez środowisko „Krytyki Politycznej". „Wyborcza" stała się organem ideologicznej rewolucji, której znaczenia Michnik nie uświadamiał sobie do końca i nie we wszystkim budziła jego sympatię, ale której siłą rzeczy musiał stopniowo ulegać. Stał się ofiarą mentalnej logiki, którą nieświadomie uruchomił.

Przypomniałem to sobie, czytając artykuł Piotra Gursztyna („Sieci", nr 19) „O Agorze bez znieczulenia". Punktem wyjścia dla autora jest książka byłego dziennikarza „GW", Marcina Kąckiego, „Bez znieczulenia". Pokazuje ona m.in. marginalizację Michnika, który dla ideologicznie rozgrzanej ekipy swojej gazety staje się wyłącznie dziadersem, co powoduje, że również przez nowy zarząd nie jest traktowany poważnie.

Tekst Kąckiego to biadania odrzuconego wyznawcy sekty, w jaką przekształciła się redakcja „GW". Użala się on, że w trakcie kampanii #MeToo, której był wiernym rzecznikiem, został pomówiony o występek przeciw niej. Nie popełnił go, ale środowisko nie dochodziło prawdy. Powodowane ideologiczną żarliwością przekreśliło Kąckiego.

Nie zdaje on sobie sprawy, że sam przyłożył do tego rękę, uczestnicząc w organizowaniu kampanii rewolucyjnej. To zjawisko podobne do casusu Michnika, który w politycznym celu odwołał się do liberalnego radykalizmu i uruchomił proces, nad którym nie był w stanie zapanować. W efekcie demiurgowi medialnemu instrument wyrwał się z rąk.

Rewolucja karmi się histerycznym wzmożeniem. Mobilizuje bojowników, zaognia spory, i permanentnie rozlicza ich z wierności sprawie oraz unicestwia za odstępstwa, tudzież brak należytego zaangażowania.

Właściwą, rewolucyjną postawę reprezentuje twórca „Krytyki Politycznej" Sławomir Sierakowski. „Jak chcemy dać głos wykluczanym dotąd kulturom, jednostkom i podmiotom, to dajmy im też prawo i wolność, żeby zrobić czasami coś głupiego. Jeśli jednemu czy drugiemu facetowi stanie się krzywda po pięciu tysiącach lat patriarchatu, bo został źle potraktowany przez Mee Too, to nie jest to żaden problem".

Aby zrobić omlet, trzeba rozbić jajka. Oto metoda lewicowych rewolucji. Obserwatorzy żalili się, że w ich skutek widzą sterty połamanych skorup ludzkich, ale omletów ciągle brak. Sierakowski odpowiedziałby, że widocznie roztrzaskano za mało jajek.

Naczelnemu „KP" wydaje się, że dopóki będzie bronił czystości doktryny i gromił odstępców, dopóty jemu nic nie grozi. Może się przeliczyć, ale nie interesuje mnie to. Historia „Wyborczej", Michnika i Kąckiego jest ważna jako obraz trudnej do zakwestionowania logiki ideologicznej. Warto ją analizować.



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl ab1a4acd9d



Sygnalista nadaje

Nowa praworządna tradycja – policja odwiedza podejrzany element. Patrole sił porządkowych sprawdziły już mieszkania (a właściwie meliny) osób powiązanych z jedną z prawackich szczujni o nazwie Republika. Dokonały też inspekcji w innej prawackiej szczujni, czyli w telewizji wPolsce24. Najważniejsza interwencja została podjęta w ogródku mieszkańca Żoliborza Jarosława K., podejrzewanego o to, że kieruje organizacją o nazwie Prawo i Sprawiedliwość. Niestety na razie patrol nie wykrył żadnych ładunków wybuchowych. Ważna jest jednak prewencja. Obywatelu demokrato! Jeśli znasz adresy jakichś prawaków lub kryptoprawaków, natychmiast je zgłaszaj. Najlepiej do Rzecznika Praw Dziecka, tam zostanie nadany dalszy bieg sprawom.

W tym miejscu warto się pochwalić kolejnym osiągnięciem Polski Uśmiechniętej. Dzięki wizytom policji u osób powiązanych z prawackimi mediami nasz kraj znów poszybuje w górę w światowych rankingach wolności prasy. Zdawało się, że trudno będzie pobić rekord, który uzyskaliśmy dzięki ***płk. Bartłomiejowi Sienkiewiczowi*** w momencie przejmowania TVP (wtedy jeszcze nie w likwidacji), gdy Polska wyzerowała licznik rankingu. Jest jednak szansa, że tym razem znów przekręcimy cały licznik.

Rysiek Petru w najlepszej formie. Na spotkaniu w Sejmie obwieścił, że wita pana z Departamentu Zwalczania Przedsiębiorczości. Kiedyś to był Departament Zwalczania Przestępczości, ale widać zmieniły się priorytety. Takiego Ryśka kochamy. Ostatnio brakowało nam jego błyskotliwego intelektu. Niech też nikt nie będzie zdziwiony, że na takiego gościa lecą wszystkie laski. Nie wierzycie? Zapytajcie panią poseł Olę Leo. Zapytajcie i zazdrośćcie!

Z ciekawą inicjatywą ustrojową wystąpiła autorytetka moralna strony demokratycznej, Dorota Obława-Augustowska. „Problem tkwi w ludziach" – zauważyła błyskotliwie w czasie rozmowy o tym, czy Polska potrzebuje prezydenta wybieranego w wyborach powszechnych. Otóż wiadomo, że nie potrzebuje, gdyż lokalna ludność wybiera kandydatów, na których nie wypada głosować. Niech nazwiska Kaczyński, Duda i Nawrocki uzmysłowią nam tę przykrą prawdę. W debacie uczestniczyła też jeszcze jedna osoba autorytecka – Eliza Xero-Michalik (kiedyś dziewczyna Tomka Sakiewicza, dzisiaj całkowicie po stronie demokratycznej). Ona również poparła pomysł, aby o wyborze prezydenta nie decydowali ludzie, którzy nie dorośli do demokracji. Bardzo ciekawa dyskusja. Czekamy jeszcze na opinię pana Janka Pińskiego.

Znacie babeczkę, która nazywa się Joanna Beata Wicha? No dobra, głupie pytanie, bo nikt jej nie zna. Może trochę mąż. Ale trzeba się nią zainteresować, bo z zawodu to niby zwykła piguła, ale okazuje się, że to całkiem chytra baba. Najpierw zapisała się do partii Razem i dostała się do Sejmu. Gdy jednak brodaty Duńczyk obraził się na słuszną linię naszej władzy, nie poszła z nim do opozycji – wolała zostać po

eprasa.pl ab1a4acd9d

stronie konfitur. I teraz najciekawsze: Aśka Beata czyha na stanowisko Jolki Sobierańskiej-Grendy. Chce zostać osobą ministerską zdrowia. W sumie warto, bo wtedy inne piguły, a nawet lekarze, będą do niej mówiły „pani minister". Społeczeństwo też zyska, bo łatwiej zapamiętać nazwisko Wicha niż Jakośtamska-Grenda. Jeśli zaś chodzi o jakość leczenia, to chyba lepiej to zrobić prywatnie.



Skandal niesłychany! Pisiory nadal mają pieniądze! Do Państwowej Komisji Wyborczej trafiło sprawozdanie finansowe ciągle niezdelegalizowanej partii kaczystowskiej. Okazało się, że jej zwolennicy wpłacili pieniądze większe niż kwota zablokowanej przez Andrzeja Domańskiego subwencji budżetowej. Kaczyści bezwstydnie przyznają, że ich partia by zbankrutowała, gdyby nie darowizny. Dostali 11 mln peelenów. Demokracja walcząca staje przed kolejnym wyzwaniem. Dlaczego dopuszczono do tej sytuacji? Czy policja, która interweniowała w ogródku Jarosława K., nie może przyjść do mieszkań tych wszystkich, którzy finansują kaczyzm? Po co kupiono policji kajdanki zespolone, jeśli właśnie nie po to?



Ofiarą kaczystowskiej inwazji stanie się miasto Gorzów Wielkopolski. Tam w początku czerwca ma odbyć się lokalny Parteitag, na którym wspólnie wystąpią Przemysław Czarnek i Mateusz Morawiecki. Ramię w ramię! W myśl hasła: „Bo wszyscy pisowcy to jedna rodzina... Przemek czy Mateusz... harcerz czy maślarz".



Jeśli chodzi o jedność pisowską, to ukazał się ciekawy sondaż: 43 proc. wyborców PiS uważa, że Morawiecki nie powinien zakładać własnej partii. A 23 proc. popiera ten pomysł. To jednak nie jest ważne! Liczy się to, że 100 proc. wyborców Koalicji Obywatelskiej uważa, że Morawiecki powinien założyć swoją własną partię.



Wszystko już jasne. Wiadomo, jaką drogą ***Zbigniew Z.*** uciekł do Ameryki. Wyleciał z lotniska w Mediolanie, a jego żona Pati Koti z lotniska w Wenecji. Co łączy oba miasta? To, że leżą we Włoszech. Kraju rządzonym przez kumpelę tego Nawrockiego z Gdańska. Panie ministrze Waldku Żurku, żądamy ekstradycji Giorgii Meloni!



Nasz Drwal Praworządności nie zasypia gruszek w popiele. Zapowiada, że nie popuści Amerykanom w sprawie Zbigniewa Z. ***Minister Waldek*** jest też na etapie lokalizowania miejsca pobytu zbiega: „W stanie Waszyngton. W najbardziej znanym Waszyngtonie, nie chcę ujawniać" – ujawnił część tajemnicy. Trzeba przyznać – misterna robota. Bo nie jest łatwo ustalić, gdzie ukrywa się tak przebiegły zbieg: stan Waszyngton czy Waszyngton DC? A może Austria lub Australia? Lub Iran i Irak? Laponia czy Japonia? To trudne zadanie, więc głowią się nad nim tak tęgie głowy jak pan minister Żurek.

Uwaga! Jest też oczywiście plan B (a w zanadrzu C, D i tak dalej do Z, Ż, Ź). Biuletyn Silnych Razem „Gazeta Wyborcza" donosi, że Waldemar Żurek planuje osobiście polecieć do USA, aby przekonać Amerykanów, by ci oddali mu Z. Ziobrę: „Wszystkiemu towarzyszą uspokajające komunikaty, że wniosek o ekstradycję już jest gotowy, a powrót ściganego Ziobry to kwestia czasu. I przekonywanie, że Polska z pewnością dotrze ze swoimi argumentami do sojuszników, że to sprawa kryminalna, a nie polityczna. Być może do USA poleci z misją informacyjną Waldemar Żurek" – czytamy. Świetny plan. Co może się nie udać?

Jeśli chodzi o ucieczkę Ziobry i Romanowskiego, to przyjechał z wizytą pan Magyar z Węgier. Trochę wyszedł z tego zgrzyt, ale to z jego winy. Miał przywieźć głowy obu zbrodniarzy. Obiecywał, że zrobi to pierwszego dnia, a wszyscy wiemy, jak się skończyło. W tej sytuacji Pan Premier Donald Franciszek nie miał innego wyjścia, jak tylko skarcić pana Magyara. Po pierwsze, za karę nie przyjął go w Kancelarii Premiera, ale w swej służbowej miejscówce przy ul. Parkowej. Nawet nie macie wyobrażenia, jak obskurna jest ta dziura. Ale ten pogrobowiec Orbána na nic lepszego nie zasłużył. To jednak nie koniec. Zamiast jakiegoś fajnego prezentu Węgier dostał badziewiaste platformerskie serduszka (made in China). No i rzecz najbrutalniejsza, która go spotkała – został wywieziony do Gdańska i skazany na spotkanie z... Tak, już sami się domyślacie! Z legendarnym noblistą. A nawet krótka rozmowa z Lechem Wałęsą jest czymś dużo gorszym niż to, co spotkało Marsellusa Wallace'a w „Pulp Fiction".

Zdarzało mi się mieć mdłości – wyznał szczerze ***Szymek Hołownia***. Te mdłości zdarzają mu się po spotkaniach koalicji i posiedzeniach Sejmu. Okropna przypadłość. Ale my, demokraci walczący, wiemy, od czego mu się to wzięło. Wszystko przez to, że dał się skusić na darmową michę u Adama Bielana. Pisiory czegoś mu dosypały. A mógł napić się wina z panem premierem. Albo zapalić z nim cygaro. Grzesiek Schetyna pił dużo wina z panem premierem i palił z nim cygara. Tak samo Mirek Drzewiecki. I co, źle na tym wyszli? Nie skarżą się, to chyba dobrze.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor x3, Julita Szewczyk

eprasa.pl ab1a4acd9d

WIEŻA BAB

Polityczne kompromitacje

Według Klaudii Jachiry wilki atakują ludzi dlatego, że jako szczeniaki zostały przez nich zabrane z lasu. Mszczą się czy co?

Tydzień bez politycznych kompromitacji byłby tygodniem straconym.

Europosłanka KO Marta Wcisło stwierdziła, że rakieta Piorun jest „produkowana ręcznie". Powód? Brak środków na automatyzację. Pani Wcisło odkryła właśnie nową gałąź przemysłu zbrojeniowego: rzemiosło ludowe. Według tej wizji gdzieś w hali Mesko siedzi pan Heniek w fartuchu, obok pani Krysia z lutownicą i wspólnie dłubią Pioruny – między haftowaniem serwetek a lepieniem pierogów.

Tymczasem rzeczywistość wygląda odrobinę inaczej. Piorun to nie karmnik dla sikorek składany w garażu, tylko jeden z najbardziej zaawansowanych technologicznie systemów przeciwlotniczych w Europie. Głowica naprowadzająca jest montowana w sterylnych pomieszczeniach typu clean room, silniki powstają w wyspecjalizowanych zakładach chemicznych, elektronikę integrują precyzyjne linie produkcyjne, a całość przechodzi testy klimatyczne i wibracyjne. To bardziej NASA niż „zrób to sam". Ale najwyraźniej w wyobraźni pani europoseł proces wygląda tak:

– Janusz, podałeś już śrubokręt do rakiety?

– Nie mogę, bo Wiesiek jeszcze hebluje zapalnik.

Najlepsze jest jednak to, że autorka tej technologicznej rewelacji zasiada w Komisji Bezpieczeństwa i Obrony Parlamentu Europejskiego. To trochę tak, jakby członek komisji transportu uważał, że Airbusy powstają metodą origami, a elektrownie atomowe rozpala się zapałką i dmuchaniem.

„Ręcznie produkowane rakiety" brzmią romantycznie, ale niestety mają tyle wspólnego z rzeczywistością, co średniowieczny alchemik z inżynierią rakietową. Owszem, przy końcowym montażu i kontroli jakości pracują ludzie – podobnie jak ludzie składają Ferrari czy satelity. Nikt jednak nie mówi, że Ferrari jest „robione ręcznie", bo mechanik dokręcił śrubę.

Może warto przypomnieć, że Pioruny kupują dziś kolejne państwa NATO, a ich skuteczność została potwierdzona bojowo na Ukrainie. To produkt polskiej myśli technicznej, wymagający automatyki, CNC, elektroniki i bardzo zaawansowanej technologii materiałowej. Nie cepa, młotka i stołu stolarskiego.



Po tej wypowiedzi można odnieść wrażenie, że część polityków poznaje przemysł obronny głównie z seriali z lat 80. ub.w. Pozostaje mieć nadzieję, że przy omawianiu bezpieczeństwa Europy nikt nie zapyta, czy rakiety są odpalane korbką.

Jest jeszcze Anna Maria Żukowska. 1,7 km od Sejmu, biuro w centrum Warszawy, darmowa komunikacja miejska pod nosem – a mimo to ponad 38 tys. zł na kilometrówki. Szefowa klubu Lewicy najwyraźniej odkryła nową kategorię transportu publicznego: teleportację finansowaną z budżetu państwa.

Według wyliczeń wychodzi ponad 33 tys. km rocznie. To tak jakby posłanka codziennie – także w niedziele i święta – pokonywała trasę z Warszawy do Radomia i z powrotem. A przecież startowała z Warszawy, a nie z Kirgistanu. Można odnieść wrażenie, że okręg wyborczy Lewicy obejmuje już pół Europy.

Najciekawsze jest jednak to, że w oświadczeniu majątkowym nie ma samochodu. Jest za to łódź kabinowa Bahia. I tu wszystko zaczyna się układać. Być może te tysiące kilometrów to były rejsy patrolowe po Wiśle w obronie praw człowieka i świeckiego państwa. 58 zł na taksówki przez cały rok też robi wrażenie. To mniej więcej dwa kursy w Warszawie. Czyli albo pani poseł porusza się wyłącznie siłą ideologii, albo kilometrówka stała się nową odmianą literatury fantasy.

Najbardziej ironiczne jest jednak to, że dopiero od 2026 r. posłowie będą musieli dokładniej tłumaczyć, dokąd i po co jeżdżą za publiczne pieniądze. Do tej pory wystarczyło mieć wyobraźnię i licznik kilometrów, gotowy na walkę o sprawiedliwość społeczną.

Warszawiacy codziennie stoją w korkach, cisną się w metrze i płacą za bilety. Ale wygląda na to, że prawdziwie uprzywilejowaną klasą społeczną w Polsce nie są ani przedsiębiorcy, ani bankierzy, tylko politycy, którzy potrafią pokonać 90 km dziennie bez własnego auta i bez potrzeby wyjaśnień.

Dorzućmy jeszcze mądrości z sejmowej komisji. Według jednej z posłanek, Klaudii Jachiry, wilki atakują ludzi tylko dlatego, że jako szczeniaki zostały przez nich zabrane z lasu. Mszczą się czy co?

Z zapartym tchem czekam, co przyniesie kolejny tydzień.

Dorota Łosiewicz

Nigdy na kolanach

Ronald Kiełz zadowoleniem wpatrywał się w opublikowany właśnie na platformie Igrek swój wpis „Nigdy na kolanach, zawsze z podniesioną głową”.

– Ale im napisałem, nie? – zwrócił się do siedzącego w głębi stołu rzecznika rządu Adama Stópki.

– Do mnie pan mówi, kierowniku? – Rzecznik spojrzał na premiera.

– A jest tu ktoś inny? – Kieł odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Nie, ale mógł pan mówić do siebie. Starsi ludzie często mówią do siebie – stwierdził Stópka. Po chwili pożałował swoich słów...

– Kogo masz na myśli, mówiąc starsi ludzie?! – zapytał metalicznym głosem, który w uszach Stópki zabrzmiał jak szczeknięcie owczarka niemieckiego. A trzeba dodać, że Stópka panicznie bał się psów.

– Nnnie wwwiem... – odparł rzecznik rządu, dygocząc ze strachu.

– Żeby mi to było ostatni raz – stwierdził Kieł, który nie znosił, gdy ktokolwiek wspominał o jego wieku. Mimo ukończonych 69 lat czuł, że jest u szczytu formy fizycznej. Po prawdzie odczuwał jednak drobne dolegliwości: bolały go ramiona po trwającym długie lata podawaniu odzieży wierzchniej swoim europejskim przyjaciołom oraz kolana, zwyrodniałe od ciągłego przyklękiwania. Jego długoletni senior partner Jean-Claude Bunkier miał drobną słabostkę – oczekiwał, że Kieł będzie przyklękał na jedno kolano za każdym razem, kiedy go widział. „Zabawny staruszek” – pomyślał o nim premier i natychmiast się zreflektował, że przesadził z tym określeniem, bo Bunkier był starszy od niego zaledwie o dwa lata. „To wszystko przez tego głupiego Stópkę” – zezłościł się w myśli. Ale zaraz znalazł sposób, żeby się pocieszyć.

– Klękaj! – zwrócił się do Stópki. – Od teraz, kiedy mnie widzisz, masz przyklękać na jedno, tfu, na dwa kolana!

– Tak przy ludziach? Czy to wypada? – zaprotestował nieśmiało Stópka.

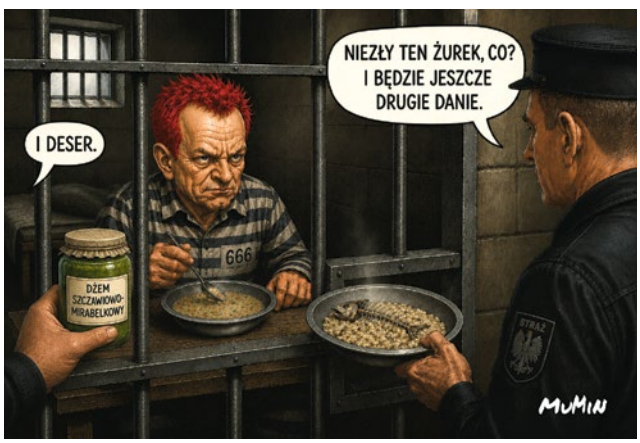
– Zawsze wypada okazywać szacunek przełożonym – stwierdził Kieł. – Ale faktycznie, publicznie nie musisz tego robić. Wystarczy głęboki ukłon. Natomiast tutaj, w gabinecie, klękasz za każdym razem, zrozumiano?

– Tak jest – odpowiedział Stópka, ciesząc się, że wywalczył choć jedno ustępstwo. – A wracając do początku, to co takiego ciekawego kierownik napisał na Igreku?

Kieł już otwierał usta, by zacytować swój wpis „Nigdy na kolanach, zawsze z podniesioną głową”, ale pomyślał, że nie ma co drążyć tematu...

Szefa rządu wybawiło z kłopotu nagłe wejście do gabinetu ministra niesprawiedliwości Waldemara Barszczyka. Był ogromnie wzburzony.

– Kierowniku, Roman Naszaszkapa biega po korytarzach sejmowych i rozpowiada, że mnie zwolnisz! Za co?! Przecież robię wszystko, na co się umówiliśmy...



– Wszystko?! A co Zbyszek Żebro robi za oceanem? Miał siedzieć w celi – wysyczał Kieł.

– No miał, ale są procedury, przepisy – zaczął się tłumaczyć Barszczyk.

– Jakie przepisy? Obiecywałeś, że przywieziesz go w bagażniku! I co? A może wcale nie chciałeś go sprowadzić do Tenkraju? – Kieł stał się podejrzliwy. – Naszaszkapa mówił mi, że tylko wyglądasz na takiego lojalnego.

– Jak bum, cyk, cyk, że jestem lojalny. Jak Boga koch... Tfu, co ja mówię z tych nerwów – zaperzył się Barszczyk.

– No właśnie, ty mi tu z Bogiem nie wyjeżdżaj. Czasy wiary mam już dawno za sobą. Dzisiaj jestem europejski i progresywny. A ty, jakbyś był lojalny, to byś odpalił premierowi jakąś działkę z tych swoich 21 nieruchomości– chytrze zmienił temat Kieł.

– Jakich 21 nieruchomości?! – oburzył się Barszczyk. – Ależ ci ludzie kłamią! To oszczerstwo i pomówienie. Wcale nie mam 21 nieruchomości!

– A ile masz? – zainteresował się Stópka.

– Mam 20. To chyba zasadnicza różnica. Poza tym większość z nich to nic niewarte działki – sprostował Barszczyk.

– Jak nic nie warte, to daj mi jedną. W ramach lojalności – zaproponował premier.

Na twarzy Barszczyka pojawił się wyraz ogromnego wysiłku, gdyż minister zaczął w myślach obliczać, czy bardziej opłaca mu się oddać działkę Kłowi, czy stracić pracę. W końcu się poddał.

– Niech będzie. Oddam jedną w Bieszczadach. Ale dalej będę ministrem?

– Oczywiście! Daję ci moje słowo – odpowiedział Kieł. Jednocześnie zaczął w myślach kalkulować, ile może teraz zażądać od Romana Naszejszkapy w zamian za obietnicę mianowania go w miejsce Barszczyka. Bo co jak co, ale słowo premiera Kła miało swoją wartość. A w zasadzie cenę.

MuMa

Fot.Grafika wygenerowana przez AI/MuMIN

eprasa.pl ab1a4acd9d



Merz na równi pochyłej

Najpierw falstart – Friedrich Merz został wybrany przez Bundestag na kanclerza dopiero w drugiej turze, potem kryzys koalicyjny oraz impas w reformach. Jak twierdzą media za Odrą, zacięty rywal Angeli Merkel zmarnował pierwszy rok swoich rządów. Koalicja z CDU i SPD jest dziś mniej popularna niż poprzedni rząd Olafa Scholza w jego końcowej fazie.

Według sondażu RTL/ntv-Trendbarometer tylko 13 proc. obywateli pozytywnie ocenia pracę kanclerza, a z pracy rządu zadowolonych jest jeszcze mniej – zaledwie 11 proc. Druzgocący spadek sympatii do Merza pokazuje też badanie instytutu Insa dla tabloidu „Bild" z końca kwietnia. Kanclerz zajął w nim ostatnie 20. miejsce i stał się tym samym najgorzej ocenianym politykiem w kraju.

Jak do tego doszło? Przede wszystkim zabrakło obiecanych wielkich reform. Merz mówił o odebraniu zasiłku obywatelskiego nielegalnym imigrantom, a skończyło się na zmianie nazwy świadczenia oraz wprowadzeniu zwiększonej kontroli osób niepracujących, trudnej do przeprowadzenia i pozwalającej zaoszczędzić zaledwie kilkadziesiąt milionów euro rocznie. Gdy kanclerz powiedział, że obecnego systemu socjalnego nie da się utrzymać, minister pracy z SPD Bärbel Bas skwitowała to słowem: „Bullshit", a następnie stwierdziła, że „nikt nie przyjeżdża do Niemiec, by z niego korzystać". Tymczasem ponad połowa odbiorców zasiłku nie posiada niemieckiego paszportu.

Wydaje się, że niezgoda panuje także co do tego, kto powinien ponieść koszty reform. Według SPD – najlepiej uposażeni i firmy, zdaniem chadeków – wszyscy. Stwierdzenie Merza, że „ustawowe ubezpieczenie emerytalne będzie w przyszłości stanowiło jedyne podstawowe zabezpieczenie na starość", przeraziło rzeszę emerytów, z których 1 na 5 żyje na granicy ubóstwa.

Niemiecka gospodarka jedzie dziś na subwencjach, a kolejne setki miliardów euro na obronność stanowią tylko więcej tego samego. Na dodatek rząd będzie musiał wydać 500 mld euro na infrastrukturę i ochronę klimatu. Bez tego Merz nie otrzymałby zgody Bundestagu na ominięcie zapisanego w ustawie zasadniczej hamulca długu na rzecz zbrojeń. Atmosfera w koalicji jest tak zła, że większość mediów za Odrą uważa, iż nie dotrwa ona do końca kadencji.

Zmiany mają nadejść – przynajmniej częściowo – w czerwcu. Wtedy ma być przyjęty pakiet reform obejmujący podatek dochodowy, emerytury, opiekę długoterminową, koszty pracy oraz redukcję biurokracji. Według dziennika „Die Welt" kraj musi się zmierzyć z rzeczywistością: „społeczeństwo się starzeje, koszty rosną, a składek jest za mało. To demografia i matematyka" – czytamy.

Aleksandra Rybińska

Prowokacyjne manewry

W ubiegłym tygodniu Rosja i Białoruś przeprowadziły ćwiczenia sił jądrowych. Mają one charakter prowokacyjny, o czym świadczy zarówno to, że mieliśmy do czynienia z niezapowiedzianymi manewrami, jak i skala tego przedsięwzięcia.

Ostatnie tego rodzaju manewry odbyły się w 2024 r. O rozpoczęciu ćwiczeń, które w świetle oficjalnych informacji miały sprawdzić gotowość sił zbrojnych „na terenie całego kraju", białoruski resort obrony poinformował zaledwie dzień przed ich rozpoczęciem. Z kolei z komunikatu rosyjskiego resortu obrony wynika, że białoruskie ćwiczenia są elementem większych manewrów, w których biorą udział pododdziały sił strategicznych wojsk rakietowych, Floty Północnej i Oceanu Spokojnego, a także okręgów wojskowych – petersburskiego i centralnego.

Prowokacyjna jest też skala manewrów, bo według oficjalnych danych brało w nich udział 64 tys. żołnierzy, ponad 7,8 tys. jednostek broni i sprzętu, w tym ponad 200 wyrzutni rakiet, więcej niż 140 samolotów, 73 okręty nawodne i 13 okrętów podwodnych, z czego 8 uzbrojonych w pociski strategiczne. Taka wielkość oznacza nie tylko złamanie przez Rosję i Białoruś zapisów konwencji wiedeńskiej ograniczającej skalę ćwiczeń wojskowych, na które nie muszą być zapraszani zewnętrzni obserwatorzy, lecz przede wszystkim wzrost presji na państwa sąsiednie. Organizacja manewrów w trybie nagłym ma też pokazać, że mimo zaangażowania na Ukrainie Rosja nadal dysponuje znaczącym potencjałem wojskowym, który jest w stanie szybko zmobilizować przeciwko ościennym państwom.

Generał Ołeksandr Syrski, dowódca ukraińskich sił zbrojnych, poinformował, że Kijów, obserwując przygotowania i rozwój wydarzeń na Białorusi, musi brać pod uwagę możliwość ponownego wtargnięcia sił agresora z północy. Rozważane są scenariusze ataku na obwód sumski albo na tereny wokół elektrowni w Czarnobylu. Ukraiński wywiad od kilkunastu dni donosi o „czyszczeniu" tras komunikacyjnych na Białorusi w obszarach nadgranicznych, co miałoby ułatwić przemieszczenie i zaopatrywanie dużego zgrupowania wojskowego. Zdaniem ukraińskich wojskowych niewykluczony jest też inny scenariusz – użycie tych sił w celu destabilizacji państw bałtyckich.

Marek Budzisz



eprasa.pl ab1a4ced3d

Demokratyczna Rep. Konga

Powrót eboli



We wschodniej części Demokratycznej Republiki Konga (DRK) wybuchła epidemia wirusa ebola, wywołującego śmiertelnie groźną gorączkę krwotoczną. Do pierwszych zakażeń doszło prawdopodobnie już miesiąc temu, jednak dopiero teraz podniesiono alarm. Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) ogłosiła epidemię „stanem zagrożenia zdrowia publicznego o zasięgu międzynarodowym".

Do poprzedniej niedzieli zanotowano ponad 330 przypadków zakażeń i 88 zgonów, z czego jedynie 10 zostało potwierdzonych testami laboratoryjnymi. Eksperci szacują, że realna skala epidemii jest znacznie większa, ponieważ wirus rozprzestrzeniał się poza kontrolą od ponad miesiąca.

Na razie nie jest jasne, dlaczego nikt przez tak długi czas nie dostrzegł pojawiających się zakażeń. Najbardziej prawdopodobnym wytłumaczeniem pozostaje to, że ognisko wirusa znajduje się miejscu, które – wskutek niedawnych działań wojennych – jest pozbawione infrastruktury medycznej. Chodzi o położoną na wschodzie kraju prowincję Ituri, która jest mocno przeludniona z powodu wojennych migracji oraz napływających zewsząd robotników szukających pracy w miejscowych kopalniach złota. Wielu przebywających tu ludzi nieustannie się przemieszcza, co rodzi ryzyko rozniesienia wirusa po całym regionie. O tym, że jest ono realne, świadczą dwa przypadki eboli zanotowane w sąsiedniej Ugandzie. By uniknąć najgorszego scenariusza, Rwanda zamknęła już swoją granicę z DRK, a Kenia wprowadziła surowe restrykcje zdrowotne.

Choroba rozprzestrzenia się poprzez kontakt z płynami ustrojowymi osoby zakażonej lub zwłok. Jej objawy są widoczne zwykle po tygodniu od zakażenia i zaczynają się od gorączki, ogólnych bólów i zmęczenia, co powoduje, że początkowo łatwo ją pomylić np. z malarią. Potem pojawiają się biegunka, wymioty i krwawienia. Śmiertelność jest wysoka i waha się – w zależności od odmiany wirusa – od 30 do 90 proc. chorych.

Spośród sześciu zidentyfikowanych odmian cztery powodują ciężką gorączkę krwotoczną. Tym razem zaatakował rzadko spotykany i groźny wariant Bundibugyo. Dotąd nie opracowano żadnego skutecznego leku ani szczepionki przeciwko tej odmianie.

Wirus wziął swoją nazwę od rzeki Ebola w środkowej Afryce, gdzie odkryto go w 1976 r. Od tej pory ogniska choroby pojawiają się cyklicznie. Do wybuchu największej epidemii doszło w 2014 r., gdy w kilku krajach Afryki Zachodniej zachorowało ponad 28,6 tys. osób, a ponad 11,3 tys. zmarło. Wówczas wirus zdołał przekroczyć granice Afryki i pojawił się w Hiszpanii, Wielkiej Brytanii oraz Stanach Zjednoczonych. Oby tym razem udało się uniknąć takiego scenariusza.

Konrad Kołodziejski

Pożegnanie z islamofobią

Szwecja

Minister spraw zagranicznych Maria Malmer Stenergard ogłosiła, że obecny rząd Szwecji zamierza zerwać z używaniem słowa „islamofobia" oraz całą ideą, która się za nim kryje. Szefowa dyplomacji zapowiedziała, iż będzie naciskać na UE i ONZ, by poszły w ślady jej kraju. Obie wspomniane organizacje wpisały bowiem walkę z islamofobią do oficjalnej agendy, np. w 2022 r. Zgromadzenie Ogólne ONZ ustanowiło Międzynarodowy Dzień Zwalczania Islamofobii, obchodzony co roku 15 marca.

Analitycy wskazują, że termin „islamofobia" powstał w kręgach Bractwa Muzułmańskiego jako skuteczna broń retoryczna, stawiająca ideologię politycznego islamizmu poza wszelką krytyką. Każdy bowiem, kto ośmieli się sprzeciwić dżihadyzmowi czy narzucaniu szariatu, a nawet przytaczać statystyki przestępczości wśród imigrantów, naraża się na ryzyko oskarżenia o islamofobię, a więc zarzut straszliwej zbrodni. Doszło nawet do tak absurdalnej sytuacji, że jako islamofobów piętnowano muzułmanów walczących o równouprawnienie kobiet w ramach swojej religii.

Decyzja szwedzkiego rządu wpisuje się w szerszy trend społeczny, którego źródłem jest świadomość porażki multikulturalizmu. Polityka otwartych granic dla imigrantów doprowadziła do utworzenia społeczeństw równoległych, dzielnic niedostępnych dla organów ścigania i stref zakazanych oraz wzrostu zorganizowanej przestępczości i przemocy na tle seksualnym. Proces ten długo był tolerowany, gdyż wielu ludzi wolało milczeć, niż narażać się na posądzenie o islamofobię.

W październiku 2025 r. rząd wszczął oficjalne śledztwo w sprawie infiltracji tkanki społecznej kraju przez islamistów. Jak powiedziała minister edukacji i integracji Simona Mohamsson: „Widzimy, że islam polityczny zakorzenił się i ma pozwolenie na przejmowanie kontroli nad dzielnicami, szkołami, służbami socjalnymi, a nawet ryzykuje przejęciem kontroli nad partiami politycznymi. Dlatego musimy zareagować. Islamizm nie chce konstytucji, ale prawa szariatu. Nie chce integracji, lecz segregacji".

Grzegorz Górny



eprasa.pl/a01a4acd9d

Order dla Merkel. Bruksela honoruje za największe błędy

Pani kanclerz rządziła 16 długich lat. Wystarczająco, by Europa zapamiętała ją jako wielką architektkę „sukcesów", po których przez dekady będą sprzątać kolejne pokolenia.

Zacznijmy od „uchodźców". 2015 r. „Wir schaffen das!" – rzuciła z dobrotliwym uśmiechem Merkel. I stworzyła Golema. Miliony migrantów zalały kontynent jak tsunami. Getta, noże w sylwestrową noc w Kolonii, wzrost przestępczości, paraliż służb socjalnych i wojna kulturowa, której końca nie widać. Polska, dzięki twardemu „nie" rządu PiS, wyszła z tego cało. Europa Południowa i Zachodnia dostała gigantyczny problem, Merkel dostała medal, a my – moralne kazania o „solidarności". Jakież to europejskie!

Następnie Nord Stream. Dwa rurociągi pod Bałtykiem – niemiecko-rosyjski przytulasik za niemieckie pieniądze. Merkel broniła ich zębami i pazurami, lekceważąc polskie, ukraińskie i bałtyckie ostrzeżenia. „To tylko biznes" – mówiła z tą swoją kamienną twarzą. Biznes, który skończył się tym, że Putin zarobił miliardy na wojnę, a Europa klęczała przed rosyjskim kurkiem. Gdy w 2022 r. Kreml go zakręcił, Niemcy zamiast o „biznesie" bredzili o solidarności i oczekiwali od nas pomocy. Co nie przeszkadzało im, by w panice przebijać ceny za amerykański LNG płynący do Azji i przekierowywać dostawy do siebie. Tym samym „wyeksportowali" własnoręcznie zbudowany kryzys do dużo biedniejszych Filipin i Tajlandii, pozbawiając ich mieszkańców nadziei i prądu – tu o solidarności mowy już nie było.

Wisienką na torcie jest Energiewende – energetyczna samobójcza misja, za którą Merkel powinna dostać Order za Największą Porażkę Kontynentu. Po Fukushimie w 2011 r. w panice wyłączyła osiem reaktorów atomowych, resztę zamknęła do 2022/2023 r. Tani, stabilny, niskoemisyjny atom poszedł na śmietnik. Zastąpiły go wiatraki, panele i... rosyjski gaz jako „pomost". Rezultat? Jedne z najwyższych cen energii w Europie, setki miliardów euro dotacji, deindustrializacja (zamykane huty, fabryki uciekające do Chin i USA), niestabilna sieć i – uwaga, ironio losu – wyższe emisje CO_2, bo węgiel i gaz musiały ratować sytuację. Von der Leyen tylko dodała gazu do tego szaleństwa w Zielonym Ładzie. Ale tor zbudowała Merkel.



Parlament Europejski znowu udowodnił, że ma poczucie humoru godne najtańszego kabaretu z prowincji. 19 maja 2026 r. w Strasburgu wręczono Angeli Merkel świeżo ustanowiony Europejski Order Zasługi – i to jego najwyższą kategorię. Prawica, w tym europosłowie PiS, demonstracyjnie wyszła z sali. I bardzo dobrze zrobiła. Bo to nie nagroda za zasługi. To order za spuściznę, którą Europa spłaca do dziś – w rachunkach za prąd, bezpieczeństwie granic i utraconej godności

W tym samym czasie Polska pod rządami PiS zachowywała się jak dorosły w przedszkolu ideologów. Zamiast modlić się do wiatraków i Putina, budowała realną niezależność. Terminal LNG w Świnoujściu otwarty w 2016 r., rozbudowany. Baltic Pipe – gaz z Norwegii popłynął w 2022 r. Zerwanie kontraktu z Gazpromem. Przygotowania do pierwszej elektrowni atomowej. Węgiel jako baza bezpieczeństwa, ale z planem dywersyfikacji. Gdy Rosja zakręciła kurek, Polska była gotowa. Niemcy – nie. Oto różnica między rozsądkiem a dogmatem.

A teraz, proszę państwa, wchodzi Donald Tusk – nasz lokalny „für Deutschland" w wersji light. Człowiek, który za Merkel i po Merkel zawsze wiedział, komu się kłaniać. „Für Deutschland" – moglibyśmy dodać złośliwie, patrząc, jak ochoczo wraca do berlińskiej narracji. Ten sam Tusk, którego ekipa dziś klaskała Merkel najgłośniej. Bo w świecie Tuska Polska ma być grzecznym uczniem Berlina, a nie suwerennym graczem. PiS budowało niezależność, Tusk buduje „europejską solidarność", czyli płacenie cudzych rachunków.

Dlatego ten order boli jak sól w oku. To nie laur dla wielkiej damy. To policzek wymierzony wszystkim, którzy ostrzegali. Polakom, którzy odmówili relokacji migrantów i Nord Streamu. Ukraińcom, których bezpieczeństwo poświęcono na ołtarzu niemieckiego biznesu. Zwykłym Europejczykom, którzy dziś płacą więcej za wszystko, bo ktoś w Berlinie uznał, że Rosja to „partner", atom to „zagrożenie", a granice to „konstrukt społeczny".

Bruksela kocha medale, uroczyste mowy i narrację o „wielkich Europejczykach". Rzeczywistość jest mniej fotogeniczna – masowa migracja, energetyczna zależność i zielona utopia, które duszą gospodarkę. To prawdziwe dziedzictwo Angeli Merkel. Order tego nie zmieni. Tylko przypomina, dlaczego prawica musi stać na straży.

Bo lewica nie tylko popełnia błędy. Ona je potem hojnie nagradza – orderami, oklaskami i kolejnymi miliardami z kieszeni podatników. A my? My mamy prawo pytać – ile jeszcze „sukcesów" Bruksela jest w stanie sprzedać jako triumf?

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl ab1a4acd9d

Żywność – rzecz strategiczna



Marta Kaczyńska-Zielińska

Bezpieczeństwo żywnościowe znalazło się na pierwszej linii frontu konfliktu na Bliskim Wschodzie, zamieniając cieśninę Ormuz w jeden z krytycznych punktów w światowej gospodarce. Dla Zjednoczonych Emiratów Arabskich, gdzie ok. 80 proc. żywności pochodzi z importu, a z powodu pustynnego klimatu możliwości hodowli zwierząt i uprawy roślin są mocno ograniczone, trwający obecnie kryzys stanowi test nie tylko sił zbrojnych, lecz także bezpieczeństwa żywnościowego.

Narodowa Strategia Bezpieczeństwa Żywnościowego ZEA 2051, wprowadzona w 2018 r., bazuje na dywersyfikacji dostaw, strategicznym gromadzeniu zapasów, zaawansowanej logistyce, produkcji krajowej i ścisłej koordynacji publiczno-prywatnej. Uważa się, że rezerwy strategiczne pokrywają co najmniej czteromiesięczne zapotrzebowanie. Rada Bezpieczeństwa Żywnościowego ustanowiła kanały koordynacyjne między ministerstwami, organami regulacyjnymi i operatorami prywatnymi na długo przed kryzysem, zapewniając natychmiastowe funkcjonowanie tych relacji w momencie wystąpienia zakłóceń. Rolnictwo krajowe zapewniło dodatkowy bufor. ZEA zainwestowały w rolnictwo w kontrolowanym środowisku, wykorzystując ponad 170 zaawansowanych obiektów hydroponicznych i pokrewne technologie. Ta zdolność nie zastępuje importu na dużą skalę, ale zmniejsza ryzyko w kluczowych sektorach i wspiera ciągłość w przypadku zakłóceń na szlakach dostaw. Lokalna produkcja ma więc dla tego kraju wartość strategiczną.

W czasie globalnych ruchów tektonicznych, które sprawiają, że światowa gospodarka się chwieje, a w szczególności w obliczu zagrożenia ataku ze strony Rosji na państwa UE, Bruksela, zamiast wzmacniać bezpieczeństwo żywnościowe Europy, osłabia je, decydując o importowaniu wątpliwej jakości żywności w dumpingowych cenach z krajów Mercosur. Jednocześnie za sprawą kolejnych regulacji prawnych coraz bardziej utrudnia utrzymanie się gospodarstw rolnych.

W ostatnich latach UE odchodzi od pierwotnej wizji wspólnej polityki rolnej na rzecz modelu podporządkowanego celom klimatycznym, środowiskowym i regulacyjnym. Oznacza to zasadniczą zmianę filozofii funkcjonowania europejskiego rolnictwa. Wspólna polityka rolna stanowiła jedno z podstawowych założeń integracji europejskiej już od początków wspólnot europejskich. Jej celem było zapewnienie bezpieczeństwa żywnościowego Europy, stabilnych dochodów rolników, samowystarczalności produkcyjnej, rozwoju obszarów wiejskich oraz utrzymania rozsądnych cen żywności dla społeczeństwa – czyli wszystkiego, co zwłaszcza w dobie zagrożenia wojennego stanowi jeden z filarów bezpieczeństwa!

Podporządkowanie rolnictwa coraz szerszym celom środowiskowym i klimatycznym skutkuje narastaniem kosztów prowadzenia działalności oraz osłabieniem konkurencyjności europejskiej produkcji rolnej. Systemem ETS1 obniża potencjał rolnictwa poprzez wzrost cen energii elektrycznej, ogrzewania, transportu, nawozów sztucznych oraz środków produkcji. ETS2 może w przyszłości prowadzić do dalszego wzrostu cen paliw i energii również na obszarach wiejskich. Z kolei system dopłat bezpośrednich coraz bardziej przypomina system zarządzania środowiskowego bazujący na rozbudowanej biurokracji, osiąganiu absurdalnych celów klimatycznych, a coraz mniej politykę realnego wspierania produkcji żywności.

Działania eurokratów prowadzą do utraty konkurencyjności europejskiego rolnictwa i zwiększenia zależność UE od importu żywności, narażając mieszkańców Starego Kontynentu na ryzyko związane ze spożywaniem produktów słabej jakości, przerwanie łańcuchów dostaw i niedobór żywności, a w przyszłości także na niekontrolowany wzrost cen.

Polityka rolna ma fundamentalne znaczenie dla przyszłości UE i każdego z państw z osobna. Ustanawianie norm prowadzących do eliminacji gospodarstw rolnych, szczególnie w dobie niepewnej sytuacji geopolitycznej, osłabia państwa europejskie, ułatwiając działanie potencjalnym agresorom.

REKLAMA



23/0426/F

eprasa.pl ab1a4acd9d



Walizka Basi Hrycaj

młodej, przedsiębiorczej kobiety



Wiele kobiet zbudowało swoją pozycję w branży gastronomicznej bez wykształcenia w tej dziedzinie. Łączą je pasja, konsekwencja i odwaga do podejmowania trudnych decyzji. Ja również kilka razy musiałam wyjść ze swojej strefy komfortu i zaufać intuicji. Jedną z takich decyzji było przerwanie studiów. Po dwóch latach studiowania psychologii zrozumiałam, że to nie jest droga, którą chcę podążać. Aby się utrzymać, zaczęłam pracować jako kelnerka w jednej z warszawskich restauracji. To doświadczenie wiele mnie nauczyło – odpowiedzialności, pracy z ludźmi i pokory. By rozwinąć skrzydła, wyjechałam do Norwegii, gdzie miałam większe możliwości rozwoju i zarobku. Dostałam pracę w restauracji, gdzie mogłam uczyć się od kogoś, kogo do tej pory uważam za największy autorytet. Dzięki niemu jeszcze bardziej zrozumiałam, że gościnność i gastronomia to coś, z czym wiążę przyszłość. Gdy wróciłam do Polski, postanowiłam zainwestować zarobione pieniądze. Wybrałam biznes foodtruckowy, który jest bezpieczniejszy, bo jego koszty startowe i utrzymania są niższe w porównaniu z restauracją. O ile zaletą food trucków jest ich mobilność, ja jestem w jednym, stałym, ale wyjątkowym miejscu – na terenie pięknego Parku Skaryszewskiego, tuż przy zacisznym, geometrycznym Ogrodzie Różanym, niedaleko ul. Zielenieckiej.





RÓŻOWY FOOD TRUCK



Na dobry początek. Nie muszę inwestować w wystrój wnętrza dla klientów czy systemy wentylacyjne pomieszczenia restauracji. Do obsługi biznesu wystarczy jeden lub dwóch pracowników, a proste menu pozwala na jego szybkie zmiany i dostosowywanie do sezonu.



KLUCZE DO FOOD TRUCKÓW

Najczęściej używane. Dla mnie cenniejsze od kluczy do mieszkania.

Fot. Michał Korsun, prywatne archiwum Barbary Hrycaj, Shutterstock (x4)

eprasa.pl ab1a4acd9d





ZDJĘCIE

Moi przyjaciele, największe wsparcie. Co najmniej jedna osoba jest tam codziennie. Pomagają mi i czasem przejmują kontrolę, kiedy nie mam siły.



„THE BEATLES"

Dostałam od taty wiele płyt, książek i koszulek z The Beatles. Zaraził mnie miłością do tej muzyki, co oczywiście było inspiracją dla Kolorowych Wozów.



PIEKARNIA W OSLO

Zatrudniłam się w niej, aby rozwijać się zawodowo. Tam nauczyłam się piec chleb na zakwasie i przygotowywać słodkie wypieki. Chodziłam tam codziennie na godz. 7.00, a wieczorami dorabiałam w restauracji.



BRANSOLETKI

Jakiś czas temu chłopiec sprzedawał je na ulicy. Kupiłam i teraz traktuję je jako talizman przedsiębiorczości.



BUTY DO BIEGANIA

Mam wszędzie po jednej parze – u mamy, u siebie w mieszkaniu, w samochodzie. Zawsze jestem gotowa, by pobiegać, bardzo mi to pomaga. Ostatnio w pracy zostawiłam wszystko i poszłam biegać po parku.



BUDDYJSKA MALA

W Oslo miewałam ciężkie momenty. Pomogła mi medytacja, joga i kontakt z własną głową. Dopiero wtedy zaczęłam myśleć kreatywniej i pojawił się pomysł na Kolorowe Wozy.



„DZIECI Z BULLERBYN"

Moja – a także mojej mamy – ulubiona książka z dzieciństwa. Często do niej wracam. Napisana wiele lat temu nie straciła na wartości i aktualności. Pokazuje świat szczęśliwego dzieciństwa, w którym dzieci bez telefonów komórkowych i laptopów nie czują nudy.



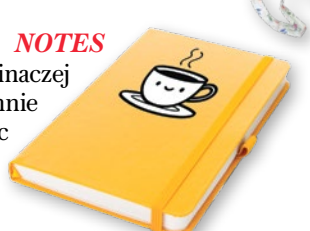
PRZEPIS

Wyrwana z gazetki strona z przepisem na placek z wiśniami. Zachowana przez ok. 20 lat przez moją mamę. To smak mojego dzieciństwa, piekę go do dzisiaj.



FARTUCHY

Mam dwa, oba dostałam na początek drogi z food truckami: jeden od przyjaciół, drugi od współpracowników w Oslo.



NOTES

Muszę wszystko notować, bo inaczej zapomnę i nie zrobię. Telefon mnie rozprasza, więc lubię pisać na kartkach.



MARYNARKA

W Oslo używałam jej do afirmowania prowadzenia biznesu. Zakładałam ją i układałam biznesplan.



KAWA

Używamy mieszanki robusty i arabiki w proporcjach 70:30. Nie ma kwaśnego posmaku, którego nie lubię w wielu kawiarniach. Przy parzeniu ważne jest zachowanie wszystkich rytuałów i procedur – od wsypania kawy do młynka po przelanie espresso do filiżanki.

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

eprasa.pl ab1a4acd9d

(Nie)zasłużona dla Europy



W ubiegłym tygodniu w Strasburgu po raz pierwszy wręczono nową unijną nagrodę – Europejski Order Zasługi. Wśród wyróżnionych znalazła się Angela Merkel. Ten wybór pokazuje, jak bardzo zdegenerowane są dziś elity rządzące Unią.

Bo jeśli symbolem „europejskich zasług" ma być kanclerz Merkel, warto przypomnieć jej politykę. Za jej rządów Niemcy budowały obie nitki Nord Stream – projekty realizowane ponad głowami Polski i Europy Środkowej. Ostrzeżenia Warszawy czy krajów bałtyckich były ignorowane, bo dla Berlina ważniejszy pozostawał biznes z Rosją.

To Merkel była twarzą resetu z Putinem i przekonywania Europy, że Rosję można „ucywilizować" interesami gospodarczymi. Efekty tej polityki oglądamy dziś na Ukrainie.

Kryzys migracyjny z 2015 r.? To wtedy niemiecka kanclerz otworzyła drzwi dla masowej migracji, a później Berlin i Bruksela próbowały narzucać obowiązkową relokację migrantów. Polska, która za naszych rządów sprzeciwiała się tym pomysłom, była regularnie pouczana przez zachodnie elity. I właśnie to moralizowanie wobec naszego kraju było jednym ze znaków rozpoznawczych epoki Merkel. Niemcy chętnie pouczały nas w sprawach praworządności czy „europejskich wartości", jednocześnie prowadząc cyniczne interesy z Kremlem i realizując własne cele kosztem bezpieczeństwa naszego regionu.

Jeszcze ciekawsze jest polityczne tło całej uroczystości. Taki sam order otrzymał również prezydent Ukrainy. Wiele wskazuje na to, że liczono na symboliczne spotkanie Merkel i Zełenskiego właśnie przy tej okazji. Nie doszło jednak do niego, ponieważ ukraiński prezydent nie pojawił się w Strasburgu.

To pokazuje, że Niemcy szukają dziś sposobu na „odmrożenie" relacji z Rosją, a wróbelki ćwierkają, że Merkel miałaby być negocjatorem między Ukrainą a Rosją. Berlin bowiem boleśnie odczuwa zerwanie dawnych układów z Moskwą. Dziś Niemcy udają lidera antyputinowskiej narracji, ale przez lata ich model bazował na polityce resetu i przyjaznych relacjach z Rosją. Angela Merkel była architektem tego systemu.

Jakby tego było mało, podczas ceremonii można było zobaczyć sceny jak ze starego komunistycznego kina. Kiedy ławy poselskie części grup po naszej stronie sali pozostały puste na znak protestu, organizatorzy postanowili wypełnić je klakierami, których zadaniem było oklaskiwanie byłej niemieckiej kanclerz.

Teraz trzeba uważnie obserwować, jaki będzie dalszy plan na Merkel. Bo wyciągnięcie jej z politycznego niebytu i ponowne wprowadzanie na europejskie salony z pewnością nie pozostanie bez kontynuacji.

Arkadiusz Mularczyk

Piękno i emocje wśród rzeźb

Z Ewą Ziembińską, kuratorką Muzeum Rzeźby w Królikarni, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

W piękne okoliczności sztuki i przyrody, a ostatnio także do obejrzenia niezwykłych „Rzeźb na meblościankę", zaprasza Królikarnia.

Ewa Ziembińska: Muzeum Rzeźby im. Xawerego Dunikowskiego znajduje się w zabytkowym parku, ma wspaniałą kolekcję i – wraz z otoczeniem – jest absolutnie magicznym miejscem na mapie Warszawy. Przez bramę od ruchliwej ul. Puławskiej wchodzi się do trochę tajemniczego ogrodu, gdzie już od progu witają nas rzeźby Aliny Ślesińskiej, Krystyny Schwarzer-Litworni, Marii Papy Rostkowskiej. Specjalnie wymieniam te nazwiska, by wybrzmiało, że są to rzeźbiarki, kobiety. Dalej widzimy kolejne prace, w tym numer jeden: „Dusza odrywająca się od ciała" Xawerego Dunikowskiego, patrona tego miejsca.

Rzeźby przyciągają uwagę w plenerze, a w pałacu?

Za sprawą nowej wystawy – „Rzeźba na meblościankę" – wracamy do prac stylistycznie i artystycznie bardzo ciekawych i ponadczasowych, doskonałych w kreacji i w idei. Te nieduże formy rzeźbiarskie i ceramiczne powstawały od połowy lat 50. ub.w. pod patronatem Instytutu Wzornictwa Przemysłowego. Miały wprowadzać sztukę do życia nowoczesnego człowieka. Zachwycają także dziś.

O jakiej porze najlepiej wybrać się do Królikarni?

Absolutnie o każdej. Park jest dostępny do zmierzchu, ale w piątki muzeum jest czynne do godz. 20.00. Zapraszamy też na koncerty (muzyki nowoczesnej i klasycznej), zarówno wieczorową porą, jak i o brzasku, oraz na inne wydarzenia. Wszystkie niosą piękno i emocje.



Fot. Bartosz Bajerski/Muzeum Narodowe w Warszawie

eprasa.pl ab1a4acd9d

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Posiew nienawiści



Jan Pietrzak

Media elektroniczne mają swoje potrzeby. Przede wszystkim muszą być atrakcyjne, by pies z kulawą nogą zechciał je dostrzec i psim zwyczajem obsikać, czyli zarejestrować swoją obecność. Sam uczestniczę w tej zabawie z konieczności, a to jako ratlerek estradowy, a to jako wilk stepowy. Ponieważ jestem nieustannie zakazywany i marginalizowany, szukam furtek w cenzorskim systemie, by na przekór kolejnym okupantom puścić w eter „głos wolny, wolność ubezpieczający". Wolnością słowa dysponują w obecnych czasach ci, którzy mogą ze swoimi słowami dotrzeć do „masowych" odbiorców.

Kiedy rodziłem się blisko 90 lat temu, mieliśmy cywilizację podwórkową. Od podwórka do podwórka niosła się wieść jak po sznurkach. Obecnie mamy cywilizację globalną! Jedno ludzkie życie i taki przeskok sytuacyjny. Jak ja to wszystko przetrzymałem? Bóg jeden wie! Łatwo nie było i nie jest.

Pierwszą połowę życia spędziłem w systemie sowieckim, a obecną zaliczam w Unii Europejskiej pod zarządem niemieckim. Początkowo nie odczuwaliśmy tej dominacji zbyt mocno. Ostatnimi laty stała się przytłaczająca, jest rodzajem okupacji. Naturalnie towarzyszy jej stosowna propaganda, mieszająca w głowach słuchaczy jak Goebbels przykazał. Propaganda jest paskudną siostrą reklamy. Wymaga funkcjonarjuszy świadomie przekraczających wszelkie standardy przyzwoitości, kultury, obyczajów, prawa, które jest takie „jak my je rozumiemy". A oni rozumieją, że aby Polaków skłócić, potrzebny jest posiew nienawiści. Taka jest główna strategia naszych nieznośnych sąsiadów zza Odry. To się dzieje w skali makro, a także mikro, w relacjach międzyludzkich.

Zdumiewające są dla mnie kontakty z niektórymi przyjaciółmi z kabaretu, którzy razem ze mną śpiewali z wielkim zapałem „Żeby Polska była Polską", a teraz wygadują, że to faszystowska pieśń! Mój problem polega na tym, że naprawdę kocham dobre aktorstwo. Cenię utalentowanych ludzi, którym zawdzięczam wiele mocnych emocji i niegasnącą inspirację do pracy. Chcę pamiętać ich wybitne role, a nie nienawistne, niemądre wypowiedzi.

Wyszła właśnie interesująca książka Janusza Szewczaka „Kultura nienawiści". Bardzo polecam te eseistyczne rozważania o nienawiści odbierającej zdrowy rozsądek, niszczącej elementarną prawdę, rwącej nawet więzi rodzinne. Co w sumie składa się na efekt społeczny zwany ojkofobią. Podczas promocyjnego spotkania – poza exposé autora – wysłuchaliśmy wspaniałych wypowiedzi abp. Marka Jędraszewskiego i prof. Andrzeja Nowaka. Ależ to frajda oderwać się od mainstreamowej propagandy i posłuchać mądrych ludzi, piękną polszczyzną mówiących o polskich sprawach. Ktoś powie, że to tylko reklama. Myślę, że Polska nie potrzebuje reklamy. Potrzebuje troski, miłości, poświęcenia. Patriotyzm jest szczególnym dobrem, którego nie zdołamy pojąć w kategoriach handlowych.

Niebezpieczne fiksacje Tuska



Samuel Pereira

To wyjątkowo symptomatyczne, że kilka tygodni po tym, jak sam premier ogłosił, że grozi nam rosyjska agresja, Donaldowi Tuskowi nie wierzą nie tylko przeciwnicy, lecz także sympatycy obozu władzy. Jakby tego było mało, w trudnej sytuacji dla naszego kraju, związanej z decyzjami USA w sprawie obecności amerykańskich wojsk w Europie, szef rządu, zamiast poważnie podejść do tej kwestii, dalej skupia się na swoich prywatnych obsesjach. To też tłumaczy, dlaczego administracja prezydenta Trumpa nie traktuje Tuska poważnie i nie zaprasza go do Białego Domu. Skoro polski premier sam poważnie nie traktuje swoich obywateli, to jak Amerykanie mieliby poważnie traktować jego?

Bo trudno odnieść inne wrażenie, gdy słucha się kolejnych wypowiedzi polityków obozu władzy dotyczących Zbigniewa Ziobry. Wiceminister sprawiedliwości Dariusz Mazur, sędzia z 27-letnim stażem, publicznie stwierdza, że „nie wyobraża sobie", by sędziowie „nie robili wszystkiego", aby doprowadzić Ziobrę przed wymiar sprawiedliwości. I właśnie w tym zdaniu zawiera się cały problem obecnej władzy. Już nie państwo prawa, tylko otwarte traktowanie wymiaru sprawiedliwości jako narzędzia politycznej zemsty zamiast systemu gwarantującego obywatelom bezpieczeństwo, bezstronność i równość wobec prawa.

Bo rolą sędziego nie jest „doprowadzanie" kogokolwiek przed wymiar sprawiedliwości, ale spokojne i bezstronne ocenianie dowodów oraz wydawanie wyroków zgodnych z prawem. To fundament każdego demokratycznego państwa. Jeśli jednak przedstawiciel resortu sprawiedliwości publicznie sugeruje oczekiwany kierunek działań sądów, to trudno się dziwić opiniom, że polityczna presja staje się czymś normalnym.

A przykład idzie z góry. Wiceminister Mazur idealnie wyczuwa oczekiwania „kierownika" Donalda Tuska i po prostu chciał się wykazać. A że równolegle wzrasta wściekłość na Waldemara Żurka ze strony żądnego politycznej krwi szefa i jego wyznawców pod znaku Silni Razem...

Właśnie dlatego sprawa Ziobry dawno przestała dotyczyć wyłącznie Ziobry. Dziś to symbol szerszego zjawiska. Tusk i jego środowisko polityczne żyją przeszłością oraz obsesją rozliczeń. Polska mierzy się z realnymi problemami bezpieczeństwa, napięciami międzynarodowymi i niepewnością wokół obecności wojsk USA, a na czym skupia się uwaga rządzących? Na polowaniu.

eprasa.pl ab1a4acd9d

TRENDY I OWĘDY

Wymiar zemsty



Ryszard Makowski

Wyjazd Zbigniewa Ziobry do USA wywołał furię naszych władz. Tym bardziej że ponoć dowiedziały się o tym z telewizji. Myślały, że po zmianie premiera na Węgrzech, gdzie były minister sprawiedliwości dostał azyl, polityk nieuchronnie wpadnie w tryby wymiaru zemsty i będzie widowisko wywołujące spazmy rozkoszy wśród ośmogwiazdkowców. A tu taka siurpryza. Za styl.fm: „O jego lądowaniu za oceanem dowiedzieliśmy się dlatego, że bystry widz stacji TVN24 zauważył i sfotografował go na lotnisku Newark w New Jersey". W lutym Sąd Rejonowy dla Warszawy-Mokotowa wydał zgodę na aresztowanie. Prokuratura wystawiła list gończy i Europejski Nakaz Aresztowania. Paszport miał zabrany... no już, już... Można sobie wyobrazić, co się działo w gabinetach obecnej władzy. Krzyki, tupanie, walenie pięścią w stół, ruganie.

Ucieczka Zbigniewa Ziobry do USA kiedyś pewnie doczeka się scenariusza filmowego. Zabiegi dyplomatyczne zostały wsparte przez Telewizję Republika, która zaświadczyła, że polityk będzie jej korespondentem i wjechał jako dziennikarz. Dyby, smoła i pióra muszą zaczekać, bo procedura ekstradycyjna ze Stanów Zjednoczonych jest długotrwała i skomplikowana. W tej sytuacji wymiar zemsty zaczął nękać dziennikarzy związanych z niewygodną stacją. Nocą dostarczano im rzekomo zamawianą pizzę lub przetrząsano mieszkanie, bo był telefon, że jest tam ktoś, kto chce sobie zrobić krzywdę. Tuzy wymiaru zemsty jakoś musiały powetować sobie fakt, że w sprawie Zbigniewa Ziobry zostały z tą swoją czarcią zapadką jak Himilsbach z angielskim, a w zasadzie amerykańskim.

ZDJĘCIE TYGODNIA

Wielka antyrządowa manifestacja Solidarności w Warszawie



Fot. Dawid Wolski/East News

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, RYSZARD CZARNECKI, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, PIOTR GURSZTYN, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, STANISŁAW PŁUŻAŃSKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, JERZY SZMIT, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA S.A.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU: KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY: REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ROBERT GOŁASZEWSKI, ROBERT.GOLASZEWSKI@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA S.A., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA S.A. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: RAMIL SITDIKOV/ASSOCIATED PRESS/EAST NEW, WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER, WPOLSCE24, SHUTTERSTOCK/KOSMOGENEZ, IMKOVMARK, EM_CONCEPTS, FLY_AND_DIVE, PIXEL-SHOT, MICHELE URSI

Zamów prenumeratę Sieci!

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

Reklama | 27/0326/F

eprasa.pl ab1a4acd9d

Witold Pilecki mniej znany

Witold Pilecki był znany ze swojego niespotykanego bohaterstwa – głównie jako ochotnik do niemieckiego obozu zagłady KL Auschwitz. Dotknęło go też wiele innych życiowych doświadczeń.

Urodził się w Ołońcu w Rosji 13 maja 1901 r. „Ojciec mój – Julian Pilecki, jako syn powstańca »niebłagonadiożnyj« musiał szukać pracy poza obrębem Polski – dlatego też urodziłem się w Karelii – miasteczku powiatowym Ołoniec" – pisał w swoim życiorysie.

Witold był harcerzem, ochotnikiem w wojnie z bolszewikami i walecznym ułanem. W czasie walki z bolszewikami doszło do spotkania wileńskich harcerzy z dowodzącym wówczas 10. Dywizją Piechoty gen. Lucjanem Żeligowskim. Tak to opisał Witold Pilecki, który miał wtedy dziewiętnaście lat:

„Stało się jasne, że wróg obszedł nasze tyły i zaczyna odcinać odwrót. Wokół zaczęły się rozgrywać wojskowe dramaty. Artylerzyści, zamiast odprzodkować działa i ostrzelać nieprzyjaciela, odrzynając zaprzęgi i tnąc postronki dosiadali koni i uciekali bezładnie, zostawiając działa wrogowi. Nagle, z lewej strony pojawił się na galopującym, rosłym ogierze brodaty oficer bez czapki i z gołą szablą w ręce. Zdarłszy konia przed naszą, stojącą spokojnie kompanią, ogarnął nas badawczym wzrokiem i rzucił krótkie pytanie.

– Co to za kompania?

– Harcerze z Wilna – odkrzyknąłem, bo byłem najbliżej.

– Nu, a atakować wy możecie? – zapytał z rosyjska.

Aż gniew mną szarpnął. Za kogo on nas ma?

– Też pytanie! – krzyknąłem ku niemu dumnie. – Ma się rozumieć, że możemy.

Nie wiedziałem, że mam przed sobą generała Żeligowskiego.

– Nu, tak i atakujcie! – krzyknął i odjechał.

Ponieważ naszego dowódcy nie było w pobliżu, podałem komendę:

– Bagnet na broń! W tyraliery – za mną!

Chłopcy, wykonując rozkaz, poderwali się i ruszyli jak burza w stronę wroga będącego w lasku odległym o czterysta metrów. Konny oddział rosyjski, widząc dwustu pędzących ku sobie Polaków, zwinął swój karabin maszynowy i zniknął, zanim dobiegliśmy. Jak się okazało, z dwudziestoma nabojami wygraliśmy bitwę i już bez przeszkód dotarliśmy na reorganizację do Warszawy".

Fragment tekstu z „Biuletynu IPN" nr 5/2023

Czytaj całość na portalu przystanekhistoria.pl

gość: Jarosław Wróblewski, Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL

redaktor prowadzący: Paweł Lekki

wydawca: Małgorzata Frydrych

produkcja: Wydział Realizacji Projektów Medialnych – Biuro Rzecznika Prasowego IPN

Więcej podcastów historycznych znajdziesz na portalu **przystanekhistoria.pl**

Posłuchaj

Partner podcastu

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

PRZYSTANEK HISTORIA

eprasa.pl ab1a4acd9d

Rosjanie uruchomili scenariusz eskalacji wobec państw NATO



Połączmy kropki i odpowiedzmy na pytanie, co się dzieje. Ale najpierw prześledźmy wydarzenia ostatnich kilku dni, bo ich nasilenie nie może być kwestią przypadkowej koincydencji. Mamy do czynienia z jakimś planem. Pytanie tylko, co chcą osiągnąć jego autorzy i jak daleko są w stanie się posunąć. Oto moja interpretacja wydarzeń



MAREK BUDZISZ

Na Litwie ogłoszono stan wyjątkowy – w środę 20 maja w Wilnie zawyły rano syreny. Parlament, premiera i prezydenta przewieziono do bunkra, a mieszkańcy otrzymali na smartfony ostrzeżenie z prośbą o udanie się do schronów. W tym samym czasie w powietrze wzbiły się myśliwce NATO. Powodem były drony, które wtargnęły w przestrzeń powietrzną kraju i przemieszczały się w stronę stolicy. Tak samo jak w przypadku podobnego incydentu w Polsce, do którego doszło jesienią ub.r., władze Litwy zostały uprzedzone o wszystkim przez białoruskie służby, których rola w całej historii jest co najmniej dwuznaczna. Ale o tym później.

Warto jednak odnotować, że to, co wydarzyło się w Wilnie, było pierwszym tej rangi alarmem w kraju należącym do Unii Europejskiej i NATO od początku wojny na Ukrainie. Również z tego powodu można mówić o eskalacji napięcia.

W tym samym czasie siły zbrojne na Łotwie ogłosiły stan alarmowy, w górę poderwały się natowskie myśliwce broniące przestrzeni powietrznej tego kraju, a w kilku regionach ogłoszono stan podwyższonej gotowości. Podobnie jak w przypadku Litwy powodem było wtargnięcie dronów, ale sytuacja w Rydze jest odmienna, bo od tygodnia Łotwa nie ma rządu. Gabinet Eviki Siliny upadł po tym, jak zdymisjonowała ona ministra obrony, który zdaniem pani premier nieadekwatnie przygotował kraj na zagrożenia. Zmaterializowały się one kilka dni później w postaci kilku dronów, które wtargnęły w przestrzeń powietrzną kraju, w tym jeden uderzył w zbiorniki paliwa nieopodal miasta Rēzekne. Na szczęście zbiornik był pusty, ale sytuacja stała się napięta – również z tego powodu, że okazało się, iż dron był produkcji ukraińskiej. Służby Litwy i Łotwy są przekonane, że Rosjanie zakłócili tor lotu ukraińskich systemów dalekiego zasięgu, od kilku tygodni intensywnie atakujących ich terytorium, w taki sposób, że byli w stanie przekierować je nad oba te bałtyckie państwa. Równolegle we wschodniej Łotwie nastąpiła duża awaria prądu – 61 tys. obywateli zostało pozbawionych energii, co w tym zamieszkałym przez niewiele ponad 1,8 mln ludzi (z czego 600 tys. w stolicy) kraju jest znaczącym wydarzeniem.

W tym samym czasie w przestrzeń powietrzną Estonii również wleciał nieznany dron, co postawiło w stan gotowości siły zbrojne, poderwano natowskie myśliwce i zestrzelono obiekt.

MOTYWY KREMLA

Mamy do czynienia z „podręcznikową" sytuacją wojny asymetrycznej. Państwa bałtyckie są atakowane przez systemy bezzałogowe o trudnym do ustalenia pochodzeniu, ludność jest coraz bardziej zaniepokojona, mają miejsce awarie infrastruktury krytycznej, a na to nakłada się kryzys polityczny, który nawet jeśli szybko jest rozwiązywany (na Łotwie powstała już nowa koalicja), to i tak pozostaje wrażenie niestabilności i niepokoju.

Tym bardziej że równolegle narasta rosyjska kampania narracyjna. W miniony wtorek Służba Wywiadu Zagranicznego (SWR) ogłosiła, że Ukraina przygotowuje ataki na Rosję z państw bałtyckich i że ukraińskie wojska już stacjonują na Łotwie. W oficjalnym komunikacie wspomniano o łotewskich bazach wojskowych Ādaži, Seliji, Lielvārde, Dyneburg i Jēkabpils, gdzie rzekomo mają się znajdować ukraińskie wojska. Rosjanie zagrozili również Łotwie „sprawiedliwą karą", przed którą nie uchroni jej członkostwo w NATO, co zresztą wpisuje się w narrację Kremla, jakoby państwa graniczące z Rosją prowadziły agresywną politykę, prąc w gruncie rzeczy do wojny.

Motywy Kremla wydają się w tym przypadku oczywiste. Chodzi o skłócenie Bałtów z Ukrainą i doprowadzenie do sytuacji, w której liderzy państw najsilniej do tej pory wspierających Kijów zaczną wywierać presję, aby Zełenski zaniechał ataków przy użyciu systemów dalekiego zasięgu na cele w Federacji Rosyjskiej. Ale gra jest związana również z Białorusią.

Kilka dni przed zaostrzeniem sytuacji w Mińsku odbył się Festiwal Nadziei, modlitewne zgromadzenie wspólnot protestanckich, które organizował Franklin Graham, znany kaznodzieja, syn Billy'ego Grahama. W Czyżowka Arenie, jednej z hal sportowych, spotkało i wspólnie modliło 7,5 tys. przedstawicieli białoruskich wspólnot protestanckich. Dlaczego to wydarzenie jest tak ważne? Graham to nie jeden z wielu kaznodziei, ale pastor, który jest uznawany za duchowego powiernika Donalda Trumpa, przewodniczył religijnej części ceremonii inauguracji amerykańskiego prezydenta, a jego związki z polityką obecnej administracji podkreśla także to, że w modlitewnym spotkaniu w Mińsku wziął udział John Cole, specjalny wysłannik Białego Domu na Białoruś, wraz z małżonką. Graham spotkał się zresztą z Łukaszenką, a w trakcie modlitw miał wezwać – jak informował kanał Christian Vision – do modlitwy za Trumpa, Łukaszenkę i Putina. Nawet jeśli ta ostatnia informacja nie jest prawdziwa, to jego kordialne relacje z białoruskim dyktatorem i przełomowy charakter wizyty Grahama nie budzą wątpliwości.

Dlaczego możemy mówić o przełomie? Przede wszystkim z tego powodu, że do tej pory protestanci byli najbardziej prześladowaną wspólnotą religijną na Białorusi. W wyniku represji – wspieranych zresztą przez Cerkiew moskiewską, która uznaje sąsiedni kraj za swoje terytorium – liczba wspólnot zmniejszyła się z 1034 na początku 2024 r. do 850 obecnie. Zmiana kursu władz w Mińsku – co zresztą zostało podkreślone spotkaniem Grahama z Łukaszenką, w którym uczestniczył metropolita Beniamin, kierujący Białoruską Cerkwią Patriarchatu Moskiewskiego – jest w tym przypadku oczywista i motywowana politycznie.

W lutym Amerykanie znieśli bowiem sankcje nałożone na państwowy koncern Biełaruśkalij, który jest największym w kraju i liczącym się w świecie, eksporterem nawozów potasowych. Ten gest nie ma jednak większego znaczenia, jeśli równolegle nie zmieni się polityka państw sąsiednich w kwestii zgody na tranzyt białoruskich nawozów. Unia Europejska odpowiedziała na amerykańskie działania utrzymaniem sankcji, co zmusza Łukaszenkę do wykorzystywania znacznie dłuższej, a przez to kosztownej marszruty przez rosyjskie

Fot. Shutterstock

eprasa.pl ab1a4acd9d

porty na Bałtyku. Ostatnio są one intensywnie bombardowane przez Ukraińców, co jeszcze dodatkowo zaostrza kwestię. Amerykanie – co publicznie potwierdził prezydent Litwy – zaczęli naciskać na Bałtów, aby zrewidowali politykę wobec Mińska, jednak na razie bezskutecznie.

Łukaszenka wyraźnie stara się wciągnąć administrację Trumpa do współpracy. Walery Karbalewicz, dziennikarz Radia Swaboda, napisał, że miał on zaproponować amerykańskiej grupie kapitałowej zakup i eksploatację złóż soli potasowych, a nawet nie wykluczył wejścia kapitałowego do Biełaruśkalij. Gdyby te informacje się potwierdziły, to już sam fakt złożenia propozycji tego rodzaju byłby przełomem, bo Rosjanie przez lata chcieli kupić udziały w tej firmie, a Łukaszenka zawsze blokował ewentualną transakcję.



20 maja 2026 r. litewskie wojsko i służby ogłosiły czerwony alarm powietrzny dla Wilna i nakazały mieszkańcom zejście do schronów

NUKLEARNE MANEWRY

Pytaniem zasadniczym jest – a tu zdania analityków są podzielone – czy podjęta przez Łukaszenkę próba zbliżenia z Waszyngtonem stanowi działanie uzgodnione z Putinem czy raczej wyraz dążenia Mińska do poszerzenia obszaru niezależności. To ważne, bo odpowiedź pomoże nam w interpretacji białorusko-rosyjskich ćwiczeń sił nuklearnych, które odbywały się na terenie całego kraju w minionym tygodniu. Miały one jawnie prowokacyjny charakter, a ich skala – Rosjanie zaangażowali w nich 64 tys. żołnierzy, ponad 7,8 tys. jednostek broni i sprzętu wojskowego, w tym ponad 200 wyrzutni rakiet oraz więcej niż 140 samolotów – miała pokazać, że nawet mimo wojny Rosja dysponuje znaczącym i groźnym potencjałem. Tym bardziej że manewry zostały ogłoszone nagle, komunikaty resortów obrony obu krajów ukazały się dzień przed ich rozpoczęciem, a natowscy analitycy byli zdania, że podobnie jak w ubiegłym roku odbędą się one jesienią.

Ukraińcy – zarówno prezydent Zełenski, jak i dowódca sił zbrojnych Ołeksandr Syrski – publicznie mówią o narastającym zagrożeniu atakiem od strony Białorusi, niepokojących ruchach wojsk, udrażnianiu tras komunikacyjnych czy przeprowadzanych szkoleniach wśród lekarzy cywilnych, jak radzić sobie z leczeniem ran postrzałowych. Ich zdaniem może to świadczyć o przygotowywaniu przez Rosjan kolejnego ataku z północy na Sumy czy okolice Czernobyla, ale nie można wykluczyć „obrócenia" tych sił i zwiększenia zagrożenia na kierunku bałtyckim.

Tym bardziej że Kreml w typowy dla siebie sposób zaostrza retorykę. Kiedy rozpoczynały się manewry sił nuklearnych, wiceminister spraw zagranicznych Siergiej Riabkow udzielił wywiadu Agencji TASS. Mówił w nim o agresywnej polityce państw europejskich wobec Rosji, ale w szczególności podkreślał „jawnie prowokacyjne działania" takich państw jak Finlandia, która rozważa dopuszczenie na swe terytorium amerykańskiej broni jądrowej, czy polsko-francuskie deklaracje w sprawie ćwiczeń nad Bałtykiem sił zdolnych do przenoszenia ładunków nuklearnych. Riabkow nie tylko zagroził „adekwatną odpowiedzią", lecz także stwierdził, że próby rozciągnięcia francuskiego parasola nuklearnego na Wschód, nie mówiąc już o ruchach w kierunku uzyskania własnych zdolności, doprowadzą do wycofania się Rosji z jakichkolwiek rozmów rozbrojeniowych.

Ta ostatnia groźba ma swego adresata – Biały Dom, który jest zainteresowany negocjacjami w „trójkącie strategicznym" z udziałem nie tylko Moskwy, lecz przede wszystkim Pekinu. Wydaje się, że Rosjanie proponują transakcję wiązaną – pomoc w zakończeniu wojny w Iranie i wsparcie idei negocjacji nuklearnych, w tym powstrzymywanie ambicji Korei Południowej, ale za cenę zgody na zakończenie wojny na Ukrainie na swoich warunkach i „uporządkowania" sytuacji w Europie Środkowej.

Amerykanie też mają swoją wizję, jak poprawić swoją pozycję. Chcą wynegocjować warunki zakończenia wojny, nawet jeśli ceną miałby być Donbas, bo to da im pozycję gwaranta bezpieczeństwa, a co za tym idzie – przyszłości Ukrainy i przy okazji zablokuje możliwości Europejczyków, którzy zaczynają myśleć o samodzielności.

Aby to osiągnąć, trzeba zdominować dwa kraje – Ukrainę i Polskę. W tym pierwszym przypadku przeszkodą pozostaje Zełenski, który nie chce oddać Donbasu, ale jego pozycja jest osłabiona w związku z kolejną odsłoną korupcyjnej afery Mindycza. W Kijowie, skąd właśnie wróciłem, mówi się, że NABU, specjalna prokuratura antykorupcyjna, jest w gruncie rzeczy narzędziem w rękach Amerykanów. Wypuszczając do mediów kolejne „kontrolowane przecieki", ujawniające co bardziej smakowite fragmenty nagrań Mindycza, mają oni osłabiać pozycję Zełenskiego, a także determinację Europejczyków, aby kontynuować finansowanie skorumpowanego obozu władzy. Czy to oznacza, że Zełenski oraz jego otocznie są niewinni i czyści jak łza? Oczywiście że nie, ale nie bądźmy pięknoduchami, nagrania kompromitujące obóz władzy zawsze pojawiają się w kluczowych momentach, kiedy podejmuje się strategiczne decyzje. Zadziwiający przypadek.

Fot. Vygintas Skaraitis/Lyrtas/Associated Press/East News

eprasa.pl ab1a4acd9d

RYWALIZACJA MOCARSTW

Teraz chodzi o to, aby wymusić zakończenie wojny. Paradoksalnie mamy do czynienia z wyścigiem na tym polu. Rosjanie chcą zastraszyć Europejczyków, kusząc Trumpa, oraz osłabić NATO. Amerykanie z kolei chcą zarządzać procesem zakończenia wojny, bo ich niepowodzenie w tym zakresie w dłuższej perspektywie może oznaczać, że zaczynają tracić pole także w Europie, gdyż państwa naszego kontynentu poważnie, a nie deklaratywnie – jak do tej pory – zaczną myśleć o „suwerenności strategicznej". Czynnikiem destabilizującym sytuację i zwiększającym ryzyko wojny jest rywalizacja mocarstw, a nie rosyjskie prowokacje.

> Gra o warunki, na jakich zakończy się wojna – w tym o to, jak będzie wyglądała sytuacja bezpieczeństwa Ukrainy i całej Europy Środkowej – już się rozpoczęła. Rosjanie ruszyli i będą eskalować, ponieważ boją się, że Amerykanie ich wyprzedzą

Nie tylko bowiem Rosjanie, lecz także Amerykanie naciskają na europejskich sojuszników, w tym na Polskę. Trudno inaczej interpretować decyzję o wstrzymaniu rotacji sił wojskowych do naszego kraju. Nadal jesteśmy – jak głosi „uspokajający" komunikat Pentagonu – modelowym sojusznikiem, ale w kwestii obecności wojskowej nie jest on już tak jednoznaczny. Mimo że padają tam deklaracje na temat „utrzymania silnej obecności wojskowej w Polsce", to Departament Wojny podtrzymuje decyzję o redukcji liczby brygad sił lądowych stacjonujących w Europie z czterech do trzech. Skąd jedna zostanie wycofana? Nie do końca wiadomo, bo wstrzymanie rotacji oznacza, że być może z Polski, ale wcześniej padały też deklaracje o ewakuowaniu amerykańskiej brygady stacjonującej w Bawarii.

Takie postawienie sprawy trudno uznać za coś innego jak presję na Warszawę, aby zrewidowała swe stanowisko. W grę może wchodzić europejska suwerenność strategiczna, którą chce budować Tusk, twarde stanowisko wobec Białorusi, a niewykluczone, że także warunki wspierania Ukrainy i zakończenia wojny. Przejście Polski do umownego „obozu Trumpa" drastycznie zmienia sytuację zarówno Europy, która bez Polski nie zbuduje systemu obrony wschodniej flanki, jak i Ukrainy. Pytanie, czy Amerykanie – czego nie wykluczam – dążąc do realizacji swoich celów, są gotowi wymusić przesilenie rządowe w Polsce.

Rosja ma inne podejście w tej kwestii. Eskalując napięcie, chce zastraszyć Europejczyków z Zachodu. Wielka Brytania już ograniczyła sankcje nałożone na Rosję, bo osłabiony klęską w wyborach lokalnych premier Starmer nie chce wzrostu cen na stacjach paliwowych. Bruksela poszukuje zaś negocjatorów, którzy mogliby rozpocząć rozmowy z Rosją. Nie chcąc przyjąć propozycji Putina, aby głównym negocjatorem był Schroeder, proponuje się Draghiego, Niinistö, Merkel czy Stubba. Różnica w ich postawie wobec Rosji nie jest wielka, wszyscy są zwolennikami negocjacji. Tyle że Merkel do tej pory ustępowała Rosjanom, a urzędujący prezydent Finlandii, który ma zresztą najmniejsze szanse, opowiada się za rozmowami „z pozycji siły". Aby je prowadzić, trzeba mieć siłę i Rosjanie mają zamiar pokazać Europejczykom, że ci jej nie posiadają.

Te dwa nowe elementy – rywalizacja z Amerykanami i chęć zakończenia wojny na Ukrainie (a obecnie można to osiągnąć, wyłącznie rozbijając obóz sojuszników Kijowa i pozbawiając walczące państwo pomocy finansowej) – zwiększają ryzyko scenariuszy eskalacyjnych. Gra o warunki, na jakich zakończy się wojna – w tym o to, jak będzie wyglądała sytuacja bezpieczeństwa Ukrainy i całej Europy Środkowej – już się rozpoczęła. Rosjanie ruszyli i będą eskalować, ponieważ boją się, że Amerykanie ich wyprzedzą.



Z wyrazami głębokiego żalu żegnamy

śp.

Wojciecha Hrynkiewicza

człowieka o wielkich zasługach dla ruchu spółdzielczego w Polsce, cenionego współpracownika i kolegę.

W tych trudnych chwilach łączymy się w bólu z Rodziną i Najbliższymi, składając szczere kondolencje.

Zarząd i Pracownicy
Saltus Ubezpieczenia

220526/F

eprasa.pl ab1a4acd9d



„Lepszego sojusznika Ameryka nigdzie nie znajdzie” – zapewniał Tusk, gdy tydzień temu w Dęblinie rząd zrobił spektakl podpisując umowę na centrum serwisowe silników czołgów Abrams

Zimny prysznic z Waszyngtonu

Rząd Donalda Tuska wreszcie poczuł, że bezpieczeństwo Polski zależy przede wszystkim od sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi. Skończyły się zaczepki i nieprzyjazne gesty. Teraz słychać rozpaczliwe apele do Amerykanów z zapewnieniami, że mają w Polsce „wyłącznie przyjaciół”. Jeszcze nie wiadomo, jak trwała jest zmiana nastawienia Tuska i jego ekipy, lecz niewątpliwie stanowi to dowód na kruchość bezpieczeństwa Polski

eprasa.pl ab1a4acd9d



PIOTR GURSZTYN

Ogromne zamieszanie zaczęło się od wstrzymania rotacji amerykańskiej brygady. Po stronie rządowej wybuchła panika. Nerwowe telefony do Waszyngtonu, które wykonywał minister obrony narodowej Władysław Kosiniak-Kamysz. Jeszcze bardziej nerwowa decyzja, aby w te pędy wysłać tam delegację w składzie dwóch wiceministrów obrony narodowej. Kolejny raz wyszło na jaw, że ekipa Tuska nie ma kontaktów w Waszyngtonie. Nagle zniknął szef dyplomacji Radosław Sikorski, który lubi się chwalić rzekomą znajomością z sekretarzem stanu Marco Rubio. Katastrofą okazało się długie przetrzymywanie w ambasadzie w Waszyngtonie takiego nieudacznika jak Bogdan Klich. Wyjątkiem okazał się tylko Kosiniak-Kamysz, który ma nienajgorsze kontakty ze swoim odpowiednikiem w Pentagonie, a co ważniejsze, nie pozwalał sobie na antyamerykańskie wycieczki w stylu Donalda Tuska czy Włodzimierza Czarzastego. Jego możliwości, wynikające ze słabej pozycji politycznej, są jednak ograniczone.

KONIEC Z KOZACZENIEM

Dzisiaj wiemy, że opóźnienie rotacji to przede wszystkim wynik zmiany koncepcji dyslokowania amerykańskich sił zbrojnych poza granicami USA. Obecny system rotowania amerykańskich jednostek wojskowych był od dawna krytykowany jako nieefektywny i kosztowny. Ale istniały też mocne podejrzenia, że obrywamy rykoszetem. Administracja Trumpa postanowiła odegrać się na krajach zachodnioeuropejskich za ich nieprzyjazną postawę względem Ameryki w czasie konfliktu z Iranem. O tym, że jednak nie jest to zasadniczy powód, dowiedzieliśmy się dopiero po kilku dniach, po uspokajających słowach wiceprezydenta J.D. Vance'a.

Niestety jest też tak, że Amerykanom łatwiej wycofać swoje siły z Polski niż z Niemiec, bo tam istnieje infrastruktura przystosowana do stałego pobytu żołnierzy wraz z ich rodzinami. My jesteśmy dopiero na początku tej drogi, a obecny rząd nigdy nie miał determinacji, aby znacząco zredukować tę niekorzystną dla nas dysproporcję.

Tak czy owak, był to zimny prysznic. Najbardziej dla tych, którzy chwilę temu pozwalali sobie na ataki pod adresem Ameryki i jej prezydenta. Jakby uważali, że amerykańska obecność w Europie jest zagwarantowana bezwarunkowo. Nagle premier Tusk i cały rząd zorganizowali spektakl, podpisując umowę na centrum serwisowe silników do czołgów Abrams. „Naszą rolą jest przypominać – macie tutaj, nad Wisłą, wyłącznie przyjaciół. Macie najbardziej lojalnego sojusznika. Warto o tym pamiętać, bo lepszego sojusznika Ameryka nigdzie nie znajdzie" – zapewniał w przemówieniu Tusk.

Nawet taki antyamerykański „kozak" jak marszałek Czarzasty mocno spuścił z tonu. Wbrew swym dotychczasowym odruchom gryzł się w język, komentując sprawę udzielenia przez USA azylu Zbigniewowi Ziobrze. Ale rozum podpowiedział, że nie może już tego robić: „Nie chcę używać mocnego języka, bo raz powiedziałem prawdę, że Trumpowi nie należy się Pokojowa Nagroda Nobla i nie chcę, żeby mi ktoś w pewnej chwili powiedział: przez ciebie nie przyjechało 4 tys. wojska do Polski, bo bezpieczeństwo Polski jest ważniejsze niż funkcjonowanie potencjalnego przestępcy".

GŁOSY O DUŻEJ WOJNIE

Pamiętajmy, że dzieje się to w sytuacji, gdy niedawno Donald Tusk stwierdził, iż agresja rosyjska na kraje NATO może się rozpocząć nawet w perspektywie kilku miesięcy. Powiedział to i nic więcej nie zrobił. Nie ma żadnych nadzwyczajnych przygotowań do obrony. Wszystko toczy się rutynowo, jak do tej pory. Duża część polskiej opinii publicznej traktuje słowa Tuska jako tani PR i przestaje wierzyć w te ostrzeżenia. Niestety ma rację, nisko oceniając zaangażowanie Tuska w budowanie odporności kraju. Nie ma natomiast racji, lekceważąc zagrożenie ze strony Rosji.

> Kolejny raz wyszło na jaw, że ekipa Tuska nie ma kontaktów w Waszyngtonie. Nagle zniknął Radosław Sikorski, który lubi się chwalić rzekomą znajomością z sekretarzem stanu Marco Rubio. Katastrofą okazało się długie przetrzymywanie w ambasadzie w Waszyngtonie takiego nieudacznika jak Bogdan Klich

Nieodpowiedzialność Tuska nie jest dowodem na nasze bezpieczeństwo. Co kilka miesięcy mamy wypowiedzi kolejnych NATO-wskich generałów o agresywnych planach Kremla. Kiedyś mówił o tym nasz dowódca, czyli gen. Wiesław Kukuła. Niedawno ostrzegał też najwyższy rangą generał Bundeswehry. „Rosja przygotowuje się do ataku na NATO w 2029 r." – stwierdził gen. Carsten Breuer. Szwedzki wywiad wojskowy w tegorocznym raporcie ocenił, że w ciągu 3–5 lat Rosja będzie gotowa do większej operacji przeciw państwom NATO, a w dłuższej perspektywie do wojny, której celem będzie podbój znacznych terytoriów.

„Pogłoski o zbliżającej się dużej wojnie poza frontem ukraińskim krążą nie tylko w prasie rosyjskiej, lecz także zachodniej. Wymieniane są różne daty ok. 2030 r." – takie zdanie można przeczytać na czołowym rosyjskim portalu militarnym „Wojennoje obozrienije". Pochodzi z artykułu „Przyszła europejska wojna". A w rosyjskich

Fot. KPRM

eprasa.pl ab1a4acd9d

mediach i tamtejszym internecie takich artykułów i komentarzy jest bez liku. Wszystkie utrzymane w tonie, że Rosja popełniła błąd, nie reagując stanowczo na to, że państwa europejskie pomogły Ukrainie. Na tym samym portalu jeden z autorów narzekał, że bomby nie spadły na żaden kraj NATO, przez którego terytorium szły dostawy z bronią dla walczącej Ukrainy. Rosyjski czytelnik jest faszerowany „argumentami", że Rosja nie uniknie konfrontacji z Zachodem, więc prewencyjnie powinna uderzyć pierwsza.

„Trudno oprzeć się wrażeniu, że wojna na Ukrainie to przygotowanie do jakiegoś większego konfliktu. Coś w rodzaju wojny domowej w Hiszpanii czy wojny zimowej z Finlandią. Dowodem na to jest zarówno rosnąca militaryzacja Europy, jak i uporczywe próby wykluczenia Rosji z organizacji międzynarodowych" – czytamy na rosyjskim portalu. Widać, kto jest winny, więc czytamy dalej: „W tej sytuacji rosyjskie próby przełamania blokady Kaliningradu przez przesmyk suwalski na granicy litewsko-polskiej byłyby całkiem logiczne. Zachodni analitycy uważają działania militarne w tym regionie za wysoce prawdopodobne. Stąd militaryzacja Niemiec, która ma na celu złagodzenie tego zagrożenia. Aktywna obrona Rosji nie ograniczy się do pogranicza polsko-litewskiego. Możliwe, że rosyjski Sztab Generalny skorzysta z ukraińskiego doświadczenia w przeprowadzaniu uderzeń dywersyjnych w głąb terytorium wroga. Podczas ostatniej wojny rosyjsko-szwedzkiej wojska rosyjskie zdobyły Gotlandię, co pozwoliło im kontrolować południową część Morza Bałtyckiego. Prasa zachodnia donosi o możliwym rosyjskim ataku na Spitsbergen, którego zdobycie zniosłoby potencjalną blokadę Murmańska i Siewierodwińska".

Polska opinia publiczna w większości jest słabo zaznajomiona z tematyką militarną, więc przyjmuje takie komunikaty z niedowierzaniem. Jak to – Rosja, która jest słabsza od NATO, biedna i z zacofaną gospodarką, poważy się na coś takiego?

KREML PRĘŻY MUSKUŁY

Rosjanie nie kierują się jednak taką logiką. Są przekonani, że społeczeństwa Zachodu pozostają zdemoralizowane, pacyfistyczne, więc „stary" Zachód ustąpi Rosji, oddając jej „nowy" Zachód, czyli kraje bałtyckie, a być może też jakiś buforowy kawałek Polski.

Jeszcze w czasach sowieckich opracowano koncepcję „deeskalacji przez eskalację", czyli np. zrzucenia bomby atomowej o niezbyt dużej mocy, tak aby spowodować spektakularne zniszczenia w jednym punkcie i wywołać przerażenie, a nie determinację u zaatakowanej strony, tym samym zmuszając ją do zawarcia natychmiastowego pokoju. W Rosji to myślenie nadal obowiązuje: „Psychologia użycia broni jądrowej uległa zmianie. Euforia związana z apokalipsą wydaje się przeszłością; broń jądrowa jest postrzegana jako środek techniczny o określonym zakresie zastosowań. Sens gwarantowanego zniszczenia wroga zanika, ponieważ celem wojny nie jest samobójstwo, lecz zwycięstwo nad wrogiem. Dlatego nie można wykluczyć ograniczonego użycia broni jądrowej przeciwko celom wojskowym: kwaterom głównym, bazom i skupiskom wojsk wroga. Współczesne technologie informatyczne pozwalają na rzucenie »mgły wojny« na takie niejednoznaczne działania. Na przykład w mediach wciąż nie ma konsensusu co do tego, kto wysadził zaporę na Zbiorniku Kachowskim".

> Potencjalny koszt wojny dla Polski waha się od 800 mld zł w wariancie ograniczonym do nawet 5,5 bln zł w scenariuszu pełnoskalowym – wynika z raportu „Ekonomiczne koszty wojny dla Polski", przygotowanego przez Związek Pracodawców i Przedsiębiorców oraz Defence Institute

Rosjanie uważają, że rozwój systemów bezzałogowych da im przewagę nad nowoczesnymi zachodnimi czołgami, artylerią i lotnictwem – „po stronie rosyjskiej kutry bezzałogowe są bardziej obiecujące na Morzu Bałtyckim niż duże krążowniki rakietowe". Wojna na Ukrainie dała im doświadczenie, którego nie mają armie zachodnie. Potwierdzają to doniesienia z ćwiczeń w Estonii i Szwecji, gdzie ukraińscy operatorzy dronów odgrywający rolę sił rosyjskich wygrywali z lepiej uzbrojonymi żołnierzami państw NATO. „Ukraińcy okazali się lepsi od szwedzkich żołnierzy w walce z użyciem dronów podczas ćwiczeń Aurora" – przyznał minister obrony Szwecji Pal Jonson.

Nastroje wśród rosyjskich komentatorów militarnych, które w dużym stopniu oddają to, co myślą tamtejsi decydenci, są wojownicze. Rosjanie uważają, że koniunktura im sprzyja, a otwarcie drugiego odcinka walk przełamałoby impas w kwestii ukraińskiej: „Wynik nadchodzącej wojny w Europie pozostaje niejasny. Oczywiste jest, że jak NATO obecnie wspiera Ukrainę, tak Chiny również poprą Rosję, ponieważ jeśli Rosja przegra, Chiny będą następne. Zwycięstwo Rosji pozwoliłoby na wyraźniejsze określenie granicy Morza Bałtyckiego, uspokoiłoby antyrosyjską histerię na Zachodzie i umożliwiłoby ponowne wywieszenie rosyjskiej flagi na igrzyskach olimpijskich".

SCENARIUSZE NARODOWEJ KATASTROFY

Polska będzie jedną z pierwszych ofiar tego myślenia. Z oczywistych powodów geograficznych i militarnych. Także psychologicznych – jesteśmy w Rosji znienawidzeni i ta nienawiść jest stale podsycana przez tamtejsze media.

eprasa.pl ab1a4acd9d

Agresja byłaby katastrofą dla naszego życia w każdym wymiarze. Bardzo dobrze pokazuje to opracowany niedawno raport pt. „Ekonomiczne koszty wojny dla Polski", przygotowany przez Związek Pracodawców i Przedsiębiorców oraz Defence Institute. Bezpośrednimi autorami są gen. Jarosław Gromadziński, wiceszef portalu Defence24 Jakub Palowski i ekonomista, prof. Konrad Trzonkowski.



Przedstawili trzy warianty skutków wojny.

Tak brzmią w skrócie:

„***Scenariusz 1*** zakłada ograniczony atak rakietowo-lotniczy i cyberuderzenia – bez inwazji lądowej. Już w tym wariancie PKB spada o 11,2 proc., inflacja osiąga 80 proc., a koszty odbudowy samej infrastruktury wynoszą 550 mld zł.

Scenariusz 2 to inwazja regionalna z okupacją Podlasia oraz Warmii i Mazur. 2 mln uchodźców wewnętrznych, PKB w dół o 29,4 proc., inflacja 160 proc., dług publiczny na poziomie 135 proc. PKB. Koszty odbudowy: 1,2 bln zł.

Scenariusz 3 – pełnoskalowa inwazja z trzech kierunków, linia frontu na Wiśle i Sanie, to już bankructwo państwa. PKB minus 55 proc., hiperinflacja 850 proc., bezrobocie powyżej 43 proc. w wolnych rejonach kraju. Całkowite koszty odbudowy: do 5,5 bln zł".

Te liczby były kwestionowane przez niektórych uczestników dyskusji na forach internetowych jako zbyt wysokie. Nie ma to jednak większego znaczenia – nawet gdyby były niższe, doszłoby do załamania gospodarczego i społecznego, oznaczającego straszliwie nieszczęścia oraz nędzę ogromnych rzesz Polaków. Nawet pierwszy wariant, ten najbardziej ograniczony, oznacza ataki na kluczową infrastrukturę. Uderzenia w Naftoport i rafinerie, czyli dziesiątki tysięcy pojazdów unieruchomionych z braku paliwa. Także uderzenia na elektrownie. Polska już teraz ma przeciążoną sieć energetyczną i niedostateczną produkcję prądu, więc całe regiony zostałyby pozbawione elektryczności.

Aby uzmysłowić sobie grozę sytuacji w „najlżejszym scenariuszu", trzeba przywołać szacunkowe prognozy dotyczące natężenia ataku. Autorzy przyjmują, że Rosja wystrzeliłaby na nasze głowy ok. 1 tys. pocisków balistycznych, z których OPL strąciłaby tylko 40 proc. Także tysiąc pocisków manewrujących, gdzie mamy większe możliwości obrony – 85 proc. strąceń, ok. 8 tys. dronów (75 proc. zestrzeleń) oraz naloty lotnicze z użyciem bomb szybujących.

Każdy z powyższych wariantów oznacza falę emigracji. Byłyby to wyjazdy ludzi najbardziej energicznych, w większości młodych. Najlepiej wykształconych – inżynierów, lekarzy, naukowców, specjalistów o cennych kwalifikacjach. Kryzys demograficzny przerodziłby się w trwałą zapaść, prawdopodobnie niemożliwą do odwrócenia. Polska przestałaby być krajem bezpiecznym z punktu widzenia inwestorów. Także turystów, a dotyczy to branży, która dzisiaj daje zatrudnienie prawie 1 mln Polaków. Cały wschód kraju – nawet w pierwszym wariancie – zmieniłby się w wyludnioną pustynię.

Dlatego najważniejszy jest wariant „Zero". Taki, w którym nie dojdzie do agresji, bo Kreml przestraszy się ryzyka trudnej wojny, której nie będzie mógł wygrać. To kwestia odstraszania. Sami nie mamy potencjału, aby wywołać taki efekt. Europa – „Gejropa", jak pogardliwie nazywają ją Rosjanie – też nie ma takiej mocy. I nie ma znaków, aby ją osiągnęła. Przynajmniej w przewidywalnej przyszłości. Opowieści o „francuskim parasolu", snute przez polityków i liberalne media, były szkodliwym bajdurzeniem, które zamieszało w głowach wielu obywateli naszego kraju. Zostaje Ameryka – ze wszystkimi pozytywnymi i negatywnymi cechami. Z prezydentem Donaldem Trumpem i każdym następnym, który w przyszłości zajmie jego miejsce.

Z głębokim smutkiem
przyjęliśmy wiadomość o śmierci

ŚP.
WOJCIECHA
HRYNKIEWICZA

wieloletniego współpracownika,
profesjonalnego, życzliwego i dobrego człowieka.

Rodzinie i Bliskim składamy
wyrazy głębokiego współczucia.

Rada Nadzorcza, Zarząd i Pracownicy
Kasy Krajowej

21/0526/F

eprasa.pl ab1a4acd9d



Liberalny kostium faszyzmu

Policja dostaje kilkadziesiąt zawiadomień o możliwości zagrożenia życia i popełnienia przestępstwa pod precyzyjnymi adresami. Wszystkie one to mieszkania pracowników opozycyjnej telewizji Republika. Funkcjonariusze nachodzą i przeszukują bez prawnego nakazu domy kilkorga dziennikarzy. Republika informuje policję, że wspomniane powiadomienia to fejki i należałoby w celu zbadania gromadzić je w jednym miejscu. Bez rezultatu



BRONISŁAW WILDSTEIN

Funkcjonariusze siłą wdzierają się do mieszkania redaktora naczelnego stacji Tomasza Sakiewicza. Nie mają nakazu rewizji ani plakietek z nazwiskami i pomimo wezwań nie legitymują się. Zachowują się agresywnie i zaraz po wejściu zakładają kajdanki asystentce Sakiewicza, która protestuje przeciw najściu. Pomimo sprzeciwów przeszukują mieszkanie, a kajdanki zdejmują kobiecie dopiero przy wyjściu.

Pretekstem do wkroczenia policjantów był telefon „dziecka", które zawiadamiało, że chce popełnić samobójstwo. – Niestety, nie ma tu żadnego dziecka – przekazuje przez telefon jeden z funkcjonariuszy, którego nagrał Sakiewicz.

Szef MSWiA informuje, że: „policja podejmowała działania w związku z możliwym zagrożeniem życia". Na konferencji prasowej wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz poucza dziennikarza Republiki, że policja dba o bezpieczeństwo jego i jego kolegów.

eprasa.pl ab1a4acd9d



Na farmie trolli Romana Giertycha „Silni Razem" entuzjazm: „Pokazaliśmy Republice!" – to wersja cenzuralna. Sam Giertych, wiceprzewodniczący rządzącej partii, wraz z swoimi kolegami w rodzaju ks. Kazimierza Sowy sugeruje intymne związki Sakiewicza z asystentką, dając do zrozumienia, że interwencja odbyła się po zmroku. W rzeczywistości odbyła się za dnia i nie miała, w każdym razie oficjalnie, badać intymnego życia naczelnego telewizji.

Protesty Republiki, prezydenta i PiS wykpiwane są przez dominujące ośrodki opiniotwórcze jako typowa dla populistycznej prawicy „obsesja spiskowa". Było to przecież „rutynowe działanie policji". Wynika z tego, że normą policji polskiej jest natychmiastowa interwencja w wypadku każdego internetowego zgłoszenia. Jeśli zabraknie funkcjonariuszy, ściągani są z odległych posterunków. Do Sakiewicza policjanci przybyli ze Śląska.

Wyobraźmy sobie podobnie uzasadnioną interwencję policji w mieszkaniu Adama Michnika albo redaktora naczelnego TVN24 czy Onetu za czasów rządu PiS. I podobne zachowanie władz. Światowe media i rządy uznałyby to za dowód zapanowania w Polsce faszyzmu. Rezolucję Parlamentu Europejskiego, interwencję KE i innych gremiów UE oraz międzynarodowych stowarzyszeń dziennikarskich mielibyśmy zapewnione.

ŚMIESZNA SPRAWA CZY ROSYJSKA PROWOKACJA?

Sprawę trudno jednak zamilczeć. Znalezione zostają osoby, z których skrzynek wysyłano powiadomienia. Już wcześniej zgłaszały one włamania. Policja deklaruje, że była to szeroka, dobrze zaplanowana akcja. Tropy mają prowadzić poza granice Polski, a śledczy analizują „wątek wschodni" sprawy.

Dlaczego policja nie zainteresowała się nią wcześniej, a reagowała podobno wyłącznie w rutynowy sposób? Dlaczego mimo posiadanych informacji nie tylko służby, lecz także przedstawiciele rządu dali się wywieść w pole jak dzieci?

Szef MSWiA wskazał już winnych. „Policja działa, żeby zdemaskować winnych szerzenia nieprawdziwych alarmów. W tej sprawie potrzeba współpracy wszystkich zainteresowanych. Niestety są tacy, którzy zamiast współpracować z Policją, szerzą spiskowe teorie. A czynią to dla osiągnięcia politycznych korzyści" – ogłosił Kierwiński.

Kolejne „bombowe" zgłoszenia dotyczą wPolsce24, a nawet TVP w likwidacji. Tak wygląda technika szumu informacyjnego.

Można przyjąć, że za prowokacją wymierzoną w Republikę stoją rosyjskie służby. Dlaczego policja i jej zwierzchnicy nie tylko tak łatwo dali się na nią nabrać, lecz także wykorzystali ją, aby dokonać nielegalnych rewizji oraz akcji zastraszania niezależnych dziennikarzy? Dlaczego dołączyła do tego wielka część dominujących mediów, próbując ośmieszyć ofiary prowokacji?

Założyć można, że jest ona dziełem platformerskich bojówek w rodzaju „Silnych Razem". Pokazywałoby to, dokąd prowadzi permanentna nagonka na niezależne media oraz prawicę jako formację. Posłużenie się przez władze tego typu przestępczą akcją każe pytać o stopień jej degeneracji. Bardziej drastycznie pytanie to jawi się przy założeniu moskiewskiej prowokacji.

Ten ostatni wariant uprawdopodobniony jest przez konsekwentną strategię Tuska i jego obozu. Lider, który długie lata zabiegał o sympatię Moskwy i oskarżał krajowych przeciwników o rusofobię, po przejęciu władzy zaczął pomawiać ich o rusofilię i sprzyjanie Putinowi. Wielka akcja propagandowa, której absurdy i sprzeczności tonęły w monstrualnej skali przekazu, pogłębiała napięcie wewnętrzne i uderzała w polską rację stanu.

> Uderzenie służb rządzącej koalicji w dziennikarzy Republiki to krok w kierunku likwidacji wolności słowa i mediów w Polsce. Próba zabezpieczenia kryptodyktatury

Rząd PiS, który bezpośrednio po ofensywie Rosji na Kijów dostarczył Ukrainie największej pomocy, umożliwiając jej przetrwanie, został pomówiony o tajne negocjacje z Putinem w sprawie jej rozbioru. Oszczerstwo to pierwszy rzucił Giertych, ale wsparł go inny lider PO, Radosław Sikorski. Pomówienia te, traktowane jako informacje, wywołują oburzenie Ukraińców i podważają nasze relacje z nimi. Przyczyniają się do zastępowania polsko-ukraińskiego aliansu sojuszem ukraińsko-niemieckim. Należy postrzegać to w kontekście dyplomatycznej gry Berlina, który próbuje budować alternatywne warianty swoich międzynarodowych układów z Moskwą lub Kijowem, neutralizując niewygodną Polskę.

WEZWANIE DO PRZEMOCY

Uderzenie służb rządzącej koalicji w dziennikarzy Republiki to krok w kierunku likwidacji wolności słowa i mediów w Polsce. Próba zabezpieczenia kryptodyktatury. Czy można uznać ją za akt tworzenia w Polsce faszyzmu?

Wrzucanie do worka z tym napisem wszystkich politycznych zagrożeń jest absurdalne i destrukcyjne dla cywilizowanej polityki. Ma charakter instrumentalny i służy piętnowaniu przeciwników oraz uniemożliwieniu publicznej debaty. Z faszystami się nie dyskutuje.

eprasa.pl ab1a4acd9d

„Z autorami »Gazety Polskiej«, podobnie jak z jej czytelnikami, już nie można dyskutować, nie ma płaszczyzny do polemiki, zostaje tylko mordobicie lub mord po prostu". Oto wyimek z felietonu poety Tomasza Jastruna.

Andrzej Seweryn, aktor, reżyser, szef teatru już jakiś czas temu przekazał internetowo przesłanie swojemu wnukowi. „Tym wszystkim Trumpom, Kaczyńskim, Orbánom pierd...ym trzeba przypier...lić. Żadnych dialogów chrześcijańskich, żadnego rozumienia, debaty, porozumienia, nie kurwa, faszystom trzeba przypier...alać, a nie dyskutować z nimi, bo oni będą używali tego dialogu, żeby ciebie zrobić w dupę po prostu [...]. To są bandyci po prostu [...] dziecko, pamiętaj: przypier...lić!".

Przytaczam przykłady wypowiedzi przedstawicieli elity. Nie naruszyły one ich pozycji ani reputacji. Wezwania do najdalej idącej przemocy spotykają się z akceptacją.

Skoro obrońcom *status quo* udało się doprowadzić do tego, że wszyscy jego przeciwnicy są co najmniej podejrzani o faszyzm, warto zastanowić się, na ile maska ta pasuje do oblicza liberalnego establishmentu.

NIENAWIŚĆ I DEHUMANIZACJA

Jedną z istotnych cech faszyzmu, którą dzielił on z komunizmem, był projekt stworzenia nowego społeczeństwa. To także horyzont dominującej dziś liberalnej ideologii emancypacji. Polega ona na próbie wyzwolenie człowieka od cywilizacyjnych uwarunkowań. Postęp ma wymagać, aby odrzucić wszelkie tożsamości: religijne, kulturowe czy narodowe, a nawet płciowe. Mamy samostwarzać się, a uznawane za naturalne cechy winny być przezwyciężone.

Byt, w który mamy się przepoczwarzyć, jest nam nieznany, toteż cała energia tego przedsięwzięcia, jak zwykle w ideologicznych projektach, skierowana jest na demontaż istniejącej cywilizacji. Doktryna emancypacyjna ma być humanizmem, ale jej przedstawiciele nie odczuwają żadnego związku z tymi, którzy są przywiązani do dawnych tożsamości. Zawadzają oni na drodze postępu, a zatem ich anihilacja będzie w pełni uzasadniona. W naszej „humanitarnej" epoce nie dokonuje się ona drogą rozwiązania ostatecznego czy eliminacji klasy pasożytów, ale poprzez odebranie im możności funkcjonowania. Wyznawcy chrześcijaństwa mają redukować je i zamykać w ścianach swoich mieszkań (tym jest uznanie religii za sprawę prywatną), narody mają otworzyć się na niekontrolowaną imigrację, kultury mają rozpłynąć się w wielokulturowej magmie, kobiety i mężczyźni mają zostać ujednoliceni. Doprowadzić ma do tego nowe prawo wywiedzione z ideologicznie rozumianych praw człowieka, które oderwane od prawa natury znaczą dowolny projekt silniejszych.

Przywiązani do swoich tradycyjnych, czyli istniejących tożsamości poddani zostają pedagogice wstydu, przemocy symbolicznej, a w konsekwencji przemocy realnej, egzekwowanej przez system coraz bardziej totalitarnego prawa i bojówki usiłujące uniemożliwić funkcjonowanie przeciwników liberalnego totalitaryzmu.

W efekcie niszczone są wspólnoty, które stanowią naturalne środowisko człowieka, a samotne jednostki stają bezradne naprzeciw sił, które chcą nimi zawładnąć: centrów opiniotwórczych, potężnych korporacji czy wielkiego biznesu.

Ideologia jest doskonałym instrumentem panowania. Usprawiedliwia wszelkie poczynania podejmowane w jej imię. Ci, którzy się do niej odwołują, uzyskują szczególne uprawnienia.

Oto *modus* działania faszyzmu i każdego totalitaryzmu. Rozbijanie istniejących struktur społecznych, aby zapanować nad samotnym tłumem. Totalna władza wobec bezbronnych jednostek pozbawionych tożsamości i wspólnot.

> Wyobraźmy sobie podobnie uzasadnioną interwencję policji w mieszkaniu Adama Michnika albo redaktora naczelnego TVN24 czy Onetu za czasów rządu PiS. I podobne zachowanie władz. Światowe media i rządy uznałyby to za dowód zapanowania w Polsce faszyzmu

Unia Europejska jest wehikułem ideologii emancypacji. Usiłuje prawnie zablokować sprzeciw wobec niej, ostatnio pod hasłem walki z „mową nienawiści".

Cechą reprezentatywną faszyzmu jest przemoc, a przywołane wcześniej wezwania do niej oddają mentalną postawę ich współczesnego wcielenia. Przemoc jest podsycana nienawiścią przeciw dehumanizowanym przeciwnikom. We współczesnym świecie odwróconym są oni stygmatyzowani jako faszyści.

ANTYPOPULIZM, CZYLI ANTYDEMOKRATYZM

Eksperyment emancypacyjny wymaga pełni władzy dla jego organizatorów. Przeszkadza w tym demokracja, a zatem w jej miejsce należy powołać jej liberalny wariant, który będzie miał tyle z nią wspólnego, co jej „ludowa" wersja.

Faszystowski antydemokratyzm został obecnie zastąpiony antypopulizmem. Realna demokracja jest zwalczana jako populizm.

Idea „demokracji liberalnej" polega na zredukowaniu jej do fasady. Oznacza, że nie wolno nam odejść od ideologii liberalnej, tak jak w wypadku „demokracji ludowej" nie mogliśmy zakwestionować komunizmu. Dominujące ośrodki opiniotwórcze negują samo istnienie tej ideologii i przedstawiają ją jako wyraz postępu i racjonalności, optymalny model sprawiedliwości i zrealizowanej wolności.

Ponieważ społeczeństwa Zachodu nie zgodziłyby się na oficjalne odrzucenie demokracji, establishment dąży do wy-

eprasa.pl ab1a4acd9d

drążenia jej z treści. Podstawowe rozwiązania mają zostać narzucone prawnie i wyjęte spod debaty publicznej.

Oligarchia, czyli rządy nielicznych we własnym interesie, może występować pod szyldem demokracji wtedy, gdy nie ma ugrupowań politycznych, które kwestionują ich prawomocność. W Europie udało się to osiągnąć poprzez kolonizację tradycyjnej prawicy, która stopniowo uległa przewadze liberalno-lewicowych elit i stała się nieodróżnialna od lewicy. Ta homogenizacja zaczęła się kruszyć, od kiedy niezadowolenie Europejczyków doprowadziło do pojawienia się partii, które wzięły na siebie rolę ich politycznej reprezentacji. Są one stygmatyzowane jako populistyczne i wypychane z życia publicznego, ale ponieważ sprzeciw narasta, stają się coraz większym zagrożeniem dla europejskiej oligarchii, która stosuje coraz drastyczniejsze metody obrony swojego panowania. Najdalej w likwidacji demokracji i norm prawa posunął się Tusk. Jego strategia to eksperyment establishmentu europejskiego, który sprawdza, jak daleko może pójść w kierunku uczynienia z „demokracji liberalnej" kryptodyktatury czy faszyzmu w liberalnym kostiumie.

ZAMKNĄĆ KONKURENTÓW

Wielokrotnie pisałem już, że rządząca dziś w Polsce koalicja atakuje demokrację, porządek prawny i podważa funkcjonowanie państwa. Polityka ta narusza zasady polityki wypracowane w cywilizacji zachodniej. Towarzyszą temu posunięcia wymierzone w podmiotowość naszego kraju. Tym jest bowiem przekazywanie kompetencji państwa na rzecz struktur unijnych: uznanie TSUE za nadrzędną instytucję polskiego prawa czy podpisanie SAFE, które uzależnia naszą obronność od decyzji obcych gremiów. Działania te przekreślają polską konstytucję.

Moje uwagi są zbywane jako radykalne, przesadzone, a obecna polityka Tuska postrzegana jest nawet przez część jego krytyków jako zradykalizowanie metod, które już wcześniej funkcjonowały w III RP. Jeśli nawet przyjęlibyśmy tę niewłaściwą interpretację, to powinniśmy zdać sobie sprawę, że znacząca intensyfikacja określonych działań potrafi zasadniczo zmienić ich charakter.

Koalicja 13 grudnia usiłuje zlikwidować opozycję, kryminalizując ją. To typowo faszystowska czy komunistyczna strategia. Przejęcie władzy przez faszystów wiąże się z prześladowaniem przeciwników, likwidacją opozycyjnych ugrupowań i osadzeniem w więzieniu ich przywódców. Oskarżenia wymierzone w polityków prawicy mają charakter polityczny, co widać doskonale na przykładzie największej kampanii wymierzonej w byłego ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobrę. Przestępstwa, które miał jakoby popełnić, to zaniedbania urzędnicze. Ponieważ nie kwalifikują się do aresztu śledczego, oskarżono ministra o przynależność do „zorganizowanej grupy przestępczej". Wynika z tego, że był nią poprzedni rząd czy co najmniej Ministerstwo Sprawiedliwości.

POMÓWIENIE I PROWOKACJA

Wszystko to rozgrywa się na tle gigantycznej kampanii pomówień, której koronnym przykładem było ogłoszenie przez Tuska, że PiS ukradło 100 mld zł. Żadne uzasadnienia na rzecz tego oszczerstwa nie zostały przedstawione. Tak jak i na rzecz kolejnych akcji pomówień, które służyły przedstawieniu PiS jako zorganizowanej grupy przestępczej. Komisje sejmowe usiłują przyczepić poprzednim rządom kolejne przestępstwa: „aferę" Pegasusa czy „wizową". W rzeczywistości odsłaniają wyłącznie nicość oskarżeń, ale propaganda Tuska zastępuje argumentację kolejnymi ofensywami pomówień. Tak samo traktowane są opozycyjne media. Wymierzona w nie kampania nienawiści oskarża je o mowę nienawiści.

Najdalej w likwidacji demokracji i norm prawa posunął się Tusk. Jego strategia to eksperyment establishmentu europejskiego, który sprawdza, jak daleko może pójść w kierunku uczynienia z „demokracji liberalnej" kryptodyktatury czy faszyzmu w liberalnym kostiumie

Perspektywa przeobrażenia społeczeństwa, jego modernizacji i transformacji ma wszystko usprawiedliwić. Faszyzm to rewolucja nihilizmu. Klasyczny system wartości i pojęć jest na każdym kroku negowany, a faszystowski lider, by osiągnąć cel, może odwoływać się do przeciwstawnych idei czy zasad. Jak Tusk. Może powoływać się na katolicyzm i sygnować atakujący kościoły „strajk kobiet". Może gromić projekty inwestycyjne PiS jako narodową megalomanię i oskarżać je o brak narodowych treści. Jego ludzie mogą przedstawiać budowę zapory na granicy z Białorusią jako zbrodnię, a potem utrzymywać, że dopiero rządowi PO udało się ją skonstruować.

Typową faszystowską (i komunistyczną) metodą jest używanie prowokacji w polityce. Ekipa Tuska posługiwała się nią już wcześniej, np. przeciwko Marszowi Niepodległości. Teraz technikę taką na szeroką skalę możemy obserwować w działaniach wymierzonych w Republikę.

* * *

Historia nigdy nie powtarza się w tym samym kształcie. Niemniej postawy i metody działania człowieka, jakkolwiek zmieniają się wraz z czasem, w swojej zasadzie pozostają podobne. Dlatego można mówić o faszystowskiej mentalności i technikach, choć bardziej adekwatne byłoby uznanie ich za symptom postawy rewolucyjnej. Dziś reprezentują ją środowiska liberalne.

eprasa.pl ab1a4acd9d





Ścigani:

Zbigniew Ziobro i Waldemar Żurek

Przed amerykańskim sądem może stanąć nie tylko Zbigniew Ziobro, lecz także polski wymiar sprawiedliwości



DARIUSZ MATUSZAK

Sprawa ewentualnej ekstradycji Ziobry do Polski będzie miała w USA kontekst głównie polityczny. To dobra i zła wiadomość zarówno dla niego, jak i tych, którzy go ścigają, a więc premiera Tuska i ministra Żurka. Na pewnym etapie samej procedury być może będą mogli nawet odtrąbić wielki sukces, wykorzystując to, że przecież nie znamy amerykańskiego prawa. Jakkolwiek wszystko się nie skończy, to sprawa doszczętnie skompromituje w USA polski wymiar sprawiedliwości i całą uśmiechniętą demokrację.

NA CO CZEKA ŻUREK?

Pierwszą rzeczą, jaką musi zrobić minister Żurek, by dopaść Ziobrę, to złożyć wniosek o ekstradycję z powołaniem się na umowę z 1996 r. pomiędzy USA a Polską. Im wcześniej to zrobi, tym lepiej, z tym że jednocześnie – tym gorzej. Wiem, że to brzmi kompletnie bez sensu, ale to nie moja wina, że Żurek jest ministrem. Najpierw wniosek za pośrednictwem polskiej dyplomacji trafia do Departamentu Stanu, a potem Sprawiedliwości. Do wniosku musi być dołączone postanowienie polskiego sądu o aresztowaniu Ziobry. Zostało wydane w lutym, na trzy miesiące – tak jak maksymalnie przewiduje prawo – ale jest nieprawomocne. Departament Sprawiedliwości może więc uznać, że postanowienie nie istnieje, więc wniosek jest niekompletny i odrzucić go bez dalszego procedowania. Dlatego Żurek nie chce składać wniosku już teraz i dlatego nie może wydusić od sądu Europejskiego Nakazu Aresztowania. Czeka do września, kiedy ma się odbyć kolejna rozprawa, na której Sąd Okręgowy w Warszawie może ostatecznie uprawomocni postanowienie o areszcie i wtedy uroczyście dołączy je do wniosku. Wtedy będzie musiał jednak wytłumaczyć, jak w ogóle jest możliwe, by przez siedem miesięcy decydowano o tym, czy można, czy nie można aresztować kogoś na trzy miesiące. Inaczej mówiąc, przed Departamentem Sprawiedliwości i sądem federalnym zostanie przedstawiony polski koncept, że można kogoś wsadzić do aresztu na trzy miesiące i przez siedem badać, czy było to zasadne. Ludziom Żurka nie pozostanie nic innego, jak dowodzić, że te trzy miesiące to tylko taka lipa i w Polsce można

Fot. Liudmyla Skwarczyńska, Andrzej Wiktor

eprasa.pl ab1a4acd9d

trzymać kogoś w areszcie, ile się chce, wydając kolejne postanowienia.

GDZIE JEST ZIOBRO?

We wniosku muszą być dane osoby wskazanej do ekstradycji i miejsce jej pobytu lub informacje, które pozwolą to ustalić. Żurek oznajmił, że Ziobro jest w Waszyngtonie, ale tu zaczynają się jego kolejne kłopoty, bo jak wynika z jego wywiadu w Polsacie, nie odróżnia stanu Waszyngton od miasta Waszyngton, stolicy Stanów Zjednoczonych. On wie, że w którymś Waszyngtonie: „Mówimy o tym, który jest najbardziej znany" – błyszczał w telewizji erudycją.

Miejsce pobytu Ziobry musi ustalić strona polska, a jest ono potrzebne nie po to, by go złapać i trzymać za kratami, tak jak w Polsce, w nieskończoność, tylko po to, by rozstrzygnąć, który sędzia federalny, z którego okręgu, zajmą się sprawą. I tu wszystko zależy od szczęścia. Sprawa może trafić do jednego z lewackich oszalałych sędziów od Obamy czy Bidena (to prezydenci ustanawiają sędziów federalnych), przy których nawet nasza Iustitia jest intelektualnie zrównoważona. Np. sędzia Wanda Licitra czy Judy Morales masowo wypuszczają bez kaucji oskarżonych nawet o ciężkie przestępstwa recydywistów, w tym pedofilów, jeśli są murzynami albo Latynosami czy nielegalnymi imigrantami. Ci biedacy są bowiem ofiarami systemowego rasizmu, dyskryminacji i czego tam jeszcze. Na Wschodnim i Zachodnim Wybrzeżu są całe tabuny postępowych sędziów i jak sprawa o ekstradycję trafi do takiego, a on szybko się dowie, że Ziobro był członkiem prawicowego, rasistowskiego, faszystowskiego, homofobicznego rządu, to klepnie wniosek bez analizowania. I wtedy Żurek może przeżyć chwile szczęścia. Tryumfować i ogłosić, że nawet amerykańskie sądy poznały się na tym, jakim strasznym przestępcą jest Ziobro.

PRAWDZIWA ROZPRAWA

Minister Żurek nie może wskazać prawidłowego amerykańskiego sędziego, który ma się zająć sprawą o ekstradycję, więc niewykluczone, że trafi ona do normalnego człowieka. I wtedy zacznie się prawdziwa rozprawa, w której strony, a więc także obrońcy Ziobry, będą publicznie przedstawiać swej racje. Być może sam Żurek pojedzie do USA. „Na pewno musimy zapoznać amerykańską opinię publiczną z tym, jak wygląda sprawa Ziobry [...]. Są media amerykańskie, więc ja myślę, że w tych ważnych mediach powinniśmy udzielić odpowiednich wywiadów, informacji" – mówił w Polsacie.

Teraz zacznie się badanie wniosku. Najistotniejsze jest to, czy zachodzi tzw. dual criminality – sprawdzanie, czy to, o co jest podejrzany Ziobro, stanowi przestępstwo także w USA. Najpoważniejszy zarzut dotyczy kierowania zorganizowaną grupą przestępczą. W USA koncept grupy przestępczej jest rozumiany zupełnie inaczej – na podstawie ustawy RICO z 1970 r. i właściwie nawet nie istnieje pojęcie kierowania nią. Występy Żurka będą wyglądać jak z niechlubnych polish jokes, bo będzie musiał przekonywać tamtejszy sąd, że u nas Ministerstwo Sprawiedliwości zorganizowało się do popełniania przestępstw i ten, kto zatrudnił się w resorcie, wstąpił do grupy przestępczej. Najprawdopodobniej ten zarzut zostanie oddalony. Podobnie jak kwestia Pegasusa.

Pozostają jednak sprawy niegospodarności, sprzeniewierzenia, ustawianie konkursów i nieuprawnione wydatkowanie środków publicznych. Wszystko to są ścigane w USA przestępstwa federalne, więc sąd najprawdopodobniej uzna, że wymóg dual criminality został spełniony. Sąd ekstradycyjny nie będzie badał, czy Ziobro popełnił zarzucane mu czyny, tylko czy istnieje prawdopodobieństwo, że mógł to zrobić. W grę wchodzi kwestia motywacji strony rządowej i to sąd może sprawdzać.

Umowa między Polską a USA wyklucza ekstradycję w przypadku tzw. przestępstw politycznych. Sąd może uznać, że Ziobro jest ścigany nie z powodu popełnienia zarzucanych mu czynów, tylko z pobudek politycznych. Jego obrońcy będą mieli potężne argumenty i dowody. Są nimi m.in. raport i list kongresmenów, głównie republikańskich z Komisji Sprawiedliwości Izby Reprezentantów, na temat łamania praworządności przez rząd Tuska, który jest wprost oskarżany o używanie aparatu sprawiedliwości jako broni przeciwko opozycji. Potem powstał podobny raport Hudson Institute i kolejny Komitetu Spraw Zagranicznych Izby Reprezentantów o prześladowaniu opozycji w czasie wyborów prezydenckich. Wszystkie te dokumenty powstały w 2025 r., więc nikt nie będzie mógł zarzucić, że przygotowano je pod sprawę ekstradycji Ziobry. Jego obrońcy będą mogli dowodzić, że do łamania prawa dochodzi systematycznie i systemowo.

CYRK I POGRZEB

Jeśli Żurek chce uwagi mediów i amerykańskiej opinii publicznej, to może się jej doczekać. Kluczowa jest jeszcze sprawa gwarancji uczciwego procesu. 6. poprawka do konstytucji jako część Karty Praw (Bill of Rights) gwarantuje prawo do szybkiego i publicznego procesu. Prawo federalne – a na jego podstawie toczą się sprawy o ekstradycję – w Speedy Trial Act określa, co to znaczy „szybki proces". Jeśli podsądny zostaje tymczasowo aresztowany, to nie można go przetrzymywać, ile się chce, tylko akt oskarżenia musi trafić do sądu w ciągu 30 dni. A w ciągu kolejnych 70 dni musi rozpocząć się proces. Ziobro jest podejrzany w tej samej sprawie co ks. Olszewski, który został aresztowany w marcu 2024 r. i przesiedział siedem miesięcy. Akt oskarżenia wpłynął do sądu dopiero po roku, a proces rozpoczął się niemal po dwóch latach – pierwsza rozprawa odbyła się w styczniu 2026 r. Podobnie było w przypadku kobiet z ministerstwa. Żurek czy ktoś od niego będzie musiał to wszystko tłumaczyć przed amerykańskim sądem. Być może także to, że prokurator generalny sugerował porwanie podsądnego i przewiezienie w bagażniku. Druga osoba w państwie – marszałek Sejmu, a więc ktoś taki jak spiker Izby Reprezentantów – publicznie mówi przed procesem, że jego przeciwnik polityczny będzie siedział. W tym kontekście sprawa o ekstradycję Ziobry stanie się procesem przeciwko polskiemu wymiarowi sprawiedliwości i polskiej polityce.

A na sam koniec, nawet jeśli sąd od jakiejś postępowej sędzi od Obamy albo po długotrwałych rozprawach wyrazi zgodę na ekstradycję, Żurek już nie doczeka tego w ministerstwie, bo będzie po wyborach, cała sprawa i tak trafi zaś do sekretarza stanu Marco Rubio. Tego samego, którego zastępca Christopher Landau wyraził zgodę na przyznanie Ziobrze wizy. To Rubio podejmie taką albo inną decyzję i nikomu nie będzie się z niej tłumaczył. Jedno jest pewne: Amerykanie, którzy będą śledzić sprawę o ekstradycję Ziobry, pojmą, że kto stawał przed polskim wymiarem sprawiedliwości, ten się w cyrku nie śmieje, a na pogrzebie nie płacze.

eprasa.pl ab1a4acd9d

Koniec bezkarności pseudomedycznych guru

Rząd przyjął projekt nowelizacji ustawy o prawach pacjenta i Rzeczniku Praw Pacjenta, określany już potocznie jako „lex szarlatan". To jedna z tych regulacji, które pojawiają się późno, ale są odpowiedzią na problem narastający od lat. Państwo przez długi czas przyglądało się bezradnie, jak w przestrzeni publicznej rozwija się cały rój samozwańczych ekspertów od zdrowia: internetowych guru, naturoterapeutów, bioenergoterapeutów i byłych medyków, którzy po utracie uprawnień budowali nowe kariery na sprzedaży „alternatywnej prawdy"



DOROTA ŁOSIEWICZ



eprasa.pl ab1a4acd9d

Nowe przepisy mają ukrócić ten proceder. I choć przeciwnicy zmian próbują przedstawiać ustawę jako zamach na wolność wyboru, zielarstwo czy medycynę naturalną, rzeczywistość jest zupełnie inna. „Lex szarlatan" nie zakazuje jogi, masażu, podologii, kosmetologii ani ziołolecznictwa. Uderza w tych, którzy podszywają się pod autorytet medyczny i przypisują niesprawdzonym metodom właściwości lecznicze, narażając pacjentów na realne szkody. To ustawa, która w gruncie rzeczy dotyczy nie tyle samego zdrowia, ile granic odpowiedzialności za słowo i konsekwencji manipulowania ludzką nadzieją.

„Lex szarlatan" według założeń jego autorów ma eliminować takie praktyki jak: diagnozowanie i leczenie chorób bez stosownych uprawnień medycznych (np. wykonywanie czynności lekarskich bez dyplomu lekarza); oferowanie i stosowanie u pacjentów metod bezwartościowych medycznie, niezgodnych z aktualną wiedzą medyczną, ale które są przedstawiane, reklamowane i oferowane jako skuteczne w leczeniu chorób (przypisywanie właściwości leczniczych wbrew faktom); dezinformacja medyczna – rozumiana jako działania wprowadzające w błąd i polegające na publicznym rozpowszechnianiu lub promocji metod niezgodnych z aktualną wiedzą medyczną jako skutecznych w leczeniu chorób lub kwestionowaniu uznanych metod leczniczych; prowadzenie działalności leczniczej bez uzyskania wpisu do Rejestru Podmiotów Wykonujących Działalność Leczniczą.

WZMOCNIENIE RZECZNIKA

Projekt nowelizacji znacząco wzmacnia kompetencje Rzecznika Praw Pacjenta. Do tej pory jego możliwości działania były ograniczone przede wszystkim do podmiotów formalnie działających w systemie ochrony zdrowia. Tymczasem pseudomedyczny biznes już dawno nauczył się funkcjonować poza nim. Fałszywi terapeuci nie otwierali gabinetów lekarskich. Zakładali „centra holistycznego rozwoju", „instytuty naturalnego zdrowia", prowadzili webinary, konferencje i konsultacje online. Formalnie nie leczyli. W praktyce diagnozowali, doradzali, nakłaniali do porzucania terapii i sprzedawali własne rozwiązania. Nowe przepisy mają to zmienić.

Rzecznik Praw Pacjenta otrzyma możliwość wydawania publicznych ostrzeżeń przed niebezpiecznymi praktykami, nakazów ich natychmiastowego zaprzestania, decyzji zabezpieczających jeszcze przed zakończeniem postępowania oraz nakładania kar finansowych sięgających nawet 1 mln zł. To nie jest kosmetyczna poprawka legislacyjna. To próba zbudowania realnej tamy dla biznesu bazującego na pseudonauce.

CZYM JEST PRAKTYKA PSEUDOMEDYCZNA?

Jednym z najważniejszych elementów ustawy jest nowa definicja praktyk pseudomedycznych. Aby dane działanie mogło zostać uznane za pseudomedyczne, konieczne będzie wykazanie, że zostało podjęte w celu osiągnięcia korzyści majątkowej lub osobistej oraz polegało na przypisywaniu niesprawdzonym metodom działania leczniczego albo zniechęcaniu pacjentów do korzystania z metod zgodnych z aktualną wiedzą medyczną. To niezwykle istotne doprecyzowanie.

Ministerstwo Zdrowia wyraźnie zaznacza, że ustawa nie penalizuje działalności wspierających dobrostan. Nikt nie będzie ścigał instruktora jogi za prowadzenie zajęć relaksacyjnych, zielarza za sprzedaż naparów czy masażysty za terapię manualną.

Granica przebiega tam, gdzie ktoś zaczyna twierdzić, że jego metoda „leczy raka", „cofa autyzm", „usuwa ADHD", „zastępuje farmakoterapię" albo „oczyszcza organizm z toksyn powodujących depresję". I właśnie na tym polu przez lata kwitł w Polsce pseudomedyczny biznes.

HANDEL NADZIEJĄ JAKO MODEL BIZNESOWY

Szarlataneria XXI w. nie przypomina już znachora z wiejskiej chaty. Dziś ma eleganckie logo, profesjonalnie prowadzone media społecznościowe, dopracowany marketing i setki tysięcy obserwujących. Jej twórcy doskonale rozumieją mechanizmy współczesnej komunikacji. Operują językiem pozornej naukowości, wykorzystują modę na „niezależne myślenie", budują narrację o spisku koncernów farmaceutycznych i rzekomo ukrywanej prawdzie.

Najważniejszym paliwem tego systemu są emocje. Strach rodzica, który słyszy diagnozę autyzmu. Rozpacz pacjenta onkologicznego. Bezradność osoby cierpiącej na depresję. Lęk człowieka, który nie otrzymuje natychmiastowej poprawy po standardowym leczeniu. To właśnie w takich momentach pojawia się pseudomedyczny guru z prostą odpowiedzią: „System cię zawiódł, ale my znamy prawdę". Potem przychodzi sprzedaż. Suplementów. Kursów. Diet eliminacyjnych. Drogich konsultacji. Konferencji. Prywatnych programów terapeutycznych. To nie alternatywa dla medycyny. To często po prostu doskonale opakowany biznes.

KONFERENCJA, KTÓRA MIAŁA LEGITYMIZOWAĆ PSEUDONAUKĘ

Symbolicznym przykładem skali problemu była planowana na czerwiec konferencja „Autyzm i ADHD – wyrok czy szansa?", która miała się odbyć na Stadionie Narodowym w Warszawie. Już sam wybór miejsca miał znaczenie. PGE Narodowy to przestrzeń kojarzona z wydarzeniami państwowymi i prestiżowymi. Organizacja tam takiego wydarzenia automatycznie budowała wrażenie wiarygodności.

Bilety kosztowały od 440 do 859 zł. W najdroższym pakiecie oferowano nawet lunch z prelegentami. Program konferencji obiecywał „współczesne terapie i nowe możliwości lepszego życia". Problem polegał na tym, że wśród mówców próżno było szukać uznanych specjalistów psychiatrii dziecięcej, neurologii czy psychologii klinicznej. Zamiast tego pojawili się naturoterapeuci, internetowi propagatorzy kontrowersyjnych teorii oraz osoby od lat krytykowane za rozpowszechnianie pseudonaukowych twierdzeń. Na konferencji miał wystąpić m.in. Hubert Czerniak, były lekarz, który pacjentce z nowotworem zamiast leczenia zaproponował suplementy za 10 tys. zł. Tłumaczył potem śledczym, że nie przyjął jej jako lekarz, lecz jako

Fot. Shutterstock

eprasa.pl ab1a4acd9d

kapłan Kościoła Naturalnego, a wizyta miała charakter duchowy, a nie medyczny. Planowano też występy innych znanych „szarlatanów". Dopiero po nagłośnieniu sprawy operator stadionu rozwiązał umowę, kategorycznie odcinając się od charakteru wydarzenia.

To pokazuje, jak daleko zaszła normalizacja pseudomedycznych narracji. Jeszcze kilka lat temu podobne wydarzenia odbywały się w niszowych salach konferencyjnych. Dziś próbują wchodzić do głównego nurtu.

PRZYPADEK BRACI RODZEŃ

Innym przykładem omawianego zjawiska jest sprawa braci Rodzeń, która wywołała burzę po zaproszeniu ich na wykład w państwowym Collegium Witelona w Legnicy. Spotkanie miało się odbyć w ramach cyklu „Złote wykłady z ludźmi z pasją", a jego temat brzmiał pozornie niewinnie: „Zdrowie metaboliczne". W praktyce chodziło o nadanie akademickiej legitymizacji influencerom, których działalność od dawna budzi ogromne kontrowersje w środowisku dietetyków i lekarzy.

Bracia Rodzeń zbudowali rozpoznawalność na prostym modelu komunikacji: oferowaniu radykalnych, atrakcyjnie brzmiących uproszczeń. Ich przekaz bazuje na budowaniu nieufności wobec oficjalnych zaleceń medycznych i przedstawianiu własnych tez jako odkrywczej prawdy, przemilczanej przez „system".

W ich narracji tradycyjna dietetyka jest skompromitowana, lekarze nie rozumieją podstaw metabolizmu, a wiele schorzeń można skutecznie kontrolować lub wręcz eliminować za pomocą odpowiednio restrykcyjnych zmian żywieniowych. Na pierwszy rzut oka może to brzmieć jak kolejny spór naukowy. Problem polega na tym, że – jak wskazują eksperci – przekaz ten bardzo często wykracza poza granice rzetelnej debaty. Dietetycy alarmują, że bracia Rodzeń promują teorie niezgodne z aktualną wiedzą medyczną, upraszczają skomplikowane procesy biologiczne i przedstawiają hipotezy jako fakty. Jednym z najpoważniejszych zarzutów jest demonizowanie leków psychiatrycznych.

Jak wskazywał dietetyk Damian Parol, taki przekaz może mieć dramatyczne konsekwencje. Sugestie, że farmakoterapia psychiatryczna prowadzi do uzależnień czy stanowi formę systemowego zniewolenia pacjenta, trafiają na podatny grunt, szczególnie wśród osób zmagających się z depresją, zaburzeniami lękowymi czy innymi problemami psychicznymi. Konsekwencją może być samowolne odstawianie leków, pogorszenie stanu zdrowia, a w skrajnych przypadkach nawet tragedie.

Eksperci zwracają też uwagę na promowane przez nich uproszczenia dotyczące żywienia: demonizowanie węglowodanów, podważanie znaczenia cholesterolu LDL czy przedstawianie diet niskowęglowodanowych jako uniwersalnego rozwiązania niemal wszystkich problemów zdrowotnych. To właśnie ten mechanizm jest kwintesencją pseudomedycznego marketingu. Złożone zagadnienia sprowadza się do prostych recept: odstaw chleb, wyrzuć owsiankę, zrezygnuj z leków, „oczyść organizm", a zdrowie wróci. To komunikaty łatwe do sprzedania, bo dają złudzenie kontroli i prostego rozwiązania.



Symbolicznym przykładem skali problemu była planowana na czerwiec konferencja „Autyzm i ADHD – wyrok czy szansa?", która miała się odbyć na Stadionie Narodowym. Na konferencji miał wystąpić m.in. Hubert Czerniak, były lekarz, który pacjentce z nowotworem zamiast leczenia zaproponował suplementy za 10 tys. zł

Środowisko naukowe zareagowało zdecydowanie. Krytycy podkreślali, że uczelnia publiczna nie powinna firmować wydarzeń, które mogą legitymizować pseudonaukowy przekaz. Ostatecznie Collegium Witelona wycofało się z organizacji spotkania. To ważny sygnał. Nie chodzi o cenzurę poglądów. Chodzi o odpowiedzialność instytucji publicznych za to, komu udzielają autorytetu.

DLACZEGO „LEX SZARLATAN" JEST POTRZEBNE?

Krytycy ustawy mówią o ograniczaniu wolności słowa i wyboru. To argument efektowny, ale nietrafiony. Wolność słowa nie oznacza prawa do zarabiania na świadomym wprowadzaniu ludzi w błąd w sprawach zdrowia i życia. Państwo od dawna reguluje reklamę leków, sprzedaż suplementów czy działalność leczniczą właśnie dlatego, że zdrowie nie jest zwykłym towarem. Jeśli ktoś publicznie przekonuje pacjentów, że może leczyć choroby metodami niezweryfikowanymi, powinien ponosić odpowiedzialność. „Lex szarlatan" jest próbą przywrócenia tej elementarnej zasady.

To nie wojna z alternatywnymi formami dbania o dobrostan. To wojna z cynicznym biznesem żerującym na cierpieniu. Jeżeli nowe przepisy będą konsekwentnie egzekwowane, mogą ograniczyć zjawisko, które przez lata rosło niemal bez przeszkód. Bo państwo, które pozwala na bezkarne handlowanie fałszywą nadzieją, nie chroni swoich obywateli. A ochrona pacjenta zaczyna się właśnie tam, gdzie kończy się bezkarność „szarlatana".

Fot. Shutterstock

eprasa.pl ab1a4acd9d



Maja, co karpia zdradziła

Teraz, gdy nastąpiła upragniona zmiana władzy, Maja Ostaszewska nie czuje już ciśnienia, aby bronić karpi czy pszczół. Jak to się ładnie mówi, dojrzała do innych ról, np. w reklamie torebek



KONRAD KOŁODZIEJSKI

W całej Polsce z przystanków i billboardów reklamowych przygląda się nam Maja Ostaszewska. Wszędzie jej pełno. Czasem siedzi wygodnie, innym razem idzie gdzieś w rozwianym płaszczu i z torebką na ramieniu. Niby nic w tym dziwnego, w końcu aktorzy często zarabiają na reklamie, jednak w przypadku Ostaszewskiej pojawił się pewien zgrzyt.

Chodzi o to, że Ostaszewska reklamuje wyroby ze skóry, a skórę pozyskuje się – jak powszechnie wiadomo – ze zwierząt. Jak się to więc ma do dotychczasowego dorobku aktorki, która deklaruje się jako weganka i prozwierzęca aktywistka? Przecież Ostaszewska przez całe lata walczyła o życie karpi z równie wielką siłą jak o praworządność w Polsce.

Niektórzy oburzyli się na tę hipokryzję. *Pecunia non olet* – drwiono. Można jednak spojrzeć na to z innej strony. Bo oto okazuje się, że Ostaszewska nie jest wcale taką wariatką i fanatyczką, za jaką uchodziła w niektórych kręgach po tym, jak protestowała przeciw wigilijnym karpiom. Na prawach zwierząt można się było lansować, ale gdy nadarzyła się okazja, by zarobić spore pieniądze, to przecież tylko idiota mógłby z tego nie skorzystać. Tak, to czysta hipokryzja, ale zarazem dowód na to, że Maja Ostaszewska – wbrew podejrzeniom – całkiem mocno stąpa po ziemi. I ma wszystkie klepki na miejscu.

EKOLOGIA NA POKAZ

„Nigdy nie udawałam i nikogo nie oszukiwałam, że w mojej szafie – poza różnymi innymi materiałami – nie znajdują się prawdziwe skóry. Mam skórzane buty […]. Mam w swojej szafie wiele alternatywnych rozwiązań, mam dużo rzeczy z drugiego obiegu, bardzo cenię vintage. I rozsądne podejście do kupowania rzeczy. Natomiast nie udaję kogoś, kim nie jestem. Nie udaję, że mieszkam w puszczy i żywię się tym, co rośnie wokół domu. […] Mieszkam w mieście, jeżdżę samochodem, dochodzą do

Fot. Paweł Wodzyński/East News, Fratria

eprasa.pl ab1a4acd9d

mnie głosy, że również to jest krytykowane" – napisała na Facebooku Ostaszewska w odpowiedzi na głosy krytyki.

Właściwie trudno się na nią oburzać, bo przecież w tym oświadczeniu dała jasno do zrozumienia, że jest normalną osobą. Może za to dziwić reakcja różnych naiwnych, którzy uwierzyli w szlachetne intencje celebrytów biorących udział w kampaniach prozwierzęcych.

Czy oni naprawdę myśleli, że aktorzy zanoszący się płaczem na widok martwej wiewiórki głęboko to przeżywają i potem przez rok chodzą w żałobie? Przecież to absurd, pic na wodę. Chodziło wyłącznie o modę środowiskową – po prostu wypadało pokazywać się publiczności jako osoba postępowa i zaangażowana. Nie ulega za to wątpliwości, że Ostaszewska jest utalentowaną aktorką, bo zagrała tę rolę tak dobrze, że mnóstwo ludzi dało się nabrać.

Skądinąd bardzo źle to świadczy o kondycji intelektualnej widowni, która nie potrafi odróżnić aktora od odgrywanej przez niego roli. Wszystko jedno, czy gra on tę rolę w teatrze, filmie lub podczas różnych akcji społecznych. Trudno się potem dziwić, że celebryci są wykorzystywani w kampaniach politycznych.

Co więcej, niektórzy artyści tak się zachłysnęli próżnością, że w końcu uwierzyli we własny autorytet. I opowiadają kompletne dyrdymały w przekonaniu, że zabierają ważny głos w debacie. Aspirujący przeciętniak łapie się potem na takie bzdury jak mucha na lep. Bo przecież Janda tak mówiła, Seweryn to skrytykował, Olbrychski chrząknął. W ten sposób utrwala się urojona rzeczywistość, w której całe życie publiczne staje się spektaklem dla głupich mas.

> Ostaszewska wcale nie jest taką fanatyczką, za jaką uchodziła po tym, gdy protestowała przeciw wigilijnym karpiom. Gdy nadarzyła się okazja, by zarobić duże pieniądze na reklamie, od razu z niej skorzystała

RÓŻNE CZASY, RÓŻNE ROLE

Ekologia – przynajmniej w takiej postaci, w jakiej jest nam serwowana – również pozostaje spektaklem. Pod pozorem walki o klimat odbywa się przecież łupienie naszych kieszeni. Mamy uwierzyć, że nie ma innego wyjścia, że musimy płacić więcej i drastycznie zmienić dotychczasowy styl życia, bo inaczej nie przetrwamy.

Tymczasem beneficjenci tego układu – bogata oligarchia finansowa – żyje po staremu i podlicza kosmiczne zyski. W raporcie organizacji Oxfam czytamy, że najbogatszy 1 proc. ludzkości wyemitował w 2019 r. tyle samo dwutlenku węgla, co dwie trzecie mieszkańców Ziemi. Jednak na razie nikt nie domaga się dekapitacji miliarderów z powodu zagrożenia, jakie stanowią oni dla klimatu. Po głowie i po kieszeniach obrywa jedynie żyjący znacznie bardziej ekologicznie ubogi plebs.

Podobnie jest z imigracją, która powoduje obniżkę i tak już niskich płac, co jest korzystne wyłącznie dla najbogatszych. Ich te problemy nie dotyczą – żyją w odgrodzonych od świata domach lub w luksusowych apartamentach i nie stykają się z pospólstwem na ulicach. Ich jedynym celem jest maksymalizacja własnych zysków, choćby odbywało się to kosztem bezpieczeństwa całego społeczeństwa.

Żyjemy w świecie pogłębiających się drastycznie nierówności, a zadaniem mainstreamowych mediów – w tym artystów i celebrytów – jest udział w propagandowym spektaklu, który ma odwrócić naszą uwagę od tych problemów i przekonać nas, że wszyscy wspólnie podążamy ku lepszej przyszłości.

Kazik Staszewski śpiewał kiedyś piosenkę o tym, że „wszyscy artyści to prostytutki" i w ten dosadny sposób uchwycił sedno omawianego zjawiska. Istotą zawodu aktora jest udawanie. Czasem udają mądrych, czasem wrażliwych, ale najczęściej nie ma to nic wspólnego z rzeczywistością. Oni po prostu próbują utrzymać się na powierzchni i – tak jak potrafią – zarabiać pieniądze.

W tym sensie nie ma żadnej sprzeczności pomiędzy Mają Ostaszewską broniącą karpia a Mają Ostaszewską reklamującą torebki ze skóry. Raz jest twarzą kampanii obrony karpia, a raz reklamy torebek. Czy w którymkolwiek z tych przypadków sprzeniewierzyła się liberalnemu układowi? Czy w jakikolwiek sposób zaszkodziła jego interesom? Przeciwnie. Zawsze była i jest jego częścią. Dlatego to dziwne, że mnóstwo ludzi widzi w tym jakąś woltę aktorki. W końcu Olbrychski, tak dziś zatroskany o demokrację w Polsce, też kiedyś brał udział w pochodzie pierwszomajowym. Powinniśmy się już chyba przyzwyczaić do tych rzekomych paradoksów.

NIGDY PRZECIW SWOIM

Oczywiście wybór roli zawsze jest decyzją aktora, a nie dziełem przypadku. Działalność na rzecz zwierząt uchodzi za postępową i nowoczesną, dlatego wielu aktorów i celebrytów, w tym Maja Ostaszewska, chętnie dołączało do grona aktywistów. Nie chcę przez to powiedzieć, że aktorka ma gdzieś dobrostan zwierząt, ale sądzę, że nie byłaby tak skłonna do publicznego demonstrowania swoich zapatrywań, gdyby nie wiązało się to z wizerunkiem liberalnej działaczki.

Ostaszewska była przecież znana z zaangażowania politycznego. Brała udział w spędach KOD, a podczas najazdu imigrantów w trakcie wojny hybrydowej na granicy z Białorusią aktywnie walczyła z „pisowskim reżimem", który nie chciał wpuścić „biednych ludzi" do Polski. Zagrała też główną rolę w „Zielonej granicy" Agnieszki Holland. Ruchy ekologiczne doskonale wpisywały się w ten sam antypisowski nurt.

Dziś ekologia stała się cepem do walenia w prawicę. Troska o środowisko naturalne została w ostatnich dekadach zawłaszczona przez lewicę, która nadała jej wymiar ideologiczny. Walka w obronie przyrody to teraz walka z „prawicowym chamem" – mizoginem, homofobem, rasistą, faszystą oraz trucicielem i sadystą.

Wokół ochrony przyrody utworzono kolejny fikcyjny front i wmawia się opinii publicznej, że troski o środowisko nijak nie da się pogodzić z prawicowym światopoglądem, że jeśli lubisz pieski lub kochasz jeziora, to nie możesz jednocześnie sprze-

21/0426/F

eprasa.pl ab1a4acd9d

ciwiać się aborcji czy ideologii LGBT+. Albo, albo. A ponieważ większość z nas lubi pieski i kocha jeziora, to powinniśmy dokonać wyboru. Bo jeśli kogoś uwiera wizja dwóch mężczyzn adoptujących dziecko, to z pewnością jest – wręcz musi być – trogłodytą sikającym w bramach i wyłupującym oczy zwierzętom.

Dlatego aktywność Ostaszewskiej trudno by było rozpatrywać wyłącznie w kategoriach sympatii do zwierząt. To raczej rodzaj (dość bezpiecznej) deklaracji politycznej. Oczywiście po tej właściwej, liberalnej stronie.

Dojrzałość Ostaszewskiej – nie tylko artystyczną, lecz także polityczną – można było docenić całkiem niedawno, gdy na jednym z placów zabaw na warszawskim Bemowie zastrzelono dzika. Dla niektórych, np. dla Agnieszki Gozdyry z Polsatu, była to największa zbrodnia Tuska, przy której jakieś afery w Kłodzku, areszty wydobywcze czy zapaść państwa są mało istotnym drobiazgiem („Symbol. Zostanie z tą władzą na zawsze" – napisała na platformie X przy zdjęciu martwego dzika w piaskownicy). Co ciekawe Ostaszewska, która jeszcze w 2019 r., a więc za rządów PiS, twardo walczyła z odstrzałem dzików, nie zabrała teraz głosu, a jeśli nawet, to był on praktycznie niesłyszalny. Nie skomentowała też – co w tym kontekście całkowicie zrozumiałe – afery w Kłodzku. Los zwierząt jest dla Ostaszewskiej oczywiście ważny, ale istnieją przecież jakieś granice politycznej brawury, na którą może sobie pozwolić.

Teraz, gdy już nastąpiła upragniona zmiana władzy, Ostaszewska – podobnie jak wielu innych tego rodzaju aktywistów – nie czuje już ciśnienia, aby bronić karpi czy pszczół. Jak to się ładnie mówi, dojrzała do innych ról, np. w reklamie torebek.

STRATY NIE MA

Niektórzy cytowani w mediach eksperci twierdzą, że decyzja o reklamie skórzanych torebek jest wizerunkową wpadką aktorki, która zaważy na jej wiarygodności. Oczywiście nie odpowiadają na najważniejsze pytanie: wiarygodności wobec kogo? Bo jeśli chodzi o liberalny mainstream, to przecież nic wielkiego się nie wydarzyło. Żadne świętości nie zostały naruszone. Nikomu ważnemu nie spadły dochody.

Wygranym jest z pewnością producent torebek. Zaangażowanie aktorki znanej wcześniej z kampanii prozwierzęcych wywołało wrzawę i nadało reklamie ogromnego rozgłosu. A przecież o to chodzi.

Sama Ostaszewska też nie musi narzekać. Jeśli nadużyła czyjegoś zaufania, to co najwyżej grupy ogłupionych aktywistów lub ludzi skrajnie naiwnych, którzy brali wszystko, co robiła, ze śmiertelną powagą. W przypadku reszty opinii publicznej i tak już bardziej nie mogła sobie zaszkodzić. Od czasów walki o karpia oraz aktywności na białoruskiej granicy nie jest bowiem osobą, którą ktokolwiek rozsądny mógłby brać na poważnie.

REKLAMA

POMÓŻMY CHRZEŚCIJANOM W ZIEMI ŚWIĘTEJ



WPŁATY NA KONTO:
FUNDACJA INSTYTUT MEDIÓW
03 1140 2004 0000 3002 7860 6231

TYTUŁ PRZELEWU:
POMOC DLA CHRZEŚCIJAN
W ZIEMI ŚWIĘTEJ

+PRO+TERRA+SANCTA+
WSPARCIE DLA CHRZEŚCIJAN W ZIEMI ŚWIĘTEJ

niedziela
TYGODNIK KATOLICKI OD 1926

Zwierzchnictwo w Polsce
Zakonu Rycerskiego
Świętego Grobu w Jerozolimie

Fundacja
Instytut Mediów

WIĘCEJ
O AKCJI
POMOCY:

eprasa.pl ab1a4acd9d

DEKALOG NARODOWEGO PRZETRWANIA

Cywilizacja śmierci w wersji smart

Wraz z potęgowaniem mocy obliczeniowych i technicznych ludzkość traci moce prokreacyjne. Smartfon stał się akceleratorem kultury narcyzmu, skutkującej samotnością i niechęcią do posiadania dzieci



MACIEJ WALASZCZYK

Dzisiaj każdy użytkownik wie, że nadmierne korzystanie ze smartfonu prowadzi do problemów. Najczęściej psychicznych, objawiających się zaburzeniami snu, koncentracji i nerwicami. To silna potrzeba sprawdzania telefonu, nawet wtedy, gdy nie jest to konieczne, bezcelowe scrollowanie ekranu, poczucie niepokoju, gdy telefon nie jest w zasięgu ręki. W efekcie zaniżona samoocena i trudności w kontaktach rodzinnych, damsko-męskich i przyjacielskich. Po prostu uzależnienie niszczące życie.

Dziś już wiemy, że pojawienie się smartfonów zdemoralizowało miliardy ludzi dorosłych, a młodych, którzy dorastali z nimi w ręku, skazało na samotność, izolację i rozchwianie emocjonalne. Zabiło miłość, seks i erotyzm,



eprasa.pl ab1a4acd9d

zbudowało mur egoizmu, wzbudziło falę leków i nadmiernych oczekiwań, a w efekcie globalną falę problemów społecznych.

GLOBALNA DEPOPULACJA

„Financial Times" opublikował dane, według których w 66 krajach świata liczba urodzonych dzieci spadła poniżej wskaźnika dzietności 2,1, gwarantującego zastępowalność pokoleń. W większości z nich kobiety rodzą raczej jedno dziecko lub nie posiadają ich w ogóle. Obserwowane załamanie demograficzne dotyka oczywiście głównie krajów wysoko rozwiniętych, głównie w Europie i Azji, np. Japonii, także jeszcze niedawno skazywanych na przeludnienie Chin, Tajwanu czy Korei Południowej. Jeszcze pięć lat temu agendy ludnościowe ONZ przewidywały, że w 2023 r. ten ostatni kraj osiągnie ok. 350 tys. urodzeń, podczas gdy faktycznie na świat przyszło ponad 200 tys. dzieci. Nawet w Turcji w tym samym roku przyrost naturalny spadł do poziomu 1,51 żywych urodzeń na kobietę i był najniższy w historii.

Kraje bogate i wysoko rozwinięte zmagają się z tymi problemami od pół wieku, ale od ponad 10 lat zjawisko depopulacji, a raczej braku dzieci, gwałtownie przyspieszyło także w innych częściach świata. Okazuje się, że coraz niższe wskaźniki dzietności notują gospodarki rozwijające się, doświadczając tych samych problemów co syte społeczeństwa Zachodu i Azji. Gorzej: starzeją się, zanim zdążyły się wzbogacić. W 2023 r. wskaźnik urodzeń w Meksyku okazał się niższy niż w USA, a w Chile liczba ta wyniosła nieco ponad 1,1 urodzeń na kobietę. Podobna sytuacja dotyczy Brazylii, Tunezji, Iranu czy Sri Lanki.

W poprzednich dekadach spadek populacji był spowodowany tym, że pary miały mniej dzieci, a kobiety chciały lub systemowo zostały zmuszone do robienia karier zawodowych. Po prostu uważano, że brak odpowiedniego mieszkania, stabilizacji finansowej i zawodowej wyklucza powiększanie rodziny. Jednak spadek liczby urodzeń ma miejsce mimo rozwijanej na Zachodzie co najmniej od lat 80. XX w. polityki prorodzinnej, gdzie wręcz potrojono wydatki mające wspierać posiadanie dzieci. Okazuje się, że niewiele zmieniły coraz lepiej płatne i wydłużone urlopy macierzyńskie, zasiłki, benefity i zaangażowanie ojców do opieki na dziećmi. W tym czasie – jak podaje „Financial Times" – wskaźniki urodzeń spadły z 1,85 do 1,53 na kobietę. Bo zamknięcie na nowe życie nastąpiło w świadomości, ma podłoże kulturowe i obyczajowe. Do tego dochodzi inny problem – gdy pary mogą sobie pozwolić na przeprowadzkę do własnego mieszkania, coraz częściej są skłonne raczej do rozstania niż do posiadania dziecka, co stanowi wyraźne odwrócenie od tradycyjnie przyjętej normy. Dotyczy to zarówno ludzi bogatych, jak i biednych.

KULTURA NARCYZMU

Mamy więc nie tylko gwałtowny spadek odsetka kobiet posiadających dzieci, lecz także coraz mniej zawieranych małżeństw i mniej spotykających się par. Obserwowana jest za to pogłębiająca się samotność i tzw. frustracja randkowa.

Badania Institute for Family Studies za ubiegły rok, przeprowadzone na Amerykanach między 22. a 35. rokiem życia, a więc – zdawałoby się – w okresie życia idealnym do miłości, randek i zawierania znajomości, pokazały, że aż trzy czwarte kobiet (74 proc.) i prawie dwie trzecie mężczyzn (64 proc.) nie umawiały się lub miały okazję umówić się z kimś najwyżej kilka razy. I jedynie połowa badanych w ogóle wyraziła zainteresowanie rozpoczęciem związku.

Fińska demograf Anna Rotkirch, badająca płodność starzejących się populacji, twierdzi, że czas poświęcony mediom społecznościowym – chodzi głównie o wartości i styl życia, które prezentują te platformy – utrudnił młodym dorosłym nawiązywanie trwałych relacji. Uważa również, że środowisko mediów cyfrowych wywarło głęboki wpływ na społeczeństwo, gwałtownie przyspieszając rozprzestrzenianie się wzorców prowadzących do spadku liczby związków romantycznych, osłabienia uczuć i zainteresowania drugim człowiekiem, kreowania fikcyjnych wizerunków i oczekiwań, a w konsekwencji drastycznego ograniczenia czasu spędzanego na spotkaniach towarzyskich. Np. w Korei Południowej w ciągu 20 lat liczba spotkań między ludźmi zmniejszyła się o połowę.

ZABÓJCZA „NOWOCZESNOŚĆ"

To wszystko wydarzyło się w ciągu ostatnich 15 lat. Również prof. Jesús Fernández-Villaverde, hiszpański demograf z Uniwersytetu Pensylwanii, tłumaczy, że obserwowana „luka płodności" wynika z egoistycznego stylu życia, mody na bycie singlem – wzorców, których rozprzestrzenianie przyspieszyła kultura smartfonu. Jak precyzuje, urządzenie to jest jedynie „akceleratorem nowoczesności". Będąca jej wyrazem masowa i liberalna kultura faktycznie wspiera wrogość wobec macierzyństwa, np. opowiadając o kobietach, które żałują, że urodziły dziecko, ośmiesza ojców i ojcostwo, zaciera tożsamość płciową, lansuje modę na homoseksualność, gloryfikuje aborcję, z pogardą traktując wielodzietność i kwestionując istnienie rodziny jako niezbędnej instytucji społecznej. Wszechobecna psychologizacja życia rodzinnego od lat prowadzi do określania jako patologiczne tego, co jeszcze do niedawna było traktowane w kategoriach normy. Do tego „klimatyści" apelują o nieposiadanie potomstwa w celu ratowania świata i zmniejszenia emisji CO_2.

Za pośrednictwem smartfonów nastąpiła też globalna pornografizacja wyobraźni zarówno mężczyzn, jak i kobiet. W miejsce celebrowania małżeństwa i życia rodzinnego, pełnego dzieci oraz związanych z nim blasków i trosk pojawiła się autonomia, samorealizacja i wygoda. Zjawisko to opisał Christopher Lasch, twórca pojęcia kultury narcyzmu, w której mamy do czynienia z dewaluacją cenionych niegdyś postaw i wartości.

Dominuje w niej nastawienie na indywidualny sukces, partykularne interesy i zaspokajanie własnego ego, w którym nie ma miejsca na zasikane pieluchy. Smartfony dały kulturze

Fot. Shutterstock

eprasa.pl ab1a4acd9d

narcyzmu pole do popisu w postaci e-osobowości, zawłaszczającej coraz większe przestrzenie osobowości realnej. W efekcie triumfuje wybór samotnego życia bez dzieci, egoizm z przesadnym znaczeniem obrazu i autoprezentacji.

SMARTFONOWA APOKALIPSA

Smartfony zmieniły sposób, w jaki młodzi ludzie spędzają razem czas, znacznie ograniczając kontakty osobiste i prowadząc do załamania ich zdolności do prokreacji oraz płodności. Wskazują na to badania przeprowadzone przez naukowców z Uniwersytetu w Cincinnati, którzy zwrócili uwagę, że spadek liczby urodzeń pojawił się najwcześniej tam, gdzie pojawiły się technologie szybkich połączeń mobilnych 4G.

Jeśli jeszcze na początku naszego wieku wskaźniki urodzeń były względnie stabilne, to od 2007 r., gdy pojawił się pierwszy iPhone, zaczęły wyraźnie spadać. W 2009 r. spadek zaobserwowano we Francji i w Polsce, a w 2012 r. dotarł on do Meksyku, Maroka i Indonezji. W latach 2013–2015 gwałtowne spadki dzietności zanotowano w Ghanie, Nigerii i Senegalu. Jak czytamy w „Financial Times", punktem zwrotnym było masowe wejście w posiadanie i użytkowanie smartfonów oraz aplikacji mobilnych, a spadek urodzeń okazał się lustrzanym odbiciem posiadania i korzystania ze smartfonów.

FAŁSZYWE WYOBRAŻENIA O ŻYCIU

W 1994 r. ekonomista Lant Pritchett ustalił, że na całym świecie istnieje zgodna korelacja między krajowymi poziomami płodności a liczbą dzieci, które kobiety chcą urodzić. To one odgrywają ostateczną i decydującą rolę w decyzji o pojawieniu się potomstwa. Jednocześnie zaobserwowano, że istnieje silniejszy związek między spadkiem wskaźników urodzeń a posiadaniem telewizji niż np. między wysokością dochodów czy wykształceniem. Już samo pojawienie się telewizora spowodowało zmniejszenie kontaktów seksualnych, a np. oglądanie telenowel przedstawiających małe rodziny i samorealizujące się kobiety sprawiło, że także we własnym życiu kobiety postanowiły mieć mniej dzieci.

Dziś na skalę wręcz gigantyczną media społecznościowe budują fałszywe wyobrażenia na temat kobiety, mężczyzny, rodziny, wspólnego życia, wyolbrzymiają trudności mieszkaniowe i finansowe, potęgując obawy, tworząc uporczywe i niezaspokojone poczucie niepewności i niepokoju. Jeśli spotykanie się z rówieśnikami w prawdziwym świecie sprawia, że oczekiwania i wyobrażenia wciąż są zakorzenione w rzeczywistości, to gdy odbywają się one jedynie na Facebooku czy Instagramie, zostają osadzone w sztucznym poczuciu tego, co jest normalne. I zaczynają się kłopoty.

> Prof. Jesús Fernández-Villaverde, hiszpański demograf z Uniwersytetu Pensylwanii, twierdzi, że obserwowana „luka płodności" wynika z egoistycznego stylu życia, mody na bycie singlem – wzorców, których rozprzestrzenianie przyspieszyła kultura smartfonu

Społecznościówki umożliwiają też młodym kobietom z całego świata omijanie tradycyjnych i obyczajowych konwenansów, windując oczekiwania, których mężczyźni w większości nie spełniają. Co ciekawe, im bardziej tradycyjna kultura pod względem ról płciowych, tym silniejszy wpływ smartfonów na spadek wskaźników urodzeń. Potwierdzają to dane z Bliskiego Wschodu, Afryki Subsaharyjskiej i Ameryki Łacińskiej z najgwałtowniejszymi spadkami wskaźników urodzeń w ostatniej dekadzie. Zjawiska te są mniej dostrzegalne tam, gdzie dostęp do internetu jest słabszy, np. w krajach Azji Południowej.

BRAK DZIECI TO REGRES I BIEDA

Sens biblijnego błogosławieństwa „Bądźcie płodni i rozmnażajcie się" coraz mocniej ujawnia więc swe znaczenie. Starzejące się społeczeństwo potrzebuje opieki, zabezpieczonych środków na wypłaty emerytur i rent, większych nakładów na służbę zdrowia. Jest ponure i kruche. Populacja w wieku produkcyjnym reprezentuje – oprócz kapitału, innowacji technologicznych i stabilnych ram prawnych – jedną z czterech zmiennych produkcji bogactwa. Źródłem stagnacji dotykającej tak prężnie rozwijającej się niegdyś gospodarki Japonii są m.in. właśnie te problemy. W Europie kończy się to ściąganiem taniej i niewykwalifikowanej siły roboczej z Afryki, a wraz nią konfliktów kulturowych i być może nieodwracalnych zmian etnicznych.

Jednak obecnie niemal połowa państw nie zapewnia już odbudowywania swojej populacji, skazując się na przyspieszone starzenie się i wyludnienie. Zdaniem ekonomistów nasza planeta nigdy w historii nie znajdowała się w stanie aż takiej nierównowagi. Dwa lata temu na łamach „Foreign Affairs" ukazał się artykuł pt. „Era wyludnienia" głoszący, że po raz pierwszy od czasów dżumy, której skutków doświadczyła XIV-wieczna Eurazja, populacja planety zacznie się kurczyć, a normą stanie się zjawisko „śmiertelności netto". Dziś jego przyczyną nie jest jednak śmiertelna choroba przenoszona przez pchły, lecz niemal w całości stanowi ona efekt świadomych lub podświadomych wyborów ludzi. Czarną śmierć zastąpiła opisana przez Jana Pawła II cywilizacja śmierci. Jej destrukcyjne kulturowe zarazki rozprzestrzeniają się dziś w „wersji smart".

eprasa.pl ab1a4acd9d



Robert Wielki

Nawet przez 100 lat może nie być w Polsce piłkarza, który osiągnie więcej niż Robert Lewandowski



STANISŁAW JANECKI

W przeszłości Polska nie miała i do końca XXI w., a może nawet dłużej, nie będzie miała piłkarza tej klasy. A co najważniejsze, tak docenionego w czołowych klubach w Europie. Nikt z naszego kraju przed nim, a chyba i bardzo długo po nim, nie był i nie będzie tak żegnany przez władze i kibiców jednego z najlepszych klubów piłkarskich świata jak 17 maja 2026 r. 37-letni Lewandowski na Camp Nou w Barcelonie.

Nie tylko żaden polski sportowiec w historii, lecz także żaden Polak – z wyjątkiem Karola Wojtyły – nie był tak rozpoznawalny i ceniony na świecie jak Robert Lewandowski (Lech Wałęsa nawet się do niego nie umywa, gdy chodzi o rozpoznawalność i trwałość pamięci). To najsilniejsza, najbardziej rozpoznawalna i najcenniejsza polska marka. Co ważne, na szczycie od 15 lat.

Specjalnie dla Lewandowskiego starcie FC Barcelony z Realem Betis Sewilla w przedostatniej kolejce sezonu 2025/2026 (ale dla katalońskiego klubu ostatniej u siebie) rozpoczęło się już po zakończeniu pozostałych. Robert Lewandowski po raz ostatni zagrał w koszulce tego klubu na Camp Nou, a po meczu nastąpiło oficjalne pożegnanie Polaka. Trener Hansi Flick ściągnął Lewandowskiego z boiska w trakcie spotkania, aby kibice mogli zgotować mu owację. A po ostatnim gwizdku zaczęła się feta, która wyróżniła się tym, że ludzie nie opuszczali trybun. I wydawało się, że mogliby tak trwać nawet do rana, gdyby Lewandowski pozostał na murawie.

„Nigdy nie będzie takiego lata... Nigdy nie będzie już takiego Polaka w Barcelonie. Już nigdy" – skwitował dziennikarz Michał Pol z Kanału Sportowego. „Robert Lewandowski

Fot. Joan Mateu Parra/Associated Press/East News

eprasa.pl ab1a4acd9d

żegna się z FC Barceloną... Mając na ramieniu kapitańską opaskę, Polak, który grał w Hiszpanii zaledwie przez 4 lata, od tysięcy kibiców na Camp Nou dostał skandowanie nazwiska i owację na stojąco. Ciary, bo takie pożegnania mają tylko Legendy" – relacjonował Sebastian Staszewski, autor książki „Lewandowski. Prawdziwy". „Lewandowski otrzymał legendarne pożegnanie. Kibice docenili bramki i profesjonalizm Polaka" – napisał na swojej stronie dziennik sportowy „AS". „Lewandowski pozostawił po sobie piłkarski i osobisty ślad w Barcelonie, o czym świadczyły liczne wyrazy wdzięczności, które otrzymał od kibiców" – dodała „Marca". Te sportowe dzienniki są wydawane w Madrycie, ale specjalnie dla Lewandowskiego zapomniały o odwiecznej rywalizacji Realu z Barceloną. Nie zabrakło łez, wzruszeń i wielu skrajnych emocji, a pożegnanie nie zakończyło się wraz z ostatnim gwizdkiem arbitra. Do polskiego napastnika szybko dołączyli żona Anna oraz córki Klara i Laura. Tłumy fanów czekały na Lewandowskiego przed stadionem. Ludzi było tyle, że policja nie opanowała sytuacji i próbowano zatrzymać samochód z legendą.

PO PROSTU CULER

Lewandowski nie krył emocji, pozwalał im się nieść. Dlatego Mateusz Ligęza z Radia ZET stwierdził: „Większe łzy u Lewandowskiego pojawią się tylko po ostatnim meczu w reprezentacji Polski. Legenda. Na zawsze. Polska piłka nie jest i nie była na to gotowa". Dziennikarze sportowi podkreślali, że wcześniej na pożegnalnych meczach Roberta Lewandowskiego nie było widać łez, co by oznaczało, że to z katalońskim klubem najmocniej się zżył, nawiązał najbardziej emocjonalną relację. Z wzajemnością. Fani katalońskiego klubu podziękowali Polakowi za cztery lata obfitujące w wielkie sukcesy. Godnie pożegnali Roberta Lewandowskiego hiszpańscy dziennikarze, którzy jednogłośnie okrzyknęli go legendą klubu. Nie zapomnieli, że Polak dołączył do drużyny w kryzysie, a opuścił ją, gdy znów znalazła się na szczycie. Przez cztery lata „Lewy" zjednał sobie serca fanów, a po ostatnim gwizdku wzruszająco przemówił (po hiszpańsku, bo katalońskiego chyba dostatecznie nie opanował) do kibiców z płyty boiska i podziękował za wszystko, co spotkało go w Barcelonie. A mówił, że spotkało go wszystko, co najlepsze, dlatego zadeklarował, że na zawsze pozostanie „Culer", co po katalońsku oznacza: „Człowiek Barcy".

Pożegnanie Lewandowskiego było szczególną chwilą dla Gaviego, 21-letniego pomocnika Barcy: „Przybyłeś, gdy przeżywaliśmy jeden z najtrudniejszych okresów, a dzięki twoim bramkom i przywództwu przywróciliśmy klub na miejsce, na które zasługuje – wygrywając trzy mistrzostwa w ciągu czterech lat i walcząc o wszystko! To był dla mnie zaszczyt grać u twojego boku i bronić cię na boisku! Będę tęsknił za twoimi bramkami, Roberto! Kocham cię, bracie". Robert Lewandowski wspominał: „Pierwszego dnia Gavi przyszedł do mnie i mnie przytulił na powitanie. Nie mogłem uwierzyć, jak to możliwe, że zawodnicy, którzy mnie nie znają, a są dużo młodsi ode mnie, mogą być tak otwarci. Wtedy tak naprawdę odkryłem siebie na nowo i zauważyłem, jak dużo dobrej energii daje mi otoczenie w Barcelonie".

> Lewandowski zdobył dla Polski 89 bramek w 164 meczach (drugi Włodzimierz Lubański strzelił 48 goli, a trzeci Grzegorz Lato – 45), co czyni go absolutnym rekordzistą i jednym z najlepszych strzelców w historii światowego futbolu reprezentacyjnego. Na tej liście plasuje się na piątym miejscu

Czegoś takiego jak w Barcelonie Lewandowski nie dostał wcześniej w Dortmundzie i Monachium. Bayern nie zorganizował oficjalnego pożegnania. Po końcowym gwizdku napastnik podszedł jedynie do grupy fanów, którzy przyjechali za drużyną do Wolfsburga. Były łzy, gest dłonią na sercu i krótki moment wdzięczności, ale zabrakło tego, co 17 maja dostał w Barcelonie – wielkiego hołdu od kibiców i władz klubu. Dopiero kilka tygodni po przejściu do Barcelony Lewandowski wrócił do Monachium z własnej inicjatywy, by pożegnać się z kolegami z drużyny. Przywiózł im butelki ekskluzywnego szampana Armand de Brignac z autografem oraz pamiątkowe zdjęcia z czasów gry w Bayernie. A Barcelona urządziła mu królewskie pożegnanie. Tuż przed nim na oficjalnym profilu klubu napisano: „Przybył jako gwiazda. Odejdzie jako legenda. Dziękujemy, Robert Lewandowski, za każdego gola, każdy pojedynek i każdy magiczny moment w tych barwach. Culer na zawsze. 191 meczów, 119 goli, 24 asysty, 143 wkłady w gole zdobyte przez innych, 3 razy mistrzostwo La Liga, 1 raz Copa del Rey, 3 razy Superpuchar Hiszpanii".

Już w pierwszym sezonie w FC Barcelona zdobył mistrzostwo Hiszpanii oraz koronę króla strzelców (Trofeo Pichichi). Kilkanaście godzin przed ostatnim meczem na Camp Nou Robert Lewandowski zwrócił się do kibiców Blaugrany: „Jutro krzyczcie głośniej niż kiedykolwiek, Culers!".

17 maja 2026 r. przeżył coś, czego nie doświadczyli Leo Messi w Barcelonie i Cristiano Ronaldo w Realu Madryt. Podobnie jak wielu innych zasłużonych dla tych klubów piłkarzy, którzy przychodzili jako wielkie gwiazdy, ale żegnani byli skromnie. Może dlatego kibice oddali hołd Lewandowskiemu, że – jak napisano w „Mundo Deportivo" – „Robert i jego rodzina żegnali się z Barcą, ale nie z Barceloną". Niezależnie od tego, „gdzie teraz będzie grał polski napastnik, zamierza wrócić do Barcelony po zakończeniu tej nowej

eprasa.pl ab1a4acd9d

i chyba ostatniej przygody". Bo „zarówno on, jak i jego żona, właścicielka siłowni w stolicy Katalonii, a także ich dwie córki znaleźli dom w Barcelonie, mieście, które, podobnie jak Barca, odcisnęło na nich niezatarte piętno".

NAJLEPSZY NA BOISKU I NA KONCIE

Osiągnięcia piłkarskie idą oczywiście w parze z pieniędzmi. W Barcelonie kontrakt Lewandowskiego został skonstruowany w systemie 3+1. W pierwszym sezonie zarobił ok. 20 mln euro brutto, w następnym ok. 26 mln euro brutto, a w sezonie 2024/2025 – ok. 33 mln euro brutto. Za ostatni sezon Polak dostał ok. 25 mln euro. Grając w Barcelonie, zarobił blisko 104 mln euro brutto, co daje mniej więcej 52 mln euro netto. Do tego trzeba doliczyć premie: za mistrzostwo Hiszpanii (2023), trofeum Pichichi (dla króla strzelców) oraz za awanse w Lidze Mistrzów. Łącznie z tych źródeł zarobił ok. 6 mln euro. Do tego dochodzą kontrakty sponsorskie w Hiszpanii, ale dotyczące także marek globalnych, co przełożyło się na dodatkowe ponad 10 mln euro. Przez 4 lata spędzone w stolicy Katalonii Robert Lewandowski zarobił za grę ok. 58 mln euro netto (ponad 250 mln zł).

Zanim trafił do Barcelony, był najlepiej opłacanym graczem Bundesligi. W Bayernie Monachium zaczynał od 16 mln euro za rok, by w następnych sezonach zarabiać już 24–25 mln euro brutto rocznie. Wcześniej, grając w Borussii Dortmund, na początku zarabiał 1,8 mln euro rocznie, a w ostatnim sezonie w tym klubie (2023/2014) było to już 7 mln euro. Jeśli teraz wybrałby jeden z czołowych klubów Arabii Saudyjskiej, w grę wchodziłyby zarobki w wysokości 50–100 mln euro za sezon. W maju 2026 r. majątek Roberta i Anny Lewandowskich jest szacowany na ok. 1,2 mld zł.

Niezależnie od wielkich pieniędzy, które zarobił dotychczas, Robert Lewandowski jest uznawany za najlepszego polskiego piłkarza w historii. A to ze względu na niespotykaną wcześniej w polskim futbolu liczbę trofeów, indywidualnych rekordów, długowieczność na absolutnym topie oraz globalną pozycję w świecie piłki nożnej. Zdobył dla Polski 89 bramek w 164 meczach (drugi Włodzimierz Lubański strzelił 48 goli, a trzeci Grzegorz Lato – 45), co czyni go absolutnym rekordzistą i jednym z najlepszych strzelców w historii światowego futbolu reprezentacyjnego. Na tej liście plasuje się na piątym miejscu.

W 2020 r. wygrał Ligę Mistrzów UEFA z Bayernem Monachium, zostając jednocześnie królem strzelców tych rozgrywek (15 goli). Jest też jednym z najskuteczniejszych graczy w historii tych elitarnych rozgrywek, trzecim po Cristiano Ronaldo i Lionelu Messim: zdobył 109 goli w 144 meczach. Pobił uchodzący za niemożliwy do pobicia rekord Gerda Müllera, strzelając 41 bramek w jednym sezonie ligowym (2020/2021). W ostatnich dwóch sezonach (2024/2025 i 2025/2026) próbował go pokonać Harry Kane, ale mu się to nie udało. W całej historii ligi niemieckiej ustępuje liczbą goli jedynie Gerdowi Müllerowi.

> Robert Lewandowski jako jedyny Polak w historii otrzymał nagrodę FIFA Best Men's Player dwa lata z rzędu (2020, 2021), oficjalnie stając się najlepszym piłkarzem globu

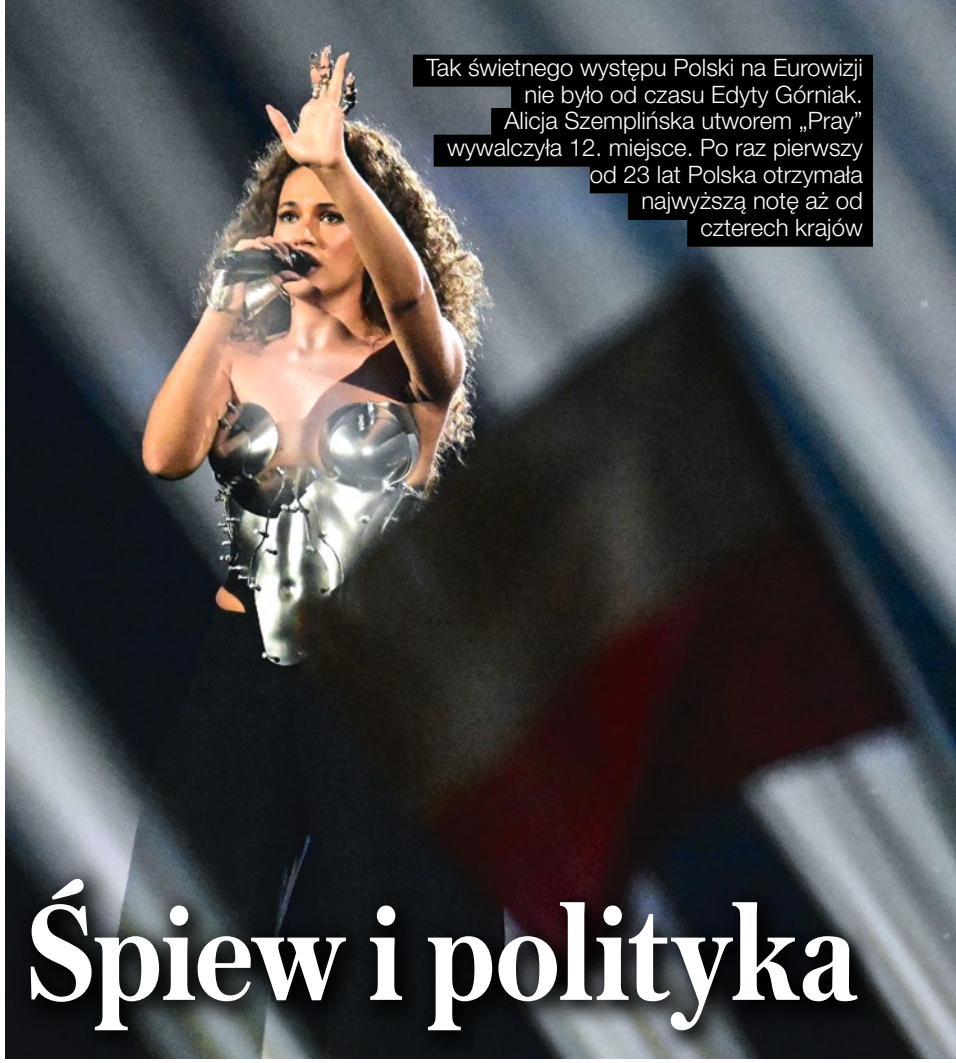
Robert Lewandowski jako jedyny Polak w historii otrzymał nagrodę FIFA Best Men's Player dwa lata z rzędu (2020, 2021), oficjalnie stając się najlepszym piłkarzem globu.

RADYKALNA OPTYMALIZACJA

W przeciwieństwie do legend z lat 70. i 80., takich jak Kazimierz Deyna, Grzegorz Lato czy Zbigniew Boniek, Lewandowski osiągnął swoje sukcesy w erze skrajnie skomercjalizowanej i bardzo konkurencyjnej piłki klubowej. I w piłce klubowej osiągnął najwięcej, choć jego rekordy w reprezentacji też są nie do pobicia. Kontrargumentem w dyskusjach historycznych o pozycji Lewandowskiego są sukcesy reprezentacyjne. Kazimierz Deyna raz, a Grzegorz Lato, Władysław Żmuda i Andrzej Szarmach dwa razy zdobywali medale mistrzostw świata, ten pierwszy także złoto i srebro olimpijskie, Lato dwa olimpijskie medale, Szarmach i Żmuda po jednym. Lewandowski nie miał wokół siebie tak dobrych piłkarzy w reprezentacji, ale jego indywidualna regularność przez kilkanaście lat w najsilniejszych ligach świata przewyższa klubowe osiągnięcia dawnych mistrzów. Ponadto najlepszy polski piłkarz w historii mimo odejścia z Barcelony nie przestaje grać, więc może jeszcze poprawić swoje rekordy.

Wspaniałe pożegnanie na Camp Nou stało się wydarzeniem o globalnym zasięgu, sławiąc zarówno piłkarza, jak i Polskę. A dokonał tego ktoś, kto nie przyszedł na świat z talentem Leo Messiego. Do wszystkiego doszedł ciężką pracą, rozumem, planowaniem, dyscypliną, wręcz obsesyjnym profesjonalizmem, dzięki wysokiej etyce pracy i ciągłej redefinicji własnych ograniczeń. Dzięki idealnemu przygotowaniu fizycznemu w barwach Bayernu i Barcelony rzadko opuszczał więcej niż 2–3 mecze z rzędu, co pozwoliło mu seryjnie śrubować rekordy strzeleckie przez ponad dekadę. Jako jeden z pierwszych zaczął jeść posiłki w odwróconej kolejności (najpierw deser – węglowodany, potem mięso – białko, na końcu warzywa lub zupy), co zdecydowanie poprawiło jego metabolizm i przyspieszyło regenerację. Regularnie stosował ćwiczenia kognitywne i neurofeedback, aby szybciej podejmować decyzje na boisku mimo stresu i zmęczenia. Tam, gdzie Messi polegał na naturalnym talencie, Lewandowski stworzył system, w którym każdy element jego życia był podporządkowany wynikowi sportowemu. Udowodnił, że dzięki radykalnej optymalizacji każdego aspektu życia (dieta, sen, psychika, trening) rzemiosło można doprowadzić do poziomu sztuki, która pozwala rywalizować z geniuszami.

eprasa.pl ab1a4acd9d



Tak świetnego występu Polski na Eurowizji nie było od czasu Edyty Górniak. Alicja Szemplińska utworem „Pray” wywalczyła 12. miejsce. Po raz pierwszy od 23 lat Polska otrzymała najwyższą notę aż od czterech krajów

Śpiew i polityka

Jubileusz przerodził się w skandal. 70. edycja Konkursu Piosenki Eurowizji kipi od kontrowersji



MARZENA NYKIEL

Zwyciężyła Dara z Bułgarii, której prymitywna muzycznie piosenka „Bangaranga” świadczy jedynie o tym, że na tej scenie nie ma co liczyć na docenienie prawdziwie uzdolnionych artystów. Impreza z założenia jest ideologicznym manifestem, od lat promującym kicz i tanie przeciętniactwo. I choć organizatorzy przekonują o apolityczności, co roku wychodzą na jaw irytujące zależności, które temu przeczą. Tym razem rozbito jednak bank.

PUNKTY DLA IZRAELA

Izrael, reprezentowany przez Noama Bettana, zdobył utworem „Michelle” drugie miejsce. Co robi ten kraj w konkursie Europejskiej Unii Nadawców – zresztą podobnie jak Australia – raczą wiedzieć pewnie jedynie dyrektorzy finansowi. Tym bardziej że o jego wykluczenie wnioskowano już w 2024 r., po ataku na Strefę Gazy. Bezskutecznie. Izraela nie zdyskwalifikowano także wtedy, gdy okazało się, że mobilizował widzów do głosowania w kampaniach reklamowych, czego zabrania regulamin. W tym roku żądanie nieprzyjęcia Izraela do konkursu ponowiono. Odmowa sprawiła, że nadawcy z Hiszpanii, Holandii, Irlandii, Islandii i Słowenii ogłosili wycofanie się z festiwalu. W całej historii Eurowizji nie odnotowano tylu krajów, które zrezygnowały z występu. Te, które pozostały, wyraziły swoją dezaprobatę w inny sposób: żaden nie przyznał maksymalnej liczby punktów Izraelowi, choć zarówno piosenka, jak i jej dobre wykonanie naprawdę mogły się podobać. Żaden kraj z wyjątkiem Polski!

Dlaczego polscy jurorzy zdecydowali się na ten wyjątkowo kontrowersyjny krok? Z powodu muzycznej wrażliwości? Wątpliwe, bo Ukrainie, której reprezentantka Leléka fenomenalnie zaśpiewała piosenkę „Ridnym”, przyznali zaledwie 1 pkt. Niektórzy twierdzą, że powodem werdyktu jest młody wiek jurorów. W tym gronie znaleźli się Eliza Orzechowska, Filip Kuncewicz, Jasiek Piwowarczyk, Viki Gabor, Staś Kukulski, Wiktoria Kida i Maurycy Żółtański. W sieci zawrzało, bo to dzięki Polsce zwiększyły się szanse Izraela na wygraną, za czym idzie organizacja kolejnej Eurowizji i międzynarodowe ocieplanie wizerunku. Czy w wyniku tej kompromitacji zyskaliśmy przynajmniej punktową wzajemność? Bynajmniej!

Izrael zachował się wobec Polski fatalnie. W półfinale Alicja Szemplińska, która zachwyciła jurorów większości krajów, zdobywając 7. miejsce, otrzymała od Izraela pełną dwunastkę. Jednak w finale, w którym zjawiskowo zaśpiewała swój utwór „Pray”, od tego samego jury dostała 0 pkt. W przypadku telewidzów – publiczność w Izraelu przyznała Polsce 5. miejsce i 6 pkt w półfinale, ale w finale – dopiero 20.

Z UKRAINĄ BEZ WZAJEMNOŚCI

Podczas jubileuszowej Eurowizji nastąpił jeszcze jeden bolesny zgrzyt. Alicja Szemplińska zaśpiewała naprawdę świetnie. Była jednym z najmocniejszych kobiecych wokali tej edycji. Po raz pierwszy od 23 lat Polska otrzymała maksymalną liczbę punktów od jurorów z aż czterech krajów: Austrii, Belgii, Mołdawii oraz Niemiec. Dlaczego Ukraina przyznała nam 0 pkt? Mimo to po głosowaniu jurorów Polska zajmowała wysokie 7. miejsce z dorobkiem 133 pkt. Wszystko zmieniło się po głosowaniu telefonicznym, które nie

Fot. TOBIAS SCHWARZ/AFP/East News

eprasa.pl ab1a4acd9d

przyniosło dużego wsparcia. Szemplińska otrzymała od widzów 17 pkt, co ostatecznie dało Polsce 12. miejsce i 150 pkt w klasyfikacji końcowej.

Zasady konkursu nie pozwalają głosować na reprezentantów własnego kraju. Na kogo więc głosowali Polacy? Na Ukrainę. Przyznali jej maksymalną liczbę punktów. Piąty rok z rzędu. Warto to zauważyć, bo choć Leléka z pewnością zasłużyła na to nieprzeciętnym talentem i warsztatem, głosowanie miało jeszcze inny, znacznie głębszy wymiar – ludzkiego wsparcia i solidarności. Niestety również tutaj nie doświadczyliśmy wzajemności. Z Ukrainy do Polski popłynęło okrągłe zero.

W sieci zawrzało. Głosy oburzenia wyrażali internauci, dziennikarze, artyści i politycy wszystkich stron. „TVP, 12 pkt dla Izraela, który dokonał ludobójstwa. Przy wszystkich protestach, bojkotach i zebraniu ponad miliona podpisów dla Inicjatywy zerwania umowy stowarzyszeniowej z Izraelem. Chciałabym zobaczyć sprawozdania majątkowe jurorów i ich rodzin" – napisała Marcelina Zawisza, posłanka Razem. W swoim stylu skomentował sprawę Krzysztof Stanowski: „Brawa za 12 punktów od Polski dla Izraela. Dzięki temu następnym razem na pewno zastanowią się, zanim zamordują polskiego wolontariusza". Odniósł się też do werdyktu naszych wschodnich sąsiadów: „Nawet jakby Jaś Kapela pierdział w trąbkę na Eurowizji, to Ukraina powinna dać nam 12 punktów".

Zdaniem Tobiasza Bocheńskiego, europosła PiS, głosowanie Ukrainy „wiele mówi na temat relacji między naszymi narodami". Takiego samego zdania jest poseł Przemysław Czarnek: „Ja bym się na miejscu Ukraińców zastanowił, czy nie docenić jednak Polski za pomoc w utrzymaniu niepodległości".

Nie są to jedynie wybujałe polityczne oczekiwania. Tradycją tego konkursu jest to, że lubiące się kraje sąsiedzkie wyrażają wzajemne wsparcie w punktacji. O tym, że głosowania mają charakter zakorzeniony w sąsiedzko-politycznych relacjach, dobitnie świadczy tegoroczny przypadek Mołdawii. Jurorzy tego kraju wysłali swoją dwunastkę do Polski. Reprezentantce Rumunii dali zaledwie 3 pkt. Ta decyzja wywołała burzę w rumuńskich i mołdawskich mediach ze względu na tradycyjną wymianę najwyższych not pomiędzy tymi państwami. W odpowiedzi na falę krytyki szef mołdawskiej telewizji publicznej podał się do dymisji.

OŚWIADCZENIE TVP

A jak się przedstawia sprawa polskiego jury, które jako jedyne przyznało dwunastkę Izraelowi? Po przydługim milczeniu Telewizja Polska w likwidacji wydała lakoniczne oświadczenie. „Telewizja Polska dostrzega skalę tych emocji oraz fakt, że dla części widzów i uczestników tegoroczny konkurs miał wymiar wykraczający poza samą muzykę" – przekazano w oświadczeniu. „Jednocześnie warto podkreślić, że zgodnie z zasadami Europejskiej Unii Nadawców (EBU) krajowe jury ocenia występy przede wszystkim w oparciu o kryteria artystyczne i muzyczne, takie jak walory wokalne, kompozycja utworu, wykonanie sceniczne czy ogólna jakość prezentacji. Członkowie jury głosują indywidualnie i niezależnie, a końcowy rezultat jest efektem algorytmu stosowanego przez EBU dla wszystkich państw uczestniczących w konkursie. TVP nie przekazuje jurorom wytycznych dotyczących oceniania występów w kontekście bieżących wydarzeń politycznych" – czytamy. A jednak oświadczenie TVP wcale nie uspokaja sytuacji. Przeciwnie. W sieci pojawiły się głosy jurorów, które otwierają kolejną puszkę kontrowersji.

Pierwsza odpowiedziała na zarzuty Viki Gabor. „Szkoda, że tyle z Was we mnie zwątpiło. Na mojej karcie do głosowania piosenka z Izraela była na 24. miejscu z 24 miejsc! I z tym Was zostawiam" – napisała na Instagramie. Głos zabrał także Filip Kuncewicz: „Wynik głosowania polskiego jury w finale Eurowizji 2026 nie jest wspólną decyzją siedmiu jurorów. Każdy juror głosuje indywidualnie i w tajemnicy. Końcowy wynik to efekt działania algorytmu EBU, który łączy siedem niezależnych list w jeden ranking. Przyznanie 12 punktów nie oznacza, że jurorzy wybrali daną piosenkę jako numer 1".

European Broadcasting Union ujawniła szczegółowe zestawienie punktacji, nie podając nazwisk poszczególnych jurorów. Wynika z niego, że ich oceny reprezentanta Izraela były niezwykle zróżnicowane i tylko jedna osoba dała mu maksymalną notę: juror A – 1. miejsce (12 pkt), juror B – 2. miejsce (10 pkt), juror C – 5. miejsce (6 pkt), juror D – 3. miejsce (8 pkt), juror E – 2. miejsce (10 pkt), juror F – 7. miejsce (3 pkt), juror G – ostatnie miejsce (0 pkt).

Mechanizm działania systemu EBU próbował wyjaśnić mediom juror Jasiek Piwowarczyk. „Ten system głosowania jest troszeczkę skomplikowany" – tłumaczy i dodaje, że członkowie komisji nie podejmują wspólnej decyzji, każdy z nich głosuje tajnie, a system łączy siedem niezależnych rankingów w jeden końcowy rezultat. Zaznacza, że możliwa jest sytuacja, w której kraj otrzymuje wysoką lokatę nawet wtedy, gdy nie wszyscy jurorzy oceniali go równie wysoko. „Kraje, na które ktoś albo nawet nikt z jury nie zagłosował na pierwsze miejsce, mogą zająć pierwsze miejsce" – stwierdził Piwowarczyk.

PODEJRZANE ALGORYTMY

Czy czegoś nam to nie przypomina? W ubiegłym roku cała Polska żyła innym, znacznie bardziej prestiżowym konkursem muzycznym, w którym finalne wyniki rozmijały się nie tylko z typowaniami słuchaczy, lecz także z oczekiwaniami samych jurorów. Czyżbyśmy mieli do czynienia z powszechnym procederem zupełnie innej kategorii? Decyduje nie ten, kto głosuje, ale ten, kto liczy i algorytmuje? Na szali stoją dwie wartości – talent i kariera uczestników konkursu oraz potężne zyski i prestiż związane z organizacją konkursów. Im bardziej zagmatwane procedury wyłaniania zwycięzców, tym większe możliwości sterowania wydarzeniami. Aby rozwiać wątpliwości, należy poddać cały ten proceder rzetelnemu audytowi. Przydałoby się także prześwietlenie decyzji podejmowanych przez nadawcę oraz transparentność dotycząca kosztów udziału w Eurowizji TVP w stanie likwidacji. Skoro słono płacimy za międzynarodową kompromitację, znajmy chociaż cenę tej porażki.

eprasa.pl ab1a4acd9d



Prezydent Nawrocki to głos Polski

Jestem pesymistą, jeśli chodzi o przekonanie, że Ukraina zmieni spojrzenie na Polskę. Prezydent Karol Nawrocki prowadzi lepszą, bo bardziej realistyczną politykę względem Ukrainy niż jego poprzednik. Tego domaga się też polska opinia publiczna

Z Ryszardem Czarneckim, byłym ministrem ds. europejskich, byłym wiceprzewodniczącym Parlamentu Europejskiego, rozmawia Jerzy Szmit

Dobrze poinformowani twierdzą, że wie pan, kto pierwszy zobaczył w Karolu Nawrockim kandydata na prezydenta.

Ryszard Czarnecki: Ojców sukcesu zawsze jest wielu. Kandydaturę dr. Karola Nawrockiego wysunął i przeforsował (a w PiS wcale nie było to takie oczywiste, i to przez długi czas) prezes Jarosław Kaczyński. Co zaś do samej genezy i prapoczątków, to przypomnę sytuację z sylwestra 2023 r. Broniliśmy gmachu TVP przy Pl. Powstańców Warszawy przed siłowym opanowaniem przez nową władzę. 31 grudnia miałem 8-godzinny dyżur, który przedłużył się do ok. 12 godzin. Przyjechał do nas niespodziewanie prezes Kaczyński. Była okazja do dłuższej rozmowy. Oprócz pana prezesa uczestniczyli w niej bodaj Marek Suski, na pewno Jacek Karnowski, Michał Adamczyk, Samuel Pereira i kilka innych osób.

W pewnym momencie zaczęliśmy rozmawiać o wyborach prezydenckich i właśnie wtedy Jacek Karnowski powiedział, że warto rozważyć kandydaturę Karola Nawrockiego. Jarosław Kaczyński stwierdził, że ma pozytywną opinię o szefie IPN, że kilka razy spotykał go w szerszym gronie, choć nie miał okazji do rozmowy w cztery oczy, i że przeprowadzi taką rozmowę. Zaraz po Nowym Roku w porozumieniu z prezesem Kaczyńskim zadzwoniłem do dr. Karola Nawrockiego i w pierwszej połowie stycznia udało mi się zaaranżować takie spotkanie. Dzisiaj mogę

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl ab1a4acd9d

tylko powiedzieć, że prezes Kaczyński musiał wykonać dużą pracę wewnątrz PiS, aby Karol Nawrocki został naszym oficjalnym kandydatem. Tak to się zaczęło.

Czy Jarosław Kaczyński ma dobrą rękę do wskazywania kandydatów na najwyższe stanowiska?

Tak, to prawdziwy „president maker". Licząc z Lechem Wałęsą, wskazał już czterech kandydatów na prezydentów RP: również swojego brata Lecha Kaczyńskiego, Andrzeja Dudę i teraz Karola Nawrockiego. Trzeba jeszcze podkreślić, że zwycięstwo Karola Nawrockiego zostało odniesione mimo brutalnych ataków na niego. Moim zdaniem była to najbardziej brudna kampania w historii bezpośrednich wyborów prezydenckich w naszym kraju.

Trwa ostry konflikt między prezydentem a rządem. Czy na świecie takie sytuacje w polityce są normalne?

Oczywiście byłoby lepiej, gdyby taki konflikt nie istniał. Jednak Polska nie jest wyjątkiem. Świat widział różne rzeczy, pamiętam, jak we Francji prezydent Jacques Chirac spektakularnie walczył z premierem Lionelem Jospinem i na odwrót. Doszło do tego, że na szczycie UE, na którym byłem obecny jako ówczesny minister do spraw europejskich, francuski prezydent i premier w tym samym czasie demonstracyjnie zorganizowali dwie odrębne konferencje prasowe i przedstawiali dwie kompletnie rozbieżne narracje. Jednak postawa Donalda Tuska, choć może nie jest wyjątkowa na politycznej mapie Europy, to dla Polski jest rujnująca. Nie chciał uznać wyników wyborów, potem pragnął zablokować zaprzysiężenie, a teraz stale podgrzewa konflikt „na górze" po to, aby mobilizować swój elektorat. W tym kontekście przypomina się słynny artykuł Romana Dmowskiego sprzed ponad 100 lat „Gdybym był wrogiem Polski", w którym autor stwierdza, że stałe podsycanie konfliktu wewnętrznego w Rzeczypospolitej leży w interesie naszych wrogów.

Jednak chyba nie jest to wyłącznie konflikt wewnętrzny?

Oczywiście, że nie. To, co się dzieje w Polsce, stanowi część światowego sporu kulturowego i cywilizacyjnego. Prezydent Nawrocki i prawica bronią tego, co św. Jan Paweł II nazywał „cywilizacją życia", natomiast obóz kosmopolityczny chce w Polsce „cywilizacji śmierci" – pozostając w poetyce polskiego papieża.

Donald Tusk robi wszystko, aby odizolować Polskę od najważniejszego sojusznika – Stanów Zjednoczonych. Czy może mu się to udać?

Cała polityka premiera jest zorientowana na interes Berlina i Brukseli. Niemcy wpychają Polskę do SAFE, ale sami do niego nie przystępują. SAFE bardzo utrudnia zakup uzbrojenia w USA, a przecież było to integralną częścią polskiej strategii obronnej. Jednocześnie kanclerz Friedrich Merz zabiega o dobre relacje z prezydentem Donaldem Trumpem i mniej więcej raz w tygodniu rozmawia z nim telefonicznie. Był w Białym Domu już dwukrotnie. Niemiecki przywódca przygotowuje ogromne zakupy amerykańskiego uzbrojenia dla Berlina. Tusk, osłabiając pozycję Polski wobec Stanów Zjednoczonych, pomaga Niemcom umacniać się w Białym Domu i Pentagonie. Takie są realne konsekwencje jego skrajnie proniemieckich ruchów.

Czy może to oznaczać wypchnięcie przez Niemcy Polski z kolejki do amerykańskiej broni i technologii?

O tym zadecyduje Donald Trump, ale sygnały od Tuska – także w zachodnich mediach – iż niekoniecznie chce więcej amerykańskich żołnierzy w Polsce, są fatalne. W Ameryce od czasów Henry'ego Kissingera zadaje się pytanie: „Do kogo mamy dzwonić w Europie?". Tusk robi wszystko, aby z Waszyngtonu dzwoniono do Berlina, mimo że za pierwszej kadencji prezydenta Trumpa, po brexicie, to Polska stała się partnerem numer jeden USA w Unii Europejskiej. Dobrze, że mamy prezydenta Karola Nawrockiego, bo Donald Tusk jest w Waszyngtonie spalony. Biały Dom utrzymuje kontakty z Radosławem Sikorskim jako przedstawicielem polskiego rządu, bo to leży w interesie Amerykanów. Natomiast w polskim interesie pozostaje, aby premier Tusk całkowicie zmienił postawę: z proniemieckiej na propolską. Proszę odpowiedzieć sobie na pytanie, czy w ogóle jest to możliwe.

Czy Polska może odgrywać kluczową rolę w regionie?

Wszystkie państwa w Unii współpracują z partnerami, z którymi mają podobne interesy. Kraje Południa, Północy, Beneluksu. My jesteśmy w środku Europy i powinniśmy budować związki z państwami wokół nas. Taką inicjatywą jest choćby Grupa Wyszehradzka, dzisiaj zupełnie uśpiona przez Tuska. Przedtem była rządowa niechęć do eurosceptycznego rządu Węgier, teraz do eurorealistycznych rządów Czech i Słowacji. Międzymorze, Trójmorze czy Bukareszteńska Dziewiątka to naturalny obszar współpracy państw dużych – jak Polska – oraz średnich i mniejszych, położonych w środku Europy. Wspólnym głosem możemy równoważyć wpływy Niemiec i Francji. Po to jest potrzebna Via Carpatia, połączenia kolejowe, współpraca portów morskich, polityka energetyczna. Prezydent Nawrocki zaproponował wspólną politykę zakupu gazu z USA. Takie inicjatywy trzeba rozwijać.

Słuchając przemówienia Andrzeja Poczobuta, gdy odbierał z rąk prezydenta Nawrockiego Order Orła Białego, miałem łzy w oczach. Oddał cześć polskim bohaterom. Za propagowanie pamięci o nich przez pięć lat był więziony przez Łukaszenkę. A jednocześnie wokół tej sprawy odbyła się jakaś żenująca gra.

Wielokrotnie zabierałem głos w obronie Andrzeja Poczobuta, również na łamach portalu wPolityce.pl, choćby rok temu. W grudniu 2025 r. w Parlamencie Europejskim udało się przeforsować jego kandydaturę do Nagrody Sacharowa. Szkoda tylko, że litewska europosłanka z EPP (do której należą KO i PSL) dodała do kandydatury Polaka inną: gruzińskiej opozycjonistki z zasługami wielokrotnie mniejszymi od zasług naszego rodaka, żeby tylko umniejszyć jego splendor. Dla nas było ważne, aby dostrzec i nagrodzić wielkie zasługi Polaka z Białorusi.

Teraz Donald Tusk przypisuje zasługi sobie.

Niestety ze strony rządowej doszło do obrzydliwej manipulacji. Były dwie wymiany z Białorusią: w grudniu 2024 r. i w czerwcu 2025 r., ale rząd nie potrafił przekonać Amerykanów, że Andrzej Poczobut musi być wśród uwolnionych. Dopiero gdy prezydentem został Karol Nawrocki, sprawy ruszyły do przodu. Jednoznacznie świadczy o tym chronologia wydarzeń.

eprasa.pl ab1a4acd9d

A rola Amerykanów?

Oczywiście bez nich zapewne nie uwolniono by Poczobuta, ale mam też do nich spore pretensje. Po pierwsze, stało się to dopiero półtora roku po pierwszej wymianie! Po drugie, samo uwolnienie rozegrali tak, aby zasługi mogli przypisać sobie Tusk z Sikorskim. To nie był przypadek ani zbieg okoliczności, że prezydent Nawrocki był w tym czasie w Dubrowniku, więc to Tusk z Siemoniakiem odbierali naszego bohatera z granicy. Potem to szef MSZ zorganizował wspólną konferencję ze specjalnym wysłannikiem prezydenta Trumpa do spraw Białorusi, a ambasador USA w Polsce dziękował na platformie X tylko rządowi, dopiero po jakimś czasie uczynił to wobec głowy państwa.

Z czego to mogło wynikać? Przecież nie z sympatii do Tuska.

Może Trump szykuje się do resetu z Rosją, bo chcę ją odciągnąć od Chin, w których USA widzą strategicznego rywala? Wobec tego w Polsce inwestują w polityków doświadczonych w realizacji rosyjskiego resetu, bo może ci nie zaprotestują przeciwko temu? Nie widzą w takiej roli prezydenta Nawrockiego. Wątpię, aby pomysł oderwania Rosji od Chin i przyciągnięcia jej do USA był realny, ale to są już kalkulacje amerykańskie.

Prezydent deklaruje dalszą pomoc Ukrainie, ale zrywa z doktryną całkowitego i bezwarunkowego poparcia wszystkich działań rządu w Kijowie. Czy jest szansa na to, aby Zełenski zaczął traktować Polskę jako partnera, a nie jako źródło potrzebnych Ukrainie zasobów?

Jestem pesymistą, jeśli chodzi o przekonanie, że Ukraina zmieni spojrzenie na Polskę. Prezydent Nawrocki prowadzi lepszą, bo bardziej realistyczną politykę względem Ukrainy niż jego poprzednik. Tego domaga się też polska opinia publiczna. Wynika to także z niebezpiecznej dla nas gry Kijowa z Berlinem ponad głową Polski. Chodzi o różnicę interesów, ale musimy też pamiętać, że Zełenski ideowo świetnie pasuje do europejskiego mainstreamu. Jego partia – Sługa Ludu – należy przecież do liberalnej międzynarodówki, której liderem jest prezydent Emmanuel Macron. Jednocześnie Trump traktuje Zełenskiego z dużym dystansem. Amerykanie woleliby, aby przyszłym prezydentem został obecny ambasador Ukrainy w Wielkiej Brytanii i były szef armii ukraińskiej gen. Walerij Załużny. Trump pamięta Zełenskiemu, że ten zablokował śledztwo przeciw synowi Joe Bidena, łączonego z aferami korupcyjnymi na Ukrainie. Gdyby je zakończono i postawiono Bidenowi juniorowi zarzuty, a może i skazano, Trump mógłby wygrać wybory w 2020 r. – przynajmniej on tak uważa.

Czy Ukraina ma szansę na wejście do NATO i UE?

Nie ma możliwości wejścia Ukrainy do NATO w przewidywalnej perspektywie. Dobrze, że prezydent Nawrocki podchodzi do tego realistycznie. Jeżeli chodzi o przyjęcie Ukrainy do Unii, przeciwne są temu państwa naszego regionu: Węgry (mimo zmiany rządu), Bułgaria po ostatnich wyborach, Czechy, Słowacja i prezydent Chorwacji. Gdyby doszło do negocjacji, to na pewno niechętne będą kraje z silnym rolnictwem z południa Europy: Hiszpania, Portugalia, Grecja, być może też Francja po wyborach prezydenckich.

Kilka miesięcy temu rozmawialiśmy na temat zakończenia wojny na Ukrainie. Powiedział pan wtedy, że nie ma na to szans, mimo że w tym czasie prezydent Trump zapowiedział szybkie zakończenie konfliktu. Można odnieść wrażenie, że po ponad czterech latach wojny nie ma chętnych, aby ją zakończyć, mimo że codziennie giną ludzie, a straty są ogromne.

Niestety to zaczyna przypominać konflikt izraelsko-palestyński, czyli swoistą „neverending story". Unia nigdy nie miała pomysłu na zakończenie tej wojny, Trump też przestał być aktywny w rozmowach pokojowych. Putin wie, że wojna konsoliduje Rosjan, a straty, które ponosi, są dla niego mniej dotkliwe niż to, co odczuwa Ukraina w sferze gospodarki i demografii. Ukraina dramatycznie kurczy się ludnościowo w stosunku do czasów Związku Sowieckiego. Straciła połowę ludności, szczególnie młodych ludzi. Warto przypomnieć, że Zełenski wygrał wybory z Petrem Poroszenką, bo obiecał zakończyć wojnę z Rosją. Wtedy mniej tragiczną, bo hybrydową. Teraz utrzymuje się u władzy, bo wojna trwa. Rzeczywiście z dzisiejszego punktu widzenia do jej zakończenia jest daleko.

Wiatr zmian wieje w dobrą stronę, a w przyszłym roku odbędą się kluczowe wybory we Francji i w Polsce. Pamiętajmy tylko o jednym: nie można ulegać antytrumpowskiej, lewackiej propagandzie, ale nie można również bezkrytycznie wpisywać się w jego politykę zagraniczną

Czy zwycięstwo Karola Nawrockiego może rozpocząć konsolidację sił konserwatywnych w Europie?

Zwycięstwo dr. Nawrockiego było bardzo ważne, bo mogliśmy powiedzieć hasłem Obamy: „Yes, we can". Od tego czasu lewica w Europie zaliczyła długą listę porażek. W Danii osiągnęła najgorszy wynik od początku XX w., w wyborach landowych w Badenii-Wirtembergii SPD ledwo przekroczyła 5-procentowy próg wyborczy. Poniosła klęskę w hiszpańskiej Andaluzji, a na Słowenii, gdzie współrządziła, zajęła dopiero 4. miejsce. Szczególna sytuacja jest na Węgrzech, gdzie lewica nie ma formalnie żadnego posła, a Péter Magyar błagał w czasie kampanii, aby nikt z UE nie przyjeżdżał i zakazywał używania unijnych flag. Wiatr zmian wieje w dobrą stronę, a w przyszłym roku odbędą się kluczowe wybory we Francji i w Polsce. Pamiętajmy tylko o jednym: nie można ulegać antytrumpowskiej, lewackiej propagandzie, ale nie można również bezkrytycznie wpisywać się w jego politykę zagraniczną. Z kandydatów, których wspierał w pięciu krajach na trzech kontynentach, wygrał tylko Karol Nawrocki.

eprasa.pl ab1a4acd9d



„Otrzymaliśmy prezydencką instrukcję redukcji sił i uznaliśmy, że anulowanie wysłania brygady do Polski było najsensowniejszą opcją” – stwierdził podczas przesłuchania przed Komisją Sił Zbrojnych Kongresu gen. Christopher LaNeve, dowódca US Army

Zatrzymana brygada

Stopniowo odsłania się mechanizm, który doprowadził do decyzji o zatrzymaniu planowego przerzutu do Polski pancernej brygady US Army, stacjonującej na stałe w Fort Hood w Teksasie



JAN ROKITA

Fot. ANADOLU

Decyzja ta wprawiła w konsternację polskie władze, ale – co ciekawsze – okazała się również niespodzianką dla czołowych polityków republikańskich, zajmujących się na Kapitolu kwestiami wojny i wojska.

Mam zresztą nieodparte wrażenie, iż niestety w Polsce – poza elitą władzy – mało kto specjalnie się tym przejął, bo też propaganda podająca w wątpliwość wartość militarnego sojuszu z Ameryką sączy się zewsząd od dawna, a od czasu wojny perskiej jeszcze się tylko nasiliła. A sprawa została potraktowana w mediach jako jeszcze jedna okazja, aby walnąć w Donalda Trumpa i pobudzić w Polsce antyamerykanizm. Natomiast polska elita władzy odczytuje tę decyzję jako *sui generis* amerykańskie wotum nieufności, więc w jakimś stopniu czuje się dotknięta i obrażona. I to niezależnie od tego, czy na sposób tuskowo-konfederacki zwykła podpiłowywać więzi transatlantyckie, czy na sposób pisowski jest zdecydowana, by ich bronić. Jedni i drudzy poczuli się nieswojo, jakby nagle ktoś im podrzucił żabę.

REKONSTRUKCJA ZDARZEŃ

Ostatnie dni obfitujące w liczne, mniej lub bardziej zdawkowe, amerykańskie wyjaśnienia zdają się sugerować, że paradoksalny fakt, iż zapowiadane od dawna ograniczanie amerykańskiej obecności w Europie zaczyna się od Polski, jest efektem przypadku czy może raczej zbiegu okoliczności.

Donald Trump najpierw zapowiedział zmniejszenie liczby żołnierzy o 5 tys., wskazując na Niemcy jako kraj, z którego Amerykanie będą wycofywani. Zdaje się, że pasowało mu to do aktualnej polemiki z Friedrichem Merzem, któremu chciał pokazać, gdzie w szeregu jest jego miejsce. Ale niedługo później, gdy w Pentagonie zapadały już konkretne decyzje, sekretarz wojny Pete Hegseth kazał amerykańskiemu dowództwu w Europie wycofać brygadę i batalion żołnierzy (co wychodzi mniej więcej na wymienioną przez Trumpa liczbę 5 tys.), pozostawiając generałom szczegóły lokacyjne. Ci zaś zadecydowali, że najprościej będzie po

eprasa.pl ab1a4acd9d

prostu zatrzymać transport do Europy tych jednostek, które właśnie miały być przerzucane, ale jeszcze się to nie stało. I tak padło na „rotującą" w Polsce brygadę pancerną oraz przenoszony właśnie do Niemiec batalion, wyszkolony do stosowania rakiet i pocisków dalekiego zasięgu.

To oczywiście rekonstrukcja, bo nikt z otoczenia Trumpa nie przedstawił publicznie całościowego biegu procesu decyzyjnego. Ale rekonstrukcja prawdopodobna, gdyż wynikająca z przebiegu przesłuchania przed Komisją Sił Zbrojnych Kongresu dwóch czołowych przedstawicieli Pentagonu: sekretarza armii Dana Driscolla (notabene protegowanego J.D. Vance'a) oraz p.o. szefa sztabu armii gen. Christophera LaNeve'a. Podkreślali oni obaj, że decyzja w sprawie „polskiej" brygady zapadła pospiesznie, w ciągu ostatnich dwóch tygodni, a w Pentagonie nie zastanawiano się głębiej nad jej uzasadnianiem, bo realizowano po prostu ogólną instrukcję prezydenta.

Nawiasem mówiąc, gen. LaNeve potwierdził krążącą już wcześniej w mediach pogłoskę, iż gdy padł rozkaz zawrócenia brygady do Teksasu, jakaś – zdaje się, że dość spora – część żołnierzy i sprzętu już znajdowała się w Niemczech, przygotowując się do wyjazdu do Polski. Najwyraźniej kłóci się to ze słowami rzecznika Pentagonu, który przekonywał o planowości i przewidywalności decyzji.

W chwili, gdy piszę ten komentarz, co najmniej dwie istotne kwestie nie są jeszcze do końca jasne. Przede wszystkim, czy owe „pięć tysięcy", o których parę dni wcześniej mówił prezydent, oraz owa „polska" brygada i „niemiecki" batalion, których przybycie do Europy wstrzymali generałowie, to ta sama redukcja, czy nie. Wyjaśnienia przedstawione publicznie przez naczelnego dowódcę NATO gen. Alexusa Grynkewicha, który zapewnia, że armia amerykańska nie przewiduje teraz dalszego zmniejszania obecności w Europie poza owymi „pięcioma tysiącami", wskazywałyby, że tak. Tak zdaje się też sądzić większość europejskich komentatorów, którzy z lekka przynajmniej podrwiwają sobie z tego, iż to, co zapowiadało się jako przykrość dla Niemiec, okazało się w istocie przykrością dla Polski. Co tu dużo mówić: w Europie Zachodniej zawsze dominował nastrój niechęci wobec ścisłego przymierza amerykańsko-polskiego, a każde jego osłabienie jest tam traktowane z trudną czasem do ukrycia satysfakcją.

PIĘĆ CZY WIĘCEJ TYSIĘCY ŻOŁNIERZY?

Okazuje się, że pewności co do owych „pięciu tysięcy" nie ma jednak niemiecki minister obrony Boris Pistorius. Niemcy, gdzie stale przebywa jeszcze 36 tys. żołnierzy amerykańskich i funkcjonują kluczowe natowskie bazy, na użytek propagandy bagatelizowały plan ogłoszony przez Trumpa, bo też z niemieckiej perspektywy faktycznie nie miał on aż tak istotnego znaczenia. Warto zdać sobie sprawę, że wycofywanie amerykańskich żołnierzy z Niemiec na dobrą sprawę trwa nieustannie od 1990 r., jeszcze dwie dekady temu stacjonowało ich 72 tys., czyli dwa razy więcej niż obecnie. Zarówno Bush, jak i Obama prowadzili właśnie taką politykę. Trump już podczas swej pierwszej kadencji chciał wycofać z Niemiec kolejne 12 tys. żołnierzy, tylko nie zdążył, bo stracił władzę, a zaraz potem rozpoczęła się rosyjska inwazja na Ukrainę.

> Analitycy Agencji Reutera spekulują, że w najbliższych dniach Waszyngton poinformuje europejskich sojuszników, iż musi ograniczyć pulę amerykańskiego potencjału militarnego, jakim NATO mogłoby dysponować – zgodnie z art. 5 traktatu – na wypadek wojny w Europie

Z militarnej perspektywy rzecz nie ma w Berlinie takiej wagi, jaką przywiązują do niej politycy w Warszawie. W każdym razie w rządzie Merza nie mają pewności, czy naprawdę jest tak, że „karnie" miały oberwać Niemcy, a skrupiło się na Polsce, czy może Trump dopiero zamierza wycofywać Amerykanów z Niemiec na większą skalę.

Druga niepewna kwestia to utrzymanie przez USA reguł „rotacji" oddziałów amerykańskich na wschodniej flance sojuszu. Bo rzecz idzie tu nie tylko o siły „rotowane" na terytorium Polski, lecz w konsekwencji także w zaniepokojonych państwach bałtyckich. Ten dziwaczny system rotacyjny, polegający na tym, że oddziały amerykańskie stacjonują w Polsce cały czas, ale są nieustannie wymieniane, wymyślono jeszcze długo przed wybuchem wojny ukraińskiej, po to, by nie złamać zobowiązania, jakie Ameryka przed laty dała Moskwie, iż na terytorium nowych członków NATO nie będzie dyslokować na stałe dużych sił. Pancerna brygada zaczęła „rotować" do Polski po ustaleniach warszawskiego szczytu NATO z 2016 r., a w ciągu 10 lat mechanizm ów nabrał cech wojskowej rutyny. Teraz po raz pierwszy został nagle zatrzymany. Ale wiceprezydent Vance mówi, iż „to tylko opóźnienie rotacji, co się czasem zdarza w takich sytuacjach".

Jeśli wierzyć Vance'owi – no i założyć, że wiceprezydent faktycznie zna plany Trumpa – to całą rzecz można interpretować w taki oto sposób. Pentagon zamierza spełnić zapowiedź Trumpa, iż owe „pięć tysięcy" – i tylko tyle – ma zostać wycofane z Niemiec, co byłoby naturalne zarówno ze względu na politykę, jak i strategię wojenną USA. Zatrzymanie brygady przerzucanej do Polski jest więc tymczasowe i wynika z dającej się zrozumieć niechęci do kosztownego przerzutu dużej jednostki pancernej do Europy tuż przed zaplanowanymi redukcjami. A docelowo na flance wschodniej znajdą się żołnierze przesunięci z Niemiec albo z jakiegoś innego państwa europejskiego.

Autopromocja

eprasa.pl ab1a4acd9d

Albo jeszcze inaczej – kiedy w końcu sztabowcy Pentagonu uporają się z całością zawiłych projektów nowej dyslokacji wojsk USA na świecie, przewidzianych zresztą nową strategią militarną, to brygada pancerna – zgodnie z tym, co zapadło niegdyś na szczycie warszawskim – zostanie przesunięta do Polski „rotacyjnie" albo i na stałe, o co polskie władze zabiegają od wielu lat.

Są niebłahe przesłanki, aby sądzić, że właśnie tak się stanie. Przesłanka pierwsza to mocno zakorzeniona w Partii Republikańskiej doktryna, wedle której sojusznicy z tzw. nowej Europy są ogólnie bardziej wartościowi dla Ameryki, niźli ci ze „starej Europy". Dawno temu, jeszcze przy okazji wojny irackiej, sformułował ją otwarcie ówczesny, nieżyjący już szef Pentagonu Donald Rumsfeld, a Trump wielokrotnie dawał wyraz temu, iż podziela tę ocenę. Osłabianie więzi z sojusznikami z flanki wschodniej byłoby sprzeczne z tą doktryną, stąd wniosek o prawdopodobnej wiarygodności zapewnień Vance'a, iż istotą sprawy jest w tym przypadku zamieszanie i opóźnienie związane z nowymi, całościowymi planami dyslokacyjnymi Pentagonu.

Przesłanka druga to reakcja republikańskich jastrzębi w Kongresie na rozkaz o wstrzymaniu przerzutu „polskiej" brygady. Dobrze wyraża ją deklaracja posła Dona Bacona, złożona na wspomnianym już posiedzeniu Komisji Sił Zbrojnych Kongresu. Bacon mówił: „To policzek dla Polski, policzek dla naszych bałtyckich przyjaciół, policzek dla tej komisji". I tak całą rzecz konkludował: „Myślę, że wyrażam tu stanowisko większości komisji, oświadczając: nie zgadzamy się!".

CO W RAZIE WOJNY?

Poważniejszy i wykraczający daleko ponad polskie interesy problem wiąże się z inną, spodziewaną decyzją amerykańskiego rządu. Analitycy Agencji Reutera (i nie tylko oni) spekulują, iż w najbliższych dniach Waszyngton poinformuje europejskich sojuszników, iż musi ograniczyć pulę amerykańskiego potencjału militarnego, jakim NATO mogłoby dysponować – zgodnie z art. 5 traktatu – na wypadek wojny w Europie. Oczywiście ani teraz, ani później nie dowiemy się, co to oznacza w praktyce, bo plany oraz tzw. NATO Force Model, czyli dyslokacja jednostek wojskowych i broni z poszczególnych państw członkowskich w czasie wojny są strzeżone najwyższym stopniem tajemnicy.

Zmniejszenie zbrojnego zaangażowania Ameryki w hipotetyczną wojnę w Europie nie jest niespodzianką i dla zachodniego sojuszu będzie dobrze, jeśli w końcu przestanie być domeną przypuszczeń, niepewności i spekulacji, a zostanie jasno zdefiniowane przez USA. Wiele profesjonalnych analiz wskazuje bowiem na to, że Ameryka nie byłaby w stanie wywiązać się w pełni ze swoich zobowiązań, choćby z powodu ogromnego zużycia nowoczesnych broni w wojnach na Ukrainie i w Iranie. Jest też jasne, iż każda wieść o tym, że Ameryka w razie wojny w Europie będzie mogła użyć mniejszego potencjału, jest zła. Nawet jeśli są tego rozsądne powody i uzasadnienie.





Wojna ikon w globalnej wiosce

Dziś najważniejsza batalia toczy się nie o panowanie na frontach, lecz o panowanie nad umysłami



GRZEGORZ GÓRNY

Marshall McLuhan, najwybitniejszy teoretyk komunikowania masowego w XX w., wprowadził do obiegu publicznego pojęcie wojny ikon. Dziś możemy odkryć trafność jego diagnozy, obserwując konflikty na Bliskim Wschodzie czy w Europie Wschodniej.

To wojny, które toczą się w dwóch równoległych światach, na odmiennych płaszczyznach: militarnej i propagandowej. W pierwszym wymiarze to walka z użyciem samolotów, pocisków, rakiet, armat czy dronów, w drugim bronią stają się obrazy, filmy, zdjęcia czy podcasty.

MEDIUM JEST PRZEKAZEM

W 1964 r. kanadyjski uczony Marshall McLuhan opublikował głośną książkę pt. „Zrozumieć media: Przedłużenia człowieka" („Understanding Media. The Extensions of Man"). Zawrotną karierę zrobiło zwłaszcza jedno zdanie pochodzące z tej pracy: „The medium is the message" („Medium jest przekazem"). Autorowi chodziło o to, że społeczeństwo jest kształtowane nie tyle przez treść komunikatu, ile przez medium, przez które ów komunikat dociera do ludzi. W tym kontekście podawał m.in. przykład żarówki, która jest medium pozbawionym treści, a jednak całkowicie przeobraziło życie społeczne, ponieważ pozwoliło działać nocą.

McLuhan dodawał, że każde medium stanowi przedłużenie ludzkiego ciała lub zmysłów, np. koło – przedłużeniem nóg, książka – oka, radio – słuchu, a telewizja – układu nerwowego. W przypadku telewizji znacznie ważniejsze niż to, co mówi owo medium, jest to, że w ogóle istnieje, angażując zmysły człowieka, ponieważ w ten sposób przekształca zarówno kulturę, jak i politykę.

Kanadyjczyk zauważał, że technologie komunikacyjne zmieniają naturę postrzegania przez nas rzeczywistości, przeprogramowując świadomość, a tym samym wiele tak różnych czynników, jak np. długość skupienia uwagi, sposób pamiętania, relacje między ludźmi czy model przeżywania wspólnoty.

McLuhan opublikował swą książkę w czasie zimnej wojny, gdy walka między obozem kapitalistycznym a komunistycznym toczyła się nie o to, kto zwycięży militarnie, lecz o to, czyj obraz świata zostanie w umysłach społeczeństwa. W tym kontekście pisał o „wojnie ikon" jako procesie

Fot. Shutterstock

eprasa.pl ab1a4acd9d

„erozji zbiorowego oblicza przeciwnika", gdzie stawką jest zniszczenie prestiżu, rozbicie wspólnotowych mitów, osłabienie morale i przejęcie wyobraźni społeczeństwa. W tym znaczeniu ikona nie oznaczała świętego wizerunku, lecz zestaw obrazów, plakatów, zdjęć czy filmów naładowanych silnym ładunkiem symbolicznym i emocjonalnym oddziałującym na kolektywną świadomość przeciwnika. Dlatego – jak konkludował autor – „atrament i fotografia zastępują żołnierzy i czołgi".

ZARZĄDZANIE EMOCJAMI

Marshall McLuhan zmarł w 1980 r., więc nie doczekał pojawienia się internetu. Jego refleksje i uwagi z powodzeniem można jednak odnieść także do tego medium, które w naszych czasach stało się przedłużeniem zbiorowej pamięci i świadomości. Sieć cyfrowa nie tylko przesyła dane, lecz także „zanurza całe populacje w nowej obrazowości", a tym samym zmienia rodzaj percepcji, wartości, relacji międzyludzkich czy rozumienia wspólnoty. W erze cyfrowej „wojna ikon" jest znacznie bardziej intensywna niż w epoce TV. Bronią stają się media społecznościowe, blogi, vlogi, podcasty, memy, posty, virale, live streamingi albo fake newsy. Stawka jest ta sama: to, komu uda się sformatować zbiorową wyobraźnię.

Dotyczy to również wojen między Rosją a Ukrainą, Izraelem a Palestyną, Stanami Zjednoczonymi a Iranem. Do wspomnianych konfliktów po raz pierwszy na dużą skalę została wprzęgnięta także sztuczna inteligencja. Każda operacja militarna zostaje natychmiast przełożona na krótkie, mocne, łatwo przyswajalne przekazy, które niczym pociski są wystrzeliwane w przestrzeń informacyjną. Zajmują się tym algorytmy, które tak filtrują, adaptują, przetwarzają i konstruują wiadomości, by można jak najskuteczniej osiągnąć pożądany efekt emocjonalny, np. wywołać takie uczucia, jak z jednej strony wzruszenie, dumę, współczucie, a z drugiej – strach, oburzenie, gniew, pogardę i nienawiść.

Dziś karierę robi pojęcie zarządzania emocjami. Wydaje się ono paradoksalne, ponieważ emocje są czymś najbardziej osobistym, intymnym, „moim". Nagle dowiadujemy się jednak, że ktoś z zewnątrz może nimi zarządzać, jakby majstrował wewnątrz nas samych. Dzieje się tak dlatego, że atakowane są nie tylko nasze umysły, lecz – na poziomie fizjologicznym – także nasz układ hormonalny. Poprzez bodźcowanie emocjonalne media sterują skokami dopaminy, adrenaliny lub oksytocyny w naszych organizmach, wywołując określone uczucia.

Ten mechanizm, choć nie tak precyzyjnie skonceptualizowany i nieprzebadany aż do poziomu komórek i neuronów, był znany już od najdawniejszych czasów. W epoce Ramzesa XIII, którą opisał Bolesław Prus w „Faraonie", zajmowała się tym kasta kapłańska, wtajemniczona w arkana zbiorowej manipulacji. Współcześni „kapłani" mediów społecznościowych dostali do ręki znacznie doskonalsze instrumenty programowania socjocybernetycznego, o jakich nawet nie marzyła Leni Riefenstahl, gdy realizowała swój „Triumf woli".

WE MGLE WOJNY

W tym cyfrowym ekosystemie, który bardziej przypomina stan chaosu niż jakiegokolwiek porządku, zgodność z rzeczywistością przestaje cokolwiek znaczyć. Żyjemy we „mgle wojny", gdzie krzyżują się ze sobą tak sprzeczne narracje, że przeciętny odbiorca komunikatów nie jest w stanie odróżnić, kto mówi prawdę, a kto kłamie. Widzimy filmy z pola walki z płonącymi czołgami, zestrzelonymi śmigłowcami czy walącymi się w gruzy budynkami i nie wiemy, czy są to autentyczne nagrania, czy fikcja stworzona przez systemy AI.

Cyfrowe narracje spłaszczają przekaz. Sprowadzają skomplikowane procesy i złożone sytuacje do prostych wyjaśnień, najlepiej dających się zamknąć w chwytliwym haśle lub sloganie. O ile w bataliach politycznych i militarnych przywódcy muszą wziąć pod uwagę wiele zmiennych czynników, uwzględniając rachunek zysków i strat, o tyle w „wojnie ikon" nie ma niuansów, ponieważ emocje działają szybciej niż rozum – komunikaty muszą być zatem jednoznaczne, wyraziste i czytelne.

Interaktywność świata cyfrowego sprawia też, że konsumenci narracji stają się nie tylko widzami, lecz także aktywnymi uczestnikami całego procesu. Lajkują, komentują i repostują kolejne treści, a tym samym wzmacniają ich przekaz i zwiększają zasięgi. Aktywny internauta jest zatem nie tylko celem ataku, lecz także (świadomym lub nieświadomym) żołnierzem biorącym udział w wojnie informacyjnej.

BROŃ MASOWEGO WRAŻENIA

W krajach objętych działaniami wojennymi leje się krew, giną ludzie, rozgrywają się prawdziwe ludzkie dramaty. Są one jednak natychmiast przetwarzane w opowieści. Trwa zacięta walka o status ofiary. Dziś każdy chce nią być, ponieważ daje to legitymizację moralną. W zależności od potrzeb ofiary są więc eksponowane lub przemilczane, mnożone lub zerowane, sprowadzane do wzruszających twarzy lub do zimnych liczb.

Nieustanna ekspozycja takich przekazów to nie tylko ryzyko tego, że ulegniemy dezinformacji i damy sobie ukształtować opinię, lecz także tego, iż zmieni się nasza percepcja. Przez swą powszechność w mediach wojna powszednieje. Przestaje być wydarzeniem wyjątkowym i przekształca się w cyfrową rutynę. W odbiorze społecznym zanika jej tragiczny wymiar – pojawia się przyzwyczajenie, a w ślad za nim zobojętnienie i syndrom odwrażliwienia.

McLuhan zauważał, że o ile kultura druku sprzyja intelektualnej refleksji i logicznemu umysłowi, o tyle kultura elektroniczna stanowi powrót do obrazu, który stał się głównym językiem naszej epoki. Internet to pogłębienie tego procesu. To świat, w którym ludzie myślą obrazami, rozumują skrótami i natychmiast reagują emocjami. Nie toczą sporów na argumenty, lecz na uczucia, skojarzenia i efekty pierwszego wrażenia. Tu błyskawiczny mem ma większą siłę niż solidna analiza. Liczy się szybkość przekazu, czyli pierwszeństwo dotarcia, a nie jego treść. Im szybsze medium, tym silniejsze reakcje emocjonalne wywołuje. Dlatego wymianę zdań i komentarze w internecie cechuje wyjątkowo duży poziom agresji i zapiekłości. Tym samym pogłębia się polaryzacja i eskalacja konfliktów. Współczesna szkoła niestety nie uczy już krytycznego myślenia, umiejętności analizowania i wyciągania wniosków. Ludzie stają się więc bezbronni i nawet o tym nie wiedzą. Są przekonani, że to oni kontrolują media, ale w rzeczywistości to media kontrolują ich.

eprasa.pl ab1a4acd9d

Sojusz w cieniu rzezi wołyńskiej – polsko-ukraiński atak na Hrubieszów

28 maja 1946 r. oddziały Ukraińskiej Powstańczej Armii oraz Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość wspólnie zaatakowały Hrubieszów, miasteczko położone na nowej polsko-sowieckiej granicy. Mimo nieskrywanej nienawiści obie strony zdecydowały się, by połączyć siły przeciwko wspólnemu wrogowi. Nieoczekiwanie w centrum tych wydarzeń znalazł się... Wojciech Jaruzelski



STANISŁAW PŁUŻAŃSKI



Spotkanie WiN i UHWR, OUN-B i UPA koło Rudy Różanieckiej 21 maja 1945 r.

Fot. IPN

W lasach pod Hrubieszowem pod osłoną nocy gromadzili się polscy partyzanci. Napięcie przed akcją było większe niż zwykle. Nerwową atmosferę potęgował nie tylko sam plan ataku, lecz także obecność nietypowego sojusznika.

Wśród oddziałów wyznaczonych do operacji znajdowała się jednostka Henryka Lewczuka „Młota". Miała ona jedno z trudniejszych zadań – zajęcie Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Dowódca postanowił wykorzystać ostatnie chwile przed walką, by sprawdzić gotowość swoich ludzi. Partyzanci czekali na sygnał do rozpoczęcia ataku, którym miała być salwa z upowskiej „torpedy". Nieoczekiwani sojusznicy spóźnili się, ale w tym samym czasie w innych częściach miasta rozmieszczali już swoich żołnierzy. Rozejm między częścią polskiego i ukraińskiego podziemia trwał od pewnego czasu, dla wielu był jednak trudny do zaakceptowania. „Młot" nie zabrał na akcję wszystkich swoich ludzi. Z udziału w operacji zostali wyłączeni ci, którzy stracili bliskich w wyniku ukraińskich zbrodni.

WSPÓLNY WRÓG

Polskie i ukraińskie podziemie od lat prowadziło krwawą walkę. Choć mieszkańcy Lubelszczyzny nie doświadczyli tragedii na taką skalę jak Polacy na Wołyniu czy w Małopolsce Wschodniej, również tutaj zbrodnicza działalność UPA dała o sobie znać. Najbardziej zaciekłe starcia trwały w latach 1943–1944. Początkowo sytuacji nie zmieniło nawet przejście frontu wschodniego. Po zakończeniu wojny zarówno polskie podziemie niepodległościowe, jak i ukraińska partyzantka znalazły się jednak w bardzo trudnym położeniu. Obie strony zaczęły dostrzegać, że dalsze wzajemne wyniszczanie tylko osłabia ich siły i ułatwia komunistom pacyfikację regionu. Pierwsze próby zawierania lokalnych rozejmów pojawiły się już w 1945 r. Dla wielu żołnierzy były one jednak niezwykle trudne do zaakceptowania. W polskim podziemiu nie brakowało ludzi, którzy podczas rzezi wołyńskiej stracili rodziny i bliskich. Z kolei część ukraińskich nacjonalistów nadal postrzegała Polaków jako historycznych okupantów.

Mimo tych doświadczeń 21 maja 1945 r. w Rudzie Różanieckiej przedstawiciele zamojskiej AK i UPA podpisali porozumienie kończące w tym rejonie, trwające od dwóch lat walki między polskimi a ukraińskimi oddziałami niepodległościowymi. Wyznaczono strefy wpływów, ustalono sposoby utrzymywania kontaktu i hasła rozpoznawcze, a także postanowiono wymieniać się informacjami wywiadowczymi oraz wspólnie zwalczać agentów komunistycznych. Wkrótce rozpoczęto również wspólne akcje zbrojne. Atakowano posterunki NKWD, UB i MO, a także pociągi, stacje kolejowe, sklepy czy starostwa.

Pierwsze wspólne działania przeprowadzono już 27 maja 1945 r., gdy oddziały AK-DSZ i UPA rozbroiły posterunki milicji w Warężu i Chorobrowie. Głośnym echem odbiła się również akcja z 6 kwietnia 1946 r. w Werbkowi-

eprasa.pl ab1a4acd9d

cach, podczas której wspólnie opanowano stację kolejową i rozbrojono milicjantów.

POLSKO-UKRAIŃSCY ZAKŁADNICY

Hrubieszów był niewielkim miasteczkiem na południowej Lubelszczyźnie, liczącym ok. 8 tys. mieszkańców. Mimo to odgrywał istotną rolę w systemie komunistycznego aparatu represji na pograniczu. To właśnie tutaj mieściły się siedziby Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, Powiatowej Komendy MO, Komitetu Powiatowego PPR, Komendy Miasta oraz Ukraińskiej Komisji Przesiedleńczej. Reprezentacyjny dworek Du Chateau zajmowało NKWD. Na północnym brzegu rzeki stacjonował natomiast 5. pułk „Ludowego" Wojska Polskiego oraz komenda 32. odcinka Wojsk Ochrony Pogranicza.

Głównym celem wspólnej operacji było rozbicie lokalnych struktur tzw. aparatu bezpieczeństwa, uwolnienie więźniów oraz zdobycie broni. Atak zaplanowano na noc z 27 na 28 maja 1946 r. Dzień wcześniej zarządzono koncentrację oddziałów w lesie między Trzeszczanami a Podhorcami, ok. 6 km od Hrubieszowa. Tam odbyła się narada dowódców. Stronę ukraińską reprezentował Jewhen Sztendera „Prirwa", natomiast polską najprawdopodobniej por. Wacław Dąbrowski „Azja", komendant hrubieszowskiego obwodu WiN. Nowi sojusznicy wciąż odnosili się do siebie z dużą nieufnością. Do oddziałów UPA przydzielono czterech żołnierzy WiN, dobrze znających teren. Odgrywali oni jednocześnie rolę przewodników i zakładników. Polacy zastosowali podobne zabezpieczenie, na czas akcji wcielając do jednego ze swoich pododdziałów dwóch upowców. Obecność zakładników miała być gwarancją, iż żadna ze stron nie dopuści się zdrady.

Jak na warunki partyzanckie siły przeznaczone do przeprowadzenia operacji były znaczne. Do akcji skierowano ok. 300 bojowników UPA oraz blisko 150 żołnierzy WiN. Ustalono, że polskie oddziały opanują m.in. budynki Powiatowego UBP, MO i Komitetu Powiatowego PPR, natomiast UPA zaatakuje siedzibę NKWD. Ponad połowę sił polskiego podziemia skierowano do zabezpieczenia głównych dróg prowadzących do miasta. O zmierzchu oddziały WiN i UPA skierowały się w stronę lasu w Dęblince, a następnie bez większych przeszkód ruszyły w stronę miasta. Partyzanci jeszcze przed północą zajęli wyznaczone pozycje.

NOCNY SZTURM

Atak rozpoczął się o godz. 1.30 wystrzałem ukraińskiej „torpedy". Potężny wybuch wstrząsnął Hrubieszowem, a w mieście zapanował chaos. Sytuację natychmiast wykorzystali żołnierze „Młota", którzy szybko wdarli się do budynku PUBP. Funkcjonariusze UB próbowali wezwać pomoc, jednak bez powodzenia. Tuż przed rozpoczęciem akcji partyzanci przecięli linie telefoniczne, odcinając obrońców od kontaktu ze światem zewnętrznym. Kolejna ukraińska rakieta trafiła w gabinet szefa PUBP, wywołując pożar. Wśród funkcjonariuszy wybuchła panika i po krótkim czasie budynek znalazł się w rękach partyzantów. Współpracujący z hrubieszowskim podziemiem klucznik PUBP Władysław Wasylczuk otworzył cele więzienne. Według różnych szacunków uwolniono od 22 do 50 więźniów, w tym 5 Ukraińców. Niemal natychmiast rozpoczęto ich ewakuację z miasta.

Pozostałe oddziały podziemia napotkały jednak znacznie silniejszy opór. Pododdział plut. Witolda Poteruchy „Szczerbatego" po krótkiej walce zajął siedzibę miejscowej PPR i przechwycił znajdujące się tam dokumenty. W tym samym czasie oddział por. Czesława Hajduka „Ślepego" zablokował budynek „Szturmówki" oraz obsadził most na Huczwie. Szczególną rolę odegrał specjalny oddział Jana Trusia „Gaika", składający się z dziesięciu Polaków i dwóch Ukraińców. Jego członkowie przeczesywali prywatne mieszkania, szukając funkcjonariuszy UB, których następnie likwidowano.

Jednym z najtrudniejszych celów okazał się posterunek MO. Oddział WiN próbował wedrzeć się do środka, lecz milicjanci znajdujący się na parterze natychmiast otworzyli ogień. Po chwili do walki włączyli się także funkcjonariusze z wyższych pięter. Partyzantom udało się opanować parter budynku, jednak milicjanci obrzucili ich granatami, zmuszając do odwrotu. Drugi szturm przebiegł niemal identycznie. Żołnierze WiN ponownie zdobyli parter, lecz po kolejnym gradzie granatów musieli się wycofać. Dopiero podczas trzeciego ataku wsparcia udzielili im banderowcy. Gdy obrońcom zaczęło brakować granatów, partyzanci zaczęli przedzierać się na schody. Wówczas milicjanci zdecydowali się na kontratak, co przesądziło o losach walki. Partyzanci po raz trzeci wycofali się z budynku i tym razem zrezygnowali z dalszych prób opanowania placówki. Powiatowa Komenda MO pozostała niezdobyta.

W tym samym czasie główne siły UPA prowadziły ostrzał koszar NKWD mieszczących się w dworku Du Chateau. W budynek trafiło kilka „torped", jednak Sowieci odpowiedzieli intensywnym ogniem. Wymiana strzałów trwała ok. półtorej godziny. Ostatecznie sotnie UPA zrezygnowały z prób szturmu. Ukraińcy usiłowali również zdobyć siedzibę Komisji Przesiedleńczej. Szczególnie zależało im na przejęciu znajdujących się tam dokumentów. Także tutaj napotkali jednak silny opór. 20-osobowa bojówka Służby Bezpieczeństwa OUN przekonała się, że informacje polskiego wywiadu były błędne. Wbrew zapewnieniom ochrona komisji nie dysponowała jedynie pistoletami, lecz była dobrze uzbrojona w broń maszynową. Partyzanci zdołali natomiast opanować i zniszczyć budynek poczty.

Akcja stopniowo dobiegała końca i rozpoczął się odwrót. Polskie oddziały wycofały się w kierunku Sławęcina, gdzie na okolicznych łąkach czekały już furmanki mające przewieźć partyzantów do wsi Gliniska. Prowadzony pościg nie zdołał odnaleźć ich śladów. Ukraińcy wycofywali się natomiast w stronę lasu terebińskiego, jednak za ich oddziałami ruszył pościg NKWD.

MŁODY PORUCZNIK PRZECIW PARTYZANTOM

Alarm w koszarach 5. pułku Wojska Polskiego, stacjonującego na północnym brzegu Huczwy, ogłoszono krótko po godz. 1.00. Z powodu zerwanej łączności żołnierze nie wiedzieli, jak liczne

eprasa.pl ab1a4acd9d



Zniszczony budynek PUBP w Hrubieszowie

Fot. IPN

siły partyzanckie zaatakowały miasto ani jakie są ich rzeczywiste zamiary. Początkowo dowództwo nie zdecydowało się na szerszą akcję zaczepną. Skupiono się przede wszystkim na obronie koszar. Dopiero ok. godz. 2.00 w stronę miasta wysłano pluton liczący mniej więcej 25 żołnierzy pod dowództwem ppor. Mariana Fleminga. W jego składzie znajdował się młody por. Wojciech Jaruzelski, pełniący funkcję pomocnika szefa sztabu pułku do spraw rozpoznania.

Już rok wcześniej jednostkę Jaruzelskiego skierowano na teren powiatu hrubieszowskiego do walki zarówno z UPA, jak i polskim podziemiem niepodległościowym. Do jego obowiązków należało opracowywanie raportów dotyczących działalności antykomunistycznych struktur. Przesłuchiwał również ukraińskich jeńców i przygotowywał meldunki dotyczące działań prowadzonych przez pułk przeciwko partyzantom. Dowodzone przez niego grupy zwiadowcze uczestniczyły w akcji wysiedlania ukraińskiej ludności z powiatu hrubieszowskiego na teren sowieckiej Ukrainy.

Żołnierze ostrożnie posuwali się w stronę centrum miasta. Słysząc eksplozje granatów i nieustanny terkot broni maszynowej, oddział nie spieszył się z wejściem do walki. Dopiero ok. godz. 3.30 dowódca miejscowego NKWD wysłał do akcji silniejszy pododdział, wspierany przez transportery opancerzone. Część wycofujących się partyzantów udało się dogonić podczas przeprawy przez rzekę – ukryli się między drewnianymi belkami leżącymi obok przeprawy. Gdy transportery przejechały przez most, partyzanci otworzyli ogień i rzucili granaty. Zamieszanie wywołane wybuchami pozwoliło im przedostać się na drugi brzeg i uniknąć okrążenia.

KONIEC POROZUMIENIA

Przez cały następny dzień trwała intensywna obława na uczestników ataku. Wzmocnione siły komunistyczne szczególnie zaciekle ścigały oddziały UPA. Mimo to nie udało się ich rozbić. Straty poniesione przez uczestników akcji były stosunkowo niewielkie. UPA straciła 5 ludzi, z czego 3 podczas pościgu, a kolejnych 3 zostało rannych. Po stronie WiN nie odnotowano poległych, choć podczas walk zginęła przetrzymywana w areszcie sanitariuszka „Floresa". Według oficjalnych danych NKWD straciło 10 ludzi, WOP – 5, a PPR i UB po 2 funkcjonariuszy. Wielu zostało rannych.

Atak na Hrubieszów miał ogromne znaczenie propagandowe. Partyzanci zdobyli i zniszczyli dużą część dokumentacji władz komunistycznych, co na wiele miesięcy sparaliżowało działalność lokalnego aparatu bezpieczeństwa. W wojsku i UB wyraźnie wzrosło poczucie zagrożenia. Ograniczono wyjazdy funkcjonariuszy w teren, budynki MO otoczono zasiekami z drutu kolczastego i umocniono okopami, a nocami wystawiano stałe warty. Atmosfera strachu była tak silna, że jeszcze w połowie 1946 r. kilku funkcjonariuszy hrubieszowskiego PUBP z obawy o własne życie zrezygnowało ze służby.

Atak na Hrubieszów miał ogromne znaczenie propagandowe. Partyzanci zdobyli i zniszczyli dużą część dokumentacji władz komunistycznych, co na wiele miesięcy sparaliżowało działalność lokalnego aparatu bezpieczeństwa. W wojsku i UB wyraźnie wzrosło poczucie zagrożenia. Jeszcze w połowie 1946 r. kilku funkcjonariuszy hrubieszowskiego PUBP z obawy o własne życie zrezygnowało ze służby

Jednocześnie akcja na Hrubieszów okazała się ostatnim aktem polsko-ukraińskiej współpracy zbrojnej. Porozumieniu z UPA sprzeciwiał się polski rząd emigracyjny w Londynie. Środowiska narodowe nieustannie krytykowały obóz poakowski za jakiekolwiek kontakty z ukraińskim podziemiem, kontynuując bezwzględną walkę z Ukraińcami. Dodatkowo nie wszystkie oddziały UPA zrezygnowały z działań wymierzonych w polską ludność cywilną. Walka obu stron porozumienia z czerwonym reżimem niedługo później dobiegła końca. Postępujące umacnianie władzy komunistycznej w Polsce sprawiło, że większość działaczy związanych z WiN ujawniła się podczas amnestii ogłoszonej w 1947 r. Wkrótce rozpoczęła się również akcja „Wisła", która ostatecznie doprowadziła do rozbicia struktur UPA w Polsce.

eprasa.pl ab1a4acd9d



Filmowe ojczyzny

Czym dla Pawła Pawlikowskiego jest tytułowa „Ojczyzna”? W filmie – za którego sprawą wrócił do Cannes oraz głównego konkursu festiwalu – a także poza tą produkcją? W pełni będziemy mogli to ocenić po polskiej premierze 18 czerwca

Fot. Scott A Garfitt/Invision/East News

eprasa.pl ab1a4acd9d



Kadr z filmu „Fatherland – Tajemnica III Rzeszy"

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Do czasu 79. edycji Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Cannes (zakończonego 23 maja, w chwili zamykania numeru nie wiemy, kto odebrał Złotą Palmę) tytuł najnowszego filmu Pawła Pawlikowskiego mógł się kojarzyć z inną produkcją. A także ze związanymi z nią kontrowersjami. „Fatherland – Tajemnica III Rzeszy" z 1994 r. przedstawiał alternatywną wizję historii, w której Hitler wygrał II wojnę światową, zagarniając całą Europę oraz lwią część Rosji. By jeszcze wzmocnić globalną pozycję „cywilizowanego, nowoczesnego mocarstwa" (sic!), postanowił porozumieć się z USA. Największą przeszkodą w tych działaniach (akcja toczy się w połowie lat 60. ub.w.) mogło się okazać ujawnienie zatuszowanego Holokaustu. W filmowej narracji nie ma nawet napomknięcia o zbrodniach popełnionych na innych nacjach. Za to niemieckie społeczeństwo jest pokazane jako nieświadome działań i skutków nazizmu.

EKRANOWE POWROTY

Czy Paweł Pawlikowski, wybierając tytuł domykający „zimnowojenną" trylogię, brał pod uwagę przywołaną wyżej produkcję? Wydaje się, że nie. Nie wspomina o tym w żadnej z wypowiedzi udzielonych przy okazji canneńskiej prapremiery filmu „Fatherland". Czarno-białego obrazu, zagranego po niemiecku, a opowiadającego o powrocie/podróży do Niemiec – w czasie zimnej wojny – Tomasza Manna i jego córki Eriki. W głównych rolach występują Hanns Zischler („Monachium") i Sandra Hüller („oczywisty wybór" po jej rolach w „Tonim Erdmannie", „Anatomii upadku" i „Strefie interesów").

Film to koprodukcja francusko-niemiecko-polsko-włoska. Autorem zdjęć jest Łukasz Żal, muzyki – Marcin Masecki, za montaż odpowiadał Piotr Wójcik; scenografię – Katarzyna Sobańska i Marcel Sławiński; a za kostiumy – Aleksandra Staszko.

Większość zdjęć powstawała na Dolnym Śląsku, z wykorzystaniem „rdzennie niemieckiej architektury", „idealnie zachowującej surową fakturę przeszłości". W tamtym regionie twórcy „Ojczyzny" znaleźli też „genialnych statystów – ludzi o niezwykle interesujących, nienowoczesnych twarzach".

FORMATOWANIE ŚWIATA

W wywiadzie udzielonym portalowi Filmweb reżyser mówił, że najnowszy projekt „bardzo mocno dotyka jego osobistych przemyśleń", „sytuacji na świecie oraz braku – a właściwie upadku – pewnego systemu wartości". To również opowieść o rodzinie, która „w dzisiejszych czasach – jako idea – jest w sporych tarapatach".

Pawlikowski zwraca uwagę, że we współczesnym świecie formatuje się zarówno informacje, jak i sposób ich odczytania oraz przekazywania. „Siedzisz w swoim pokoiku w Londynie, Paryżu czy Nowym Jorku i masz zdanie na każdy temat, nie mając zielonego pojęcia o realiach danej sprawy. Moja pozycja – czy też przywilej – polega na tym, że mieszkałem w wielu krajach, przez długi czas, w różnych okresach – i widzę, jak sprzeczne potrafią być te opowieści" – podkreśla w wywiadzie.

SKOMPLIKOWANA HISTORIA

O filmie „Fatherland" mówi, że „był sposobem [...] na pokazanie, że historia jest skomplikowana i ludzie też są skomplikowani. Wszystko zależy od tego, kim jesteś w danym momencie swojego życia i jakie masz opcje. Chodzi o to, by starać się być maksymalnie szczerym. Prawdy i tak nie poznasz, ale bądź szczery wobec samego siebie, wobec tego, kim jesteś".

Zastanówmy się więc, w jakim momencie jest dziś Paweł Pawlikowski? Reżyser, który trzecią część trylogii powojennej Europy (po „Idzie", 2013 i „Zimnej wojnie", 2018) postanowił opowiedzieć z perspektywy niemieckiego pisarza.

We wspomnianym wywiadzie deklaruje: „Nie myślę kategoriami narodowości. Szukam postaci i sytuacji, z którymi potrafię się utożsamić [...] znajduję interesującą ludzką sytuację w bogatym kontekście, a potem próbuję połączyć te dwa elementy. Poza tym coraz mocniej czuję, że jestem po prostu Europejczykiem".

ARTYSTA TRANSNARODOWY

Jako twórca pochodzący z rodziny o zarówno katolickich, jak i żydowskich korzeniach (matka ojca zginęła w Auschwitz), urodzony w Warszawie (w 1957 r.), ale od nastoletnich lat dzielący życie między Wielką Brytanię, Polskę, a potem Francję i Niemcy, stał się „synonimem artysty transnarodowego". Taka perspektywa ułatwia mu „przekuwanie prywatnych historii w uniwersalne opowieści o miłości, pamięci i tożsamości".

Pochodzenie ojca miało wpływ na narrację nagrodzonej Oscarem (dla filmu nieanglojęzycznego) „Idy". Relacja łącząca matkę Zulę – baletnicę, a następnie wykładowczynię na UW, oraz ojca Wiktora, lekarza, zainspirowała stworzenie nominowanej do Oscara (dla najlepszego reżysera i filmu nieanglojęzycznego) „Zimnej wojny". Pierwsza żona reżysera i matka dwójki jego dzieci (która zmarła po ciężkiej chorobie) była rosyjską pianistką, obecna, Małgorzata Bela, od najmłodszych lat mieszkała i pracowała (m.in. jako modelka) za granicą.

W wywiadzie udzielonym brytyjskiemu dziennikarzowi reżyser mówił, że mieszkanie w Londynie pomogło mu odnaleźć „filmową ojczyznę", z jej korzeniami we włoskim neorealizmie i francuskiej Nowej Fali, czerpiącą też z ducha czeskiej nowej fali, działań duńskiej Dogmy 95 oraz filmów Kena Loacha i Mike'a Leigh. O polskich inspiracjach nie wspomniał, choć to jego stryja Adama Pawlikowskiego (wraz ze Zbyszkiem Cybulskim) widzimy w słynnej scenie palenia wódki w „Popiele i diamencie". Na festiwal w Cannes i do głównego konkursu Pawlikowski wrócił po ośmiu latach. W 2018 r. dostał nagrodę za reżyserię „Zimnej wojny", rok później był członkiem jury.

Fot. Kino Świat

eprasa.pl ab1a4acd9d

20 lat i... tak wiele

Książka prof. Krzysztofa Kloca zachęca do zastanowienia się, czy Polska w ogóle mogła przetrwać bez II Rzeczypospolitej. Co by się z nami stało – sto lat temu i dziś – gdyby nie było drugiej niepodległości?

W życiu narodów – jak w życiu w ogóle – przeplatają się okresy pomyślności i niepowodzeń, koniunktury i dekoniunktury. Cała mądrość polityki polega na tym, by podczas tych pierwszych maksymalizować efekty, a w czasie drugich wytrwać, minimalizując straty.



Krzysztof Kloc, „Sezon na niepodległość. Czy odrodzona Polska mogła przetrwać?", Wydawnictwo Prześwity 2026

O tym w istocie traktuje nowa książka prof. Krzysztofa Kloca „Sezon na niepodległość. Czy odrodzona Polska mogła przetrwać?". To fundamentalne pytanie nieprzypadkowo jednak znalazło się w tytule książki na drugim miejscu. W gruncie rzeczy autor nie polemizuje bowiem z niemiecką inwektywą Saisonstaat (państwo sezonowe) – i słusznie, bo obelgi nie nadają się na materię dyskusji. Książka nie zaprzecza, że odzyskaliśmy niepodległość w warunkach szczególnej koniunktury międzynarodowej. W końcu od czasów Mickiewicza, a nawet wcześniej, pokolenia Polaków modliły się o „wojnę powszechną za wolność ludów" i na różne sposoby starały się ją przybliżyć. Sam tekst książki odwraca jednak tytułowe pytanie. Kreśląc panoramę duchowego, geopolitycznego i społecznego położenia niepodległej Polski, zachęca do zastanowienia się, czy Polska w ogóle mogła przetrwać bez II Rzeczypospolitej? Co by się z nami stało – sto lat temu i dziś – gdyby nie było drugiej niepodległości?

A czy można było ją zachować, gdy załamał się niestabilny porządek międzynarodowy, w którym stała się możliwa? Człowiek kierujący się odpowiedzialnością nigdy moralnie nie godzi się z klęską, więc zamiast twierdzić, że płk Beck prowadził jedyną możliwą politykę, zawsze uprawniona będzie dyskusja, kto miał rację: Beck, Sikorski czy Studnicki?

„Sezon na niepodległość" pokazuje rzecz z innej perspektywy. Nie rozdziela racji, ale prezentuje sumę faktów świadczących o tym, jak wiele pokolenie, które odzyskało niepodległość w 1918 r., zrobiło w ciągu ledwie 20 lat, by zrealizować cały potencjał wolności i wykorzystać czas narodowej koniunktury.

> Oby ta książka trafiła do rąk tych, którzy decydują i tym bardziej do tych, którzy będą decydować o Polsce. I oby ich przekonała, że historia nigdy nie dzieje się sama

Począwszy od samego powstania państwa. Zawsze powtarzam, że bez „pasywizmu" w czasie I wojny światowej (który szerzej rozumiany oznaczał nie tylko sprzeciw Narodowej Demokracji wobec angażowania się po stronie Niemiec, lecz także całą politykę Józefa Piłsudskiego – od wstrzymania rekrutacji do Legionów, po wypędzenie Rosjan z Warszawy, aż po kryzys przysięgowy) nie zachowalibyśmy sił do naszej własnej wielkiej wojny w latach 1918–1921, w trakcie której Polska orężnie wykreśliła praktycznie wszystkie granice. A bez Polski z Wilnem i Lwowem nie byłoby dzisiaj Polski ze Szczecinem i z Wrocławiem. Po II wojnie światowej, po utracie niepodległości, nie rekompensowano by niczego państwu, któremu nie byłoby czego rekompensować.

Każda z poprzednich książek Krzysztofa Kloca była wydarzeniem kulturalnym. Pierwsza – biografia Michała Sokolnickiego, „ojca" dyplomacji obozu legionowego – zdobyła wielkie uznanie w środowisku zawodowych historyków. Recepcja następnych – o Józefie Piłsudskim i „micie Komendanta" oraz o światopoglądzie społecznym Czesława Miłosza – miała jeszcze szerszy zasięg, będąc (choć obie nie zawierały żadnych natrętnych aktualizacji) inspiracją dla refleksji o znaczeniu, efektach i granicach autorytetu w polityce i w życiu społecznym oraz o polskości w ogóle.

Podobnie jest z obecną. Choć autor również tym razem nie czyni takich sugestii, książka wręcz zmusza do porównania jakości pokoleń drugiej i trzeciej niepodległości. Zachęca do politycznego rachunku sumienia i uświadomienia sobie różnicy między odbudową państwa a „transformacją ustrojową". Oby ta książka trafiła do rąk tych, którzy decydują i tym bardziej do tych, którzy będą decydować o Polsce. I oby ich przekonała, że historia nigdy nie dzieje się sama.

Marek Jurek

eprasa.pl ab1a4acd9d





HITY i KITY ZAREMBY

Pani Dulska wiecznie żywa?

Tekst „Moralności pani Dulskiej" Gabrieli Zapolskiej znam niemal na pamięć. Agnieszka Glińska i Franciszek Przybylski przekonują, że chcieli pokazać, jak bardzo każdy z nas może być Anielą Dulską. Mnie ta wymowa nie wydała się oczywista, choć ten teatr telewizji oglądało się nieźle

Tajemnica tej podwójnej reżyserii jest prosta. Franciszek Przybylski, dawny dziecięcy aktor w „M jak miłość", teraz absolwent łódzkiej filmówki, to syn Agnieszki Glińskiej. Akurat ich wspólną inscenizację mają wyróżniać dodane do niej piosenki.

Nie mam poczucia, że zobaczyłem coś całkiem nowego. Tyle że szukanie „nowej wymowy" dla klasycznych sztuk wydaje mi się na ogół drogą donikąd. Można próbować pisać odpowiedzi na nie czy ich pastisze, kiedyś sam to zrobiłem w postaci słuchowiska „Kołtuneriada". Ale nie ogłaszałem, że to sztuka Zapolskiej.

Próby unowocześniania na siłę tej sztuki niespecjalnie się udają. W 2013 r. zrobił to w Teatrze Telewizji Marcin Wrona, ale pani Dulska jako elegancka bizneswoman (Magdalena Cielecka) nie pasowała do wypowiadanych przez nią tekstów. Ta historia jest zamknięta w świecie tradycyjnych konwenansów. Gdzie zresztą w takim razie kontrast między Dulską a jej bardziej nowoczesną bratanicą Juliasiewiczową?

Glińska i Przybylski nie popadli w manię „zmieniactwa". Może dzieje się to – jak przeczytałem – w okresie międzywojennym, a nie na początku XX w., ale w przeszłości. Drobne żarty z bardziej współczesnymi wtrętami mieszczą się w teatralnej umowności. Piosenki są na ogół estetycznie neutralne. Miewam wątpliwości wobec takiego dopisywania, tu jednak niewielkie. To zresztą na ogół wariacje na temat tekstu – poza niesamowitym, bo pełnym obrzydliwości występem Hesi, mającym zdemaskować jej wyobraźnię. A że Felicjan Dulski wyfruwa przez okno, zamiast pobłogosławić Zbyszka i Hankę? Cóż, umowność...

Potraktowanie paru postaci mnie zaskoczyło: wyjątkowa lekkość zwykle nieszczęśliwej Lokatorki (Małgorzata Biela), eksmitowanej przez Dulską, także końcowa drapieżność Hanki (Maja Wolska). Najbardziej niepodobna do wcześniejszych wersji jest Tadrachowa, chrzestna Hanki. W wersji Anny Smołowik to nie spracowana kobiecina, a frywolna młoda niewiasta udająca szansonistkę. Ale to nie rewolucja.

Dulska w wykonaniu niezawodnej Kingi Preis jest w zasadzie taka jak kolejne domowe despotki, trzymające krótko rodzinę i pilnujące, aby nie było „szkandalu". Co – powtórzę – nie jest narzekaniem. Czy jest nam bliższa niż zazwyczaj? Nie mam takiego poczucia. Dobrze sprawił się cały zespół z gwiazdą seriali Michałem Balickim (Zbyszek) na czele, Martyną Byczkowską (Hesia), Weroniką Krystek (Mela) i Marią Kanią (Juliasiewiczowa). Dzięki tym piosenkom każdy miał swój dodatkowy moment, choć z kolei zawrotne tempo dialogów (trwa to 1 godzinę i 20 minut) redukowało wrażenie głębszej psychologii. Olaf Lubaszenko w prawie niemej roli Dulskiego to klasa sama dla siebie.

Oczywiście o Dulskiej można powiedzieć więcej, ale trzeba wyjść poza sam tekst. Tak zrobił Andrzej Wajda we wspaniałym serialu „Z biegiem lat, z biegiem dni" z 1980 r., kiedy pokazał Anielę we wcześniejszych etapach jej życia, ale osadzając ją w innych utworach. Albo Filip Bajon w filmie „Panie Dulskie" z 2015 r., kiedy zmienił całą intrygę. Której nie streszczam, bo każdy ją zna.

Zaraz czeka nas kolejna Dulska w Teatrze Narodowym, a w tej roli Małgorzata Kożuchowska. Przy okazji kolejnych inscenizacji pytam, czy wciąż jesteśmy skazani na wyważanie otwartych drzwi, czyli nieśmiertelną wojnę z kołtuńskim mieszczaństwem. Ale tego tekstu słucha się dobrze...

Piotr Zaremba

Fot. Waldemar Kompała/TVP



„Dziki" – jatki w Karpatach

Wreszcie zobaczyłem film „Dziki" Macieja Kawulskiego – tylko przemknął przez kina, teraz pokazuje go Canal+. Mamy kino gatunkowe czystej wody. Tylko dlaczego tak słabo wciąga?

To kolejny obraz Macieja Kawulskiego, który do świata filmu wszedł przez biznes i sporty walki. To reżyser „Jak zostałem gangsterem. Historia prawdziwa" czy nowej wersji „Akademii pana Kleksa". Człowiek, który otwarcie szuka recepty na efektowne kino rozrywkowe. Nie przekonuje recenzentów, co nie zawsze musi być kluczem do sukcesu. Kibicuję twórcom kolejnych filmów z cyklu „Piepr*yć Mickiewicza", bo nie oglądają się na marudzenia krytyki i robią fajną robotę. Ale „Dziki" był porażką frekwencyjną.

W założeniu to pomysł na sugestywną, niejako przygodową balladę, okrutną, a opakowaną w dość umowne historyczne realia. W kinie zachodnim mamy tego sporo, choćby krwawe, czasem poprzebierane w kostiumy z różnych epok bajki Quentina Tarantino. Ta filmowa epopeja komuś się nawet skojarzyła ze „Zjawą" Alejandra Iñárritu.

Mamy dziką, barbarzyńską okolicę, pełną górskich pejzaży. Na mój gust trochę zbyt „komputerowych", ale niech tam. Mamy muzykę Mateusza Schmidta, pulsującą od pseudoludowych zaśpiewów. Jest to jakoś efektowne, jeśli kupi się konwencję. Czego zabrakło? Bohatera?

Opowiada się nam historię młodych rozbójników, ukształtowanych przez spartańskie warunki okolicy. Mogą być niewolnikami albo „walczyć z systemem" pod koniec XVII w., gdzieś na obrzeżach imperium Habsburgów. Ich wódz, ów „Dziki", to ludowy bohater z problemami, nigdy nic nie mówi. Ich wrogiem okazuje się inkwizytor, przysłany w tę okolicę niby po to, aby odnaleźć zagrabione papieskie insygnia (dla Jana III). Tak naprawdę to sadysta, który, by upolować „Dzikiego", jest gotów wymordować całą tutejszą populację.

Ich walka jest pokazana z widowiskowym okrucieństwem, pełnym obcinania członków i palenia ludzi żywcem. Co tak eskaluje, że aż zaczyna nużyć. Inkwizytora gra Sebastian Fabijański, świetny aktor dla wszystkich poza recenzentem „Wyborczej" Witoldem Mrozkiem. On początkowo nas ciekawi. Ale jego smoliście czarne okrucieństwo połączone z wiecznym pajacowaniem jest tak przerysowane, że w końcu zaczyna śmieszyć.

Z kolei Tomasz Włosok jako „Dziki" to bardziej totem, pomalowana twarz, której los ciężko przeżywać. Ciekawie zapowiada się jego relacja z przybranym uszlachconym ojcem Maciejem. Leszek Lichota ma filmową osobowość, ale rozmywa się to w kolejnych jatkach. A te dłużą się coraz bardziej.

Są tu jakieś niejasne akcenty antychrześcijańskie, aluzje do mrocznych tajemnic gór. Ale wszystko to już było, w tej wersji zmienia się zaś w ciąg krwawych banałów o ucisku i wolności. Wyrażam uznanie głównie za intencję. Lubię kino przygodowe. Może kolejna próba będzie udana?

Fot. Netflix

KACPER KITA ŚLEDZI ALT-PRAWICĘ

Ucieszyłem się na widok tej książki. „Epoka chaosu. Dlaczego świat skręca w prawo" Kacpra Kity to zapowiedź ciekawych interpretacji tego, co dotyczy dzisiejszego świata. Nie zawiodłem się

Wcześniej Kita szkicował sylwetki francuskiej dynastii Le Penów czy włoskiej premier Giorgii Meloni. Miejscami można było wypatrzeć jego sympatie ideowe (mądrze konserwatywne), ale o swoich bohaterach opowiadał, ważąc różne racje. Za to czytało się to jak powieści.

Tu mamy próbę rekapitulacji. Najpierw dostajemy panoramę krajów. To opowieści o życiu politycznym w każdym z nich, ale pod kątem tytułowych przemian: w kierunku rośnięcia w siłę rozmaitych wersji nowych prawic.

Na co dzień te bilanse są podawane przez dominujące media liberalnej lewicy w duchu demaskacji i alarmu, za to bez cienia refleksji, skąd biorą się te zmiany. Kita bada to wszystko, nikogo nie oskarżając, nie wygrażając ani kontestatorom, ani liberalnemu establishmentowi. Śledzę politykę amerykańską, a jednak dziesiątki anegdot z podwórka triumfującego „trumpizmu" czasem były dla mnie nowe, a zawsze fascynujące (i bez cienia prawicowej apologii). Polecam też opowieść o szalbierstwach i woltach premiera Wielkiej Brytanii Borisa Johnsona.

Potem Kita przeprowadza wiwisekcję zjawisk. Mamy upadek chadecji i socjaldemokracji, mamy wielkie burze związane z migracjami czy proces oddalania się zamiast zbliżania do świata Zachodu krajów Afryki czy Azji. Czytamy o wpływie przemian technologicznych na gwałtowności politycznej i społecznej polaryzacji albo o rozpychaniu się sądów, które coraz częściej same stanowią prawo. Czasem coś mną wstrząsało, jak opowieść o muzułmańskiej minister pacyfikującej bunt niegdyś dumnych Brytyjczyków przeciw imigrantom. I o brytyjskiej kobiecie skazanej na 2,5 roku więzienia za wpis w internecie.



Może w finale trochę dla mnie za mało proroctw, na ile alt-prawica to wzbierająca fala – przecież wiara w jej nieuchronną ekspansję kilka razy zawodziła. Ale może znajdziemy to w kolejnej książce.



Boli mnie czas stracony przez Polskę

Drenaż kapitału, wstrzymane inwestycje i przemysł pogardy – ***Daniel Obajtek***, były prezes ORLENU, europoseł PiS, w rozmowie z Maciejem Wośką mówi o tym, dlaczego polska gospodarka zwalnia i kto zyskuje na niszczeniu ORLENU

Z jednej strony ORLEN notuje miliardowe straty i spadek wartości firmy, a z drugiej obecny zarząd wypłaca w tym roku rekordową dywidendę - ponad 9 mld zł. Czy określiłby pan takie działanie jako drenaż kapitału spółki? To przecież zabieranie potężnych pieniędzy, które mogły i powinny służyć nowym inwestycjom.

Daniel Obajtek: Zacznijmy od początku, bo tak się składa, że to za czasów Prawa i Sprawiedliwości ta spółka prężnie się rozwijała i obecny zarząd na tym korzysta. To my zarobiliśmy dla ORLENU 90 mld zł. Oczywiście część z tych środków przeznaczono na konkretne inwestycje, ale reszta została. Obecnie kierujący firmą nie mają zielonego pojęcia o zarządzaniu. Mechanizm jest prosty: wypłacają rekordową dywidendę, ponieważ przyznają się do tego, że nie umieją inwestować. Akcjonariusze potrafią to robić, więc to im oddają kapitał. Ale wypłacenie dywidendy na poziomie 8–9 zł do akcji jest czystym szaleństwem. Firma oczywiście powinna dzielić się zyskiem z akcjonariuszami, ale standardowo wypłaca się po 3–4 zł do akcji, co daje łącznie wypłatę rzędu 3–4 mld zł. Zwłaszcza że obecny zarząd w 2024 r. zarobił zaledwie 1,5 mld zł, a wypłacił aż 7 mld zł dywidendy. W 2025 r. zarobili niecałe 3 mld zł, a wypłacają ponad 9 mld zł. Trzeba też przypomnieć – o czym wielu zapomina – że na przełomie 2023 i 2024 r. Sejm podjął uchwałę, na mocy której ORLENOWI zabrano 15 mld zł na zamrożenie cen energii. Jeśli dodamy do tego 12 mld zł z poprzednich dywidend i kolejne 9 mld zł, mamy 36 mld zł drenażu. Jak bardzo trzeba nienawidzić tej spółki, by próbować ją tak niszczyć? Oni po prostu nie wierzą w inwestycje i nie mają własnego pomysłu na rozwój.

Pamiętam nasze dawne rozmowy na temat budowy nowoczesnego koncernu multienergetycznego, w którym potężną rolę odgrywała petrochemia. Czy dzisiaj brak zysków to jedyny powód rezygnacji z tamtych ambitnych planów?

Petrochemia była dla nas absolutnie niezbędna, ponieważ to, co zastałem w ORLENIE, gdy przejmowałem stery koncernu, było budowane jeszcze za czasów Edwarda Gierka i stało się całkowicie niewydajne, nieefektywne. Uruchomiliśmy więc potężne procesy inwestycyjne w Płocku, Włocławku, w ORLENIE Południe i w Czechach, planując skok w rozwoju tej gałęzi przemysłu. Mało kto w Polsce wie, że nasza umowa z Saudyjczykami nie dotyczyła tylko aktywów rafinerii, lecz właśnie rozwoju przemysłu petrochemicznego. Mieliśmy wstępne umowy na wzmocnienie tej branży, a także wspólną analizę wielkiej inwestycji w Gdańsku. Nowy zarząd zaorał to wszystko. Storpedowali też inwestycję w Płocku – Olefiny – z powodu której ścigali mnie, krzycząc o „zbrodni", bo inwestycja miała kosztować 25 mld zł. Dzisiaj zapłacą za nią o 10 mld zł więcej, bo przez dwa lata nie podejmowali żadnych decyzji, a umowa z globalnymi partnerami przewidywała 7 proc. kary za każdy rok opóźnienia. Praktycznie zaorali tę inwestycję, nieustannie ją audytowali, a jak już nie mogli jej zniszczyć, to zmienili nazwę z Olefiny na Nowa Chemia.

Ale jest jedna inwestycja, która nadal się toczy. To farma wiatrowa na Bałtyku, przy której niezwykle chętnie próbuje się ogrzać obecny premier.

Oni nie mają absolutnie nic wspólnego z tą inwestycją i nie robią nikomu łaski, że jest kontynuowana. Ta inwestycja realizuje się już sama. To my doszliśmy do etapu zezwolenia na budowę. To my wybudowaliśmy port instalacyjny w Świnoujściu, port serwisowy w Łebie, uzy-

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl ab1a4acd9d

skaliśmy finansowanie rzędu 20 mld zł i już w 2021 r. rozpoczęliśmy budowę głównego punktu zasilania na terenie gminy Choczewo. Wszystkie elementy tej farmy zostały przez nas zakontraktowane i zaliczkowane. Ponadto w pakiecie mniejszościowym jest kanadyjski partner, firma Northland Power, więc nie mieli prawnej możliwości, by wstrzymać ten projekt. Po prostu nie mogli tego zepsuć. Mimo to cała Polska usłyszy przekaz, jak to Koalicja Obywatelska świetnie zainwestowała w farmę wiatrową na Bałtyku, a nikt z dziennikarzy nie zapyta, jaki był ich faktyczny udział. Tak samo zniszczyli plany budowy małych reaktorów jądrowych SMR, które zamrozili praktycznie na dwa lata, przez co inne kraje europejskie nas wyprzedzają.

Postanowił pan wyjść zatem z bezpośrednim przekazem. Rozpoczął pan cykl publikacji wideo na YouTube, w których odwiedza pan i weryfikuje miejsca inwestycji rozpoczętych za pańskiej prezesury. Widziałem nagranie o Jedliczu, gdzie inwestycja była gotowa właściwie w 70 proc. Teraz leży i czeka. A pan? Jest pan wściekły czy jest panu zwyczajnie żal?

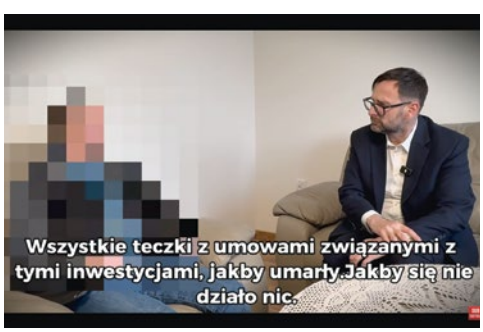
Jest mi przede wszystkim ogromnie przykro, bo to, co oni robią, jest kaleczeniem polskiej gospodarki i państwa polskiego. Zacząłem jeździć po kraju, by pokazać Polakom prawdę, bo nasza pamięć bywa krótka. Obecnie rządzący manipulują faktami, przypisując sobie zasługi lub niszczą to, co zostawiliśmy i co powinno być kontynuowane dla dobra Polski. Postanowiłem więc, że trzeba pokazać opóźnienia, zatrważający stan tych inwestycji. Np. w Jedliczu inwestycja w produkcję bioetanolu bazowała na polskim rolnictwie. Gdyby ta tłocznia zaczęła działać, stabilizowałaby ceny ziarna i słomy, bo kontraktowalibyśmy surowiec od rolników na pięć lat do przodu. Tymczasem odpuszczono ten biznes, dając pole mafiom zajmującym się biokomponentami i różnym „krewnym i znajomym królika". Przez rok w Jedliczu nie podjęto żadnej decyzji, jedynie przeprowadzano kolejne audyty. Powołali tam prezesa, którego na drugi dzień odwołali. Kolejny nie podejmuje żadnych decyzji. Mówię o nich w tych filmach. Ale to nie będą tylko inwestycje ORLENU – pokażę żywych, autentycznych ludzi i fakty, z którymi po prostu nie da się polemizować.

O tych audytach i kontrolach słyszymy niemal codziennie – przecież trzeba jakoś uzasadniać wycofywanie się z tych wszystkich projektów inwestycyjnych. Ale to również powód potężnego paraliżu decyzyjnego. Dzisiaj urzędnicy w spółkach Skarbu Państwa nie chcą podpisać nawet najdrobniejszej decyzji w obawie przed losem, który spotkał pana i innych pracowników po przejęciu władzy przez KO.

Dokładnie tak. Obowiązuje strategia „nic nie róbcie, bo będziecie mieć problemy". Ten paraliż trwa już prawie trzy lata, a na horyzoncie nie ma żadnej nowej inwestycji. Zamiast rozwijać polską gospodarkę, obecny obóz skupia się na zatrudnianiu chmary prawników i audytorów. Tak wyprowadza się pieniądze z ORLENU – zlecenia na konsultingi, analizy i raporty. Robią audyt do audytu, wydając na to setki milionów złotych. Zlecają to zewnętrznym firmom, często tylko po to, by karmić swoich kumpli. Co gorsza, te same kancelarie, które wykonują audyty na zlecenie, później stają w sądzie jako reprezentanci rzekomo pokrzywdzonych spółek, zarabiając kolejne potężne pieniądze za przepracowane godziny. To doskonały układ do wyprowadzania kapitału ze spółki, który ma wywołać efekt mrożący u każdego, kto chciałby podejmować dziś odważne decyzje.

Nie ulega wątpliwości, że stał się pan jednym z głównych celów aparatu ścigania podległego prokuraturze i rządowi Donalda Tuska. Już dwukrotnie odebrano panu immunitet, trwa nieustanne szarpanie. Chodzi o to, żeby zmusić pana do milczenia?

Przemysł pogardy zorganizowany wokół mnie doprowadził do tego, że jestem odarty z jakiejkolwiek prywatności. Przechodzę przez lotnisko, a ktoś potrafi krzyknąć: „Idzie złodziej! On jeszcze nie siedzi?". Za co mam siedzieć? Za to, że zbudowaliśmy gigantyczną firmę, która stabilizuje bezpieczeństwo państwa? Za to, że dzięki inwestycjom Polska uniezależniła się od gazu i ropy z Rosji? Moi dawni pracownicy są wzywani i przesłuchiwani w prokuraturze za to, że paliwa w Polsce były najtańsze. Dziś nie potrafię cieszyć się życiem, nie mogę nawet swobodnie wyjść na ulicę, bo ktoś robi mi zdjęcia i pluje w moją stronę. To, co się dzieje, ma jasny cel: obecna władza chce promować się na naszym gigantycznym sukcesie gospodarczym, ale najpierw – dla uwiarygodnienia – musi ojca tego sukcesu zdekapitować, pozbawić go wszelkiej godności, zniszczyć. Mnie osobiście nie boli to, że nie pracuję już w ORLENIE. Boli mnie stracony przez Polskę czas, zaprzepaszczone ogromne szanse dla naszej gospodarki oraz to, że po latach inwestowania miliardów w rozwój znowu niszczy się wszystko dla taniego poklasku.





Obajtek wchodzi do akcji!

Daniel Obajtek zapowiada, że na profilu YouTube **www.youtube.com/@Daniel_Obajtek** co tydzień będzie publikował filmy z odwiedzin kolejnych inwestycji rozpoczętych w czasie swojej kadencji w ORLENIE. Chce pokazać, kto stoi za wyhamowaniem i zablokowaniem rozwojowych projektów oraz kto wbijał łopatę w inwestycjach, którymi dziś chce się chwalić rząd.

eprasa.pl ab1a4acd9d



MOJE SZLAKI, MOJE SMAKI MARIA PASQUALE*

Co w Italii spina czas i przestrzeń

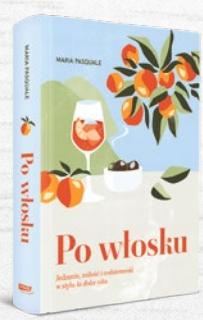
„Włochy to miłość mojego życia. […] To moja muza, inspiracja, słabość, to moje życie" – deklaruje Maria Pasquale, autorka książki „Po włosku. Jedzenie, miłość i codzienność w stylu la dolce vita", wydanej właśnie przez Znak Koncept. „Urodziłam się w Australii, ale rodzice są Włochami. Gdy ukończyłam dwadzieścia lat, zaczęłam podróżować po Włoszech, a od dziesięciu lat mieszkam w tym »bel paese«" – dodaje Pasquale.

Swoją opowieść o Italii dzieli na kilka części, nie bez przyczyny zaczynając od rozdziału „Żyj po włosku", by przejść do kolejnych: „Myśl po włosku", „Jedz po włosku", „Pij po włosku", „Noś się po włosku", „Podróżuj po włosku", „Kochaj po włosku", „Baw się po włosku", „Mów po włosku". Jednocześnie – nie bez powodu – w podtytule książki na pierwsze miejsce wybija się jedzenie.

„We Włoszech poza polityką, religią i piłką nożną zapewne najczęściej dyskutuje się o jedzeniu. Jedzenie jest właśnie tym, co najsilniej zapadło mi w pamięć z czasów, gdy byłam mała" – wspomina Maria. „Moja mama opuściła Abruzję w wieku trzech lat, ale jej rodzina podtrzymywała tradycje, a ona sama nauczyła się przepisów przekazanych przez jej matkę i babcię. Jako mała dziewczynka przyglądałam się, jak mama przygotowuje makaron (pasta) jajeczny, ravioli i gnocchi na drewnianej stolnicy i pamiętam to po dziś dzień. W weekendy przez wiele godzin gotowała w garnku sugo, którego zapach wypełniał cały dom. Mama nauczyła mnie również, jak ważne jest soritto – aromatyczna mieszanka posiekanej cebuli, marchewki i selera, która stanowi bazę wielu sosów i potraw. Kiedy odwiedzała nas moja zia [ciotka – przyp. red.], często przygotowywała pizzę fritte i zeppole, moje ulubione smażone słodkie pączki. Zimą zapraszała nas też na wieczór z polentą. Serwowała ją na długiej drewnianej desce, z której każdy mógł się częstować. Zupełnie jak w naszej rodzinnej Abruzji. […] Te wspomnienia mają wielką moc i stanowią pomost między przeszłością a teraźniejszością. Pokazują mi, jaką funkcję pełni we włoskiej kulturze jedzenie: łączy ludzi, ale też spina czas i przestrzeń" – definiuje Pasquale.

Wspomina, że gdy zdecydowała się wrócić do kraju przodków, największe wrażenie robiły na niej nie sztandarowe dania włoskiej kuchni, lecz lokalne przysmaki – tiella di Gaeta (pikantne ciasto z portowego miasta Gaeta, tradycyjnie faszerowane ośmiornicą, pomidorami i papryczkami chili), busiate alla trapanese (długi spiralny makaron z pesto na bazie pomidorów), kapary na Salinie, białe trufle w Albie, rustico leccese w Lecce, agnolotti del plin w Piemoncie (malutkie nadziewane pierożki z północnych Włoch) i sise delle monache w Abruzji (słodkie ciastka wypełnione kremem, których nazwa oznacza „piersi zakonnicy" – w nawiązaniu do ich spiczastego kształtu).

„Piękno włoskiego jedzenia zawiera się w tym, że nie istnieje jednorodna kuchnia narodowa. To raczej eklektyczna mieszanka dań, które różnią się w zależności od miasta i regionu" – ocenia Pasquale, zwracając uwagę, że właśnie smaki Italii, napotykane na różnych etapach wędrowania po tym kraju, najdłużej zostają w tych, którzy odkrywają Włochy. „Z podróży po »bel passe« można zapomnieć nazwy odwiedzanych kościołów czy stanowisk archeologicznych, ale pierwsza pizza czy gelato pozostanie z wami na długo po wyjeździe" – zapewnia autorka. „Taka jest siła jedzenia, które dla wszystkich Włochów znaczy tak wiele".



Jolanta Gajda-Zadworna

**Autorka książki „Po włosku. Jedzenie, miłość i codzienność w stylu la dolce vita"*

eprasa.pl ab1a4acd9d



SŁODKO-SŁONY

Sezon na szparagi otwarty

ANNA MONICKA

Bukiety szałwii i kwitnącego szczypiorku, młodziutka rukola, musztardowiec, tymianek, rukiew wodna, kolorowe sałaty, jarmuż, młodziutkie listki mangolda i kilka rodzajów szparagów: oczywiście białe, zielone i fioletowe, a do tego różnej grubości – od cieniutkich jak sznurówki, idealnych do jajecznicy czy omletu, po grube i jędrne, które można strugać obieraczką na wstążki. W moim ulubionym gospodarstwie rolniczym na Żeraniu jest wielka obfitość najróżniejszych nowalijek – aż trudno zdecydować, na co ma się ochotę. Byłyśmy z córką tak skoncentrowane na maturze, że zapomniałyśmy o przyjemności, jaką jest wyprawa po warzywa prosto z pola.

Delektując się pierwszą w tym sezonie zupą szparagową i słuchając rechotania żab oraz ćwierkania wścibskich mazurków, które przylatują po okruszki, stwierdziłyśmy filozoficznie, że dobre jedzenie może być niezwykłym przeżyciem i fajnie jest w ten sposób uczcić pierwszy dzień wolności, bo wprawdzie CKE ogłosi wyniki egzaminów dopiero 8 lipca, ale biedne dziecko przestało wreszcie czuć topór nad szyją. Wyjęło książki, które czekają od kilku miesięcy na przeczytanie dla przyjemności, zrobiło porządek w pokoju (!), bo od tygodni spało na opracowaniach pytań jawnych oraz zeszytach od matematyki. Zrobiło także listę zadań do wykonania w najbliższym czasie, a skoro uwzględniło naukę gotowania, co bardzo mnie cieszy, kupiłyśmy całą torbę szparagów i zaczniemy od nich.

Dwa pęczki grubych, zielonych, zrobiłyśmy na patelni. Polecam przepis, bo jest prosty, ale bardzo efektowny – w sam raz dla osób, które nie wiedzą, jak się zabrać za te warzywa. Myjemy je, odcinamy zdrewniałe i włókniste końcówki, a resztę kroimy na połówki wzdłuż i wszerz. Na oliwie krótko podsmażamy poszatkowany na płatki czosnek, a gdy się zezłoci – dodajemy szparagi i smażymy kilka minut, pilnując, by się za bardzo nie przypiekły i pozostały soczyście zielone i al dente. Posypujemy dobrą solą (bardzo lubię wędzoną) oraz startą skórką cytrynową. Do tego sos z pełnoziarnistej musztardy z miodem, oliwą i octem jabłkowym (lubimy mniej słodki, więc bierzemy więcej musztardy), doprawiony solą i pieprzem. Składniki mieszamy, aż zrobi się gładki. I oczywiście młode ziemniaki. Ten sos doskonale pasuje też do grillowanych warzyw, ryby czy sałaty.

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Ogród albo...

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Ta forma aktywności stanie się nową modą. Mój pomysł jeszcze nie ma nazwy, ale ważniejsze jest działanie i idea. By ją realizować, nie trzeba mieć własnego kawałka ziemi. W zasadzie można nie dysponować niczym – a jednocześnie ma się do dyspozycji wszystko. Na czym to polega?

Najpierw trzeba wybrać fragment ekosystemu. A jest nim wszystko: skrawek lasu, zakątek łąki, a także zakamarek w kącie osiedla czy pozostawiony samemu sobie kawałek zieleńca. Miejsce, którym raczej nikt się nie zajmuje, a które ma potencjał przyrodniczy – a posiada go każde miejsce.

Następnym krokiem po wyborze miejsca jest analiza: czego w nim brakuje, jakie proste działanie mogłoby sprawić, że nagle stałoby się atrakcyjne dla rozmaitych stworzeń. Jak – mając określone możliwości – możemy zmienić je w oazę bioróżnorodności.

Znam np. niewielki kompleks leśny położony na wzgórzu. Na szczyt można się dostać wąską ścieżką, która jednocześnie jest korytem okresowego strumyka. Kiedy pada, kilka dni po deszczu wyżłobieniem płynie woda. Ponieważ teren jest nachylony, spływa szybko i strumyk wysycha. Po deszczu wystarczy jednak zatamować spływ wody, uszczelniając gliną (podłoże jest gliniaste) odpływy z zagłębień, by została w nich na dłużej i aby utworzyły się leśne kałuże. Jeśli takie miejsce, zwłaszcza uzupełnione co jakiś czas podczas kolejnych opadów, utrzyma się przez wiosnę i część lata, może stać się punktem rozrodu kumaków. Nawet krótszy okres wystarczy wielu owadom, których larwy rozwijają się w wodzie. No i niezależnie od wszystkiego takie działanie zatrzymuje wodę w lesie.

Coraz większe przestrzenie łąk zarastają nawłocią kanadyjską, tracąc różnorodność gatunków. Jeżeli w porę uchwyci się ten proces, kiedy kępy nawłoci są jeszcze małe, łąkę łatwo jest uratować. Wystarczy w sezonie kilkakrotnie wykosić kępy nawłoci – najlepiej tuż przed kwitnieniem. I powtórzyć za rok, jeżeli nawłoć nadal będzie rosła. Jeżeli ktoś lubi ruch na świeżym powietrzu, dlaczego nie kupić kosy i wyskoczyć na łąkę?

Można też znaleźć ustronny zakamarek osiedla i po każdym koszeniu wysypywać tam zawartość kilku lub kilkunastu worków, zanim zostaną wywiezione. W ten sposób w miejscu, w którym nikomu to nie przeszkadza, powstanie kompost – idealny dla dżdżownic i zimujących jeży.

Resztę pozostawiam pomysłowości.

eprasa.pl ab1a4acd9d



ROBERT TEKIELI

3 MIŁOŚCI

Pasza demonów

Człowieka Zachodu nie uczy się już reguł obsługi świata duchowego. Gorzej – człowiek Zachodu zaczął czerpać satysfakcję z ich łamania. Co więcej, szatan jest bohaterem historii współczesnej. Z jednej strony to nic wyjątkowego, w historii zdarzało się tak już kilka razy, z drugiej – ewenementem jest jego zwycięstwo w sferze zbiorowej wyobraźni.

Już wcześniej twarz diabła wyłaniała się zza kulis. Mieliśmy demonicznych bogów Egiptu, sataniczne były zarówno kult Molocha w Kanaanie, jak i krwawe kulty Azteków oraz Majów czy bezwzględność władców imperiów stepowych, mieliśmy demoniczne wątki rewolucji francuskiej, był pragmatyczny satanizm niemieckiego narodowego socjalizmu, lucyferyczna pogarda wobec człowieczeństwa bolszewickiego marksizmu, bez wątpienia demoniczną naturę mają współczesne nurty zachodniej cywilizacji śmierci.

Jednak dziś obok dwóch podstawowych kłamstw diabła – o nieistnieniu osobowego zła bądź o jego wszechmocy – doświadczamy na Zachodzie wszechobecności treści sprzeciwiających się Bożemu porządkowi. Nasycenie zachodniej kultury i popkultury wątkami demonicznymi nie ma precedensu w całej historii ludzkości.

Od pierwszych wieków po Chrystusie poza sferą porządkowaną przez autorytety instytucji religijnych oraz ośrodków akademickich rozwijał się nurt wiedzy tajemnej. Jednak do połowy XIX w. pozostawał on na marginesie zachodniej refleksji. W ostatnich dekadach decyduje już o kształcie kulturowego mainstreamu, co czyni człowieka bezradnym wobec jego zakusów.

Wszystkie kultury i tradycje mówią o istnieniu bezcielesnych inteligencji, przed którymi należy się bronić. Istoty te są złe i sieją zniszczenie. Dziś oprócz głoszenia Ewangelii Jezusa Chrystusa trzeba ostrzegać o ich istnieniu.

Mamy dwa sposoby interakcji z istotami nadprzyrodzonymi – zwyczajne i nadzwyczajne. Zwyczajnych doświadcza każdy człowiek, również niewierzący. Są to pokusy, zwątpienie i lęku, oskarżanie i skłócanie. Interakcji nadzwyczajnych doświadczają ludzie, którzy świadomie lub nieświadomie wchodzą w praktyki okultystyczne, transowe lub spirytystyczne. Człowieka może otworzyć na świat demoniczny także przekleństwo czy wieloletnie pozostawanie w grzechu ciężkim.

Często mówi się o trzech stopniach nadzwyczajnego działania złego ducha: zniewoleniu, dręczeniu i opętaniu.

Zniewolenie to długotrwałe wpływy objawiające się w postaci nałogów lub natrętnych myśli, z którymi trudno wygrać. Dręczeniem nazywane są ataki na płaszczyźnie fizycznej lub psychicznej (koszmary, stany lękowe, poczucie bycia obserwowanym). Opętanie to skrajnie rzadkie przypadki, w których zły duch przejmuje kontrolę nad ciałem osoby opętanej. Wiele z wymienionych stanów może przypominać objawy chorób psychicznych lub fizycznych, dlatego w pierwszej kolejności zaleca się konsultację z lekarzem lub psychologiem.

Co o opętaniu mówi medycyna? Światowa Organizacja Zdrowia klasyfikuje trans i opętanie (Trance and Possession Disorder) pod sygnaturą ICD-10F44.3. Jest to zaburzenie psychiczne, w którym występuje czasowa utrata poczucia osobowej tożsamości i pełnej świadomości otoczenia.

Jest to stan całkowitego lub częściowego, czasowego lub trwałego zastąpienia własnej osobowości człowieka przez inną osobowość (lub inne osobowości).

Symptomami opętania są przemawianie obcymi głosami, mówienie obcymi językami, wykonywanie mimowolnych ruchów czy czynności, wykazywanie nadnaturalnej siły albo szybkie ruchy, nieadekwatne do budowy ciała. W zaburzeniu tym tożsamość w sposób przejściowy sprawia wrażenie zastąpionej lub jest zastąpiona zewnętrzną w stosunku do chorego tożsamością postrzeganą jako duchową, „energetyczną", demoniczną, boską czy innej osoby. W rozwiniętych technologicznie i przemysłowo kulturach zachodu stany te nie są uznawane za normalne.

Istnieje tutaj pewnego rodzaju kontinuum – trans to niewielka zmiana świadomości, podczas gdy opętanie jest „głębokim transem", w którym jednostka wydaje się w pewnym stopniu przejęta przez nadprzyrodzoną inteligencję.

O możliwości diabelskiego dręczenia i opętania mówią też oficjalne dokumenty kościelne: Kodeks Prawa Kanonicznego, Katechizm Kościoła katolickiego oraz Nowy Rytuał Egzorcyzmów z 1999 r.

Cele demona są dwa. Po pierwsze, chce on powstrzymać człowieka zniewolonego przed nawróceniem, po drugie, chce się pożywić. Człowiek opętany lub dręczony jest paszą demonów, dlatego złe duchy tak bardzo opierają się egzorcyzmom. Wyrzucony z człowieka demon wraca bowiem do piekła.

Jakie są przejawy opętania przez demona? Gospodyni domowa chodząca boso po rozżarzonych węglach o temperaturze 1400 st. Celsjusza, dziewczyna lewitująca przed spowiedzią na Przystanku Jezus w czasie festiwalu Przystanek Woodstock, Sai Baba gwałcący we śnie młodą Polkę, uciekinierkę ze swojej sekty. I szok rodziców znajdujących rano na pościeli prawdziwe ślady krwi.

eprasa.pl ab1a4acd9d



W jednym z moich programów telewizyjnych Anna, wcześniej „bawiąca się" w wywoływanie duchów, opowiedziała historię ataku demonicznego przeżytego we śnie: „Im bardziej się modliłam we śnie, tym mocniej to coś mnie dusiło. Zaczęłam krzyczeć. Obudziłam siebie i współlokatorkę. Opowiedziałam sen. Rano ona wchodzi do łazienki, patrzy na mnie i krzyczy ze strachu. Zobaczyła na mojej szyi siniaki. W kształcie dwóch dużych dłoni. W lustrze zobaczyłam wyraźne odciski palców na mojej szyi".

Nad ranem Piotr zaczął doświadczać paraliżu. Widział i słyszał wszystko wokół, ale nie mógł się poruszyć. „Ruszałem tylko gałkami ocznymi, czułem ucisk na klatkę, nie mogłem oddychać, próbowałem walczyć. Tak było trzy lub cztery razy w tygodniu. Kiedyś, gdy obudziłem się z paraliżem, zobaczyłem, że moje nogi same zaczęły się unosić i opadać" – mówi. Po jakimś czasie Piotr zaczął czuć obok obecność potwornie złej i złośliwej, niewidzialnej osoby. „Ale najstraszniejsze były krzyki. Słyszałem jak mnóstwo ludzi krzyczało. Potworny, przeszywający jęk. Chyba słyszałem odgłosy piekła".

Ksiądz Rafał Jarosiewicz przyciskał kolanem do ziemi dziewczynę lewitującą przed spowiedzią na Przystanku Woodstock. 13-letnia Białorusinka, nad którą modliłem się w Gdyni, leżała na podłodze zakrystii w transie i syczała. Klęcząc za nią, widziałem jej twarz „do góry nogami". I zobaczyłem, że jej zaciśnięta szczęka jest zdeformowana. Zaciskała się tak za każdym razem, od 8. roku życia, gdy próbowała przyjąć ciało Jezusa w komunii świętej. Zły duch wprowadzał ją w trans.

Cele demona są dwa. Po pierwsze, chce on powstrzymać człowieka zniewolonego przed nawróceniem, po drugie, chce się pożywić. Człowiek opętany lub dręczony jest paszą demonów, dlatego złe duchy tak bardzo opierają się egzorcyzmom. Wyrzucony z człowieka demon wraca bowiem do piekła

Traciła świadomość. I przewracała się. Jej babka była szeptuchą. Rodzice nie wierzyli w świat duchowy. To coś w niej zaczęło syczeć, gdy do zakrystii wszedł egzorcysta.

W trakcie wielu lat pomagania osobom związanym duchowo wysłuchałem wielu historii. W tym historię Roberta, szamana, który potrafił wkładać rękę do rozżarzonego pieca i wyjmował ją bez oparzeń. Albo historię ćwiczącego karate kyokushin Adama, któremu – na moment sparaliżowanemu – jakaś siła rozwarła szczęki, a chwilę później poczuł napełniające wnętrzności ciepło. Potem mógł przewrócić kolegę ciosem zatrzymanym o 5 mm od ciała tamtego. Na szczęście ta „umiejętność" wystraszyła Adama. A mogła zafascynować. Albo historię Ani, słyszącej myśli swoich klientów w salonie wróżbiarskim. Albo Beaty, która po wejściu w stan transu bojowego robiła rzeczy, których potem się wstydziła. „Czułam do siebie obrzydzenie, że atakowałam chorą rękę swojej przyjaciółki w czasie treningowej walki. To robił ktoś inny! Ja taka nie jestem!". Beata spaliła matę i kimono. Ćwiczyła modne dziś tai chi chuan.

Obce, toksyczne duchowości przychodzą do nas nie tylko ze Wschodu. Również brazylijska capoeira, będąca „świeckim" przekształceniem czarnej „religii" zwanej candomblé jest duchowo zabójcza. Tak samo haitańskie voodoo, najbardziej obecna w popkulturze forma satanizmu.

Przytaczam te historie, aby pokazać, że świat toksycznych duchowości jest dziś na wyciągnięcie ręki.

Nie da się opowiedzieć historii najnowszej bez uwzględnienia wątków demonicznych. Nie chcę nikogo do niczego przekonywać. Tylko uświadamiam. Niech ludzie sami zdecydują, czy chcą unikać tych zagrożeń.

I jeszcze jedna rzecz. Nie przerzucam na szatana winy za ludzkie grzechy. Człowiek jest w pełni odpowiedzialny za swe czyny. Szatan nie jest w stanie nikogo do niczego zmusić. Jednak wciągając człowieka w coraz poważniejsze przestępstwa wobec ludzkiej natury, czyni nas coraz bardziej ślepymi: człowiek z grzechu na grzech jest coraz bardziej zniewolony przez zło.

Świat duchowy rządzi się opisanymi przez katolicyzm regułami. Warto je poznać, aby nie być mądrym dopiero po szkodzie.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl ab1a4acd9d

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Precz z komuną



Jestem pod wrażeniem środowej (20 maja br.) manifestacji pod hasłem „Razem dla Polski i Polaków", zorganizowanej z rozmachem przez związki zawodowe spod znaku Solidarności. Manifestacja odbyła się w dniu głosowania w Senacie wniosku prezydenta Karola Nawrockiego w sprawie tzw. Zielonego Ładu, który odbiera nam suwerenność gospodarczą i podmiotowość polityczną. Już dziś polityka Europejskiego Zielonego Ładu dotyka bezpośrednio miliony Polaków – najdroższy w Europie prąd, wysokie ceny żywności, zniszczenie polskiego rolnictwa, absurdalnie wysokie obciążenia dla polskich przedsiębiorców i stale rosnące koszty życia wszystkich polskich rodzin. Stąd wniosek prezydenta do Senatu o przeprowadzenie ogólnokrajowego referendum w sprawie implementacji założeń polityki klimatycznej UE.

Jesteśmy świadkami dojrzałości politycznej liderów protestu (Piotr Duda, Adam Borowski, Robert Bąkiewicz, Jerzy Kwaśniewski, Jan Majchrowski, Marcin Osowski) i wielu innych działaczy kierujących się polską racją stanu. Choć z niektórych przemówień nie wynikało to bezpośrednio, warto wiedzieć, że europejska polityka klimatyczna, forsowana na siłę przez Berlin i Brukselę, wbrew kilku członkom Wspólnoty ma przede wszystkim na względzie interesy Rosji, wciąż dysponującej wielkimi zasobami energetycznymi. To szansa zarówno dla Rosji, jak i Unii, stąd polityczny projekt centralizacji krajów UE pod jednym zarządem Berlina i Brukseli przy równoczesnym wypchnięciu USA z Europy.

Manifestacja przypomniała wciąż obowiązujący i najważniejszy artykuł konstytucji, mówiący o tym, że władza w Polsce należy do suwerena (art. 4 „Władza zwierzchnia RP należy do Narodu"), a suweren może tworzyć prawo także bezpośrednio poprzez referenda, te jednak wymagają zgody Senatu. To poważny mankament konstytucji z 1997 r., gdyż w praktyce nie udaje się – poza specyficznym dwudniowym referendum (7–8 czerwca 2003 r.) w sprawie przystąpienia Polski do UE – dopuścić do głosu polskie społeczeństwo, czyli suwerena. Specyficzność tamtego referendum polegała na tym, że oficjalnie prezentowano fałszywą alternatywę: chcesz być z Zachodem czy pod wpływem Wschodu (czytaj: Rosji)? Oczywiście Polska była i jest częścią świata zachodniego, dlatego za integracją Polski z UE opowiedziało się wtedy ponad 77 proc. głosujących (13,516 mln obywateli), a przeciwko niecałe 23 proc., czyli mniej niż 4 mln. Gdyby dziś przeprowadzono podobne referendum, stosunek głosów mógłby ulec odwróceniu. Powody to powszechnie krytykowana polityka klimatyczna Unii oraz wiele innych arbitralnych decyzji Komisji Europejskiej i europarlamentu, świadczących o tym, że obecna UE nie jest tą samą organizacją międzynarodową, do której Polska wstępowała 23 lata temu. Unia jawnie łamie przepisy traktatów, które sama podpisywała.

Równocześnie w Polsce nastąpiła kolejna recydywa PRL. Do głosu doszły siły, którym Unia gwarantuje sprawowanie władzy, a symbolem uległości Polski wobec europejskich struktur i nieliczenia się z polskim suwerenem jest Donald Tusk, który zawsze powraca do władzy jako destruktor polskości od czasu obalenia rządu Jana Olszewskiego 4 czerwca 1992 r.

Tu ważne przypomnienie, także dla nowych elit politycznych, niekoniecznie pamiętających pewne fakty z najnowszej historii politycznej. III RP, której początek datuje się od czerwca 1989 r., ma już 37 lat. Od tego czasu do dziś polska prawica rządziła łącznie tylko 14 lat. W latach 1997–2001 był to rząd Jerzego Buzka złożony z działaczy AWS i Unii Wolności. W latach 2005–2007 dwuletnie rządy sprawowały Prawo i Sprawiedliwość, Liga Polskich Rodzin i Samoobrona. A lata 2015–2023 to ponowne rządy PiS i Zjednoczonej Prawicy. To wtedy dokonywano najważniejszych reform ustrojowych i społecznych, ale większość tego okresu (dwie trzecie) przypada na rządy obozu Donalda Tuska, podczas których stale powraca to samo państwo, które miało się raz na zawsze skończyć: postkomunistyczne, antypatriotyczne, nihilistyczne, antyreligijne i antyspołeczne, czyli dziś określane jako lewicowo-liberalne lub złodziejskie. Po objęciu władzy 13 grudnia 2023 r. rząd Tuska tworzą te same siły, które budowały PRL i postkomunistyczną III RP, a twarzą tej formacji jest dziś komunista, marszałek sejmu Włodzimierz Czarzasty. To z kolei każe nam zestawić rządy prawicy w Polsce po 1989 r. z trwającą ponad 44 lata PRL (od 1945 r.), czyli rządami komunistów, skąd wywodzi się Czarzasty i jego partia. To łącznie 81 lat powojennej Polski z obcą jej duchowi władzą w stosunku do 14 lat rządów prawicy, dbającej o polski interes narodowy i polskie tradycyjne, historyczne principia. Aż trzy piąte tego okresu przypada na PRL i postkomunistyczną III RP. Dlatego tak trudno dochować się nowych polskich elit politycznych, skoro te stare mają możliwość multiplikacji, wręcz automatycznego odtwarzania swoich pseudoelit, korzystając z zewnętrznego wsparcia. I nie jest przesadą znane dość powszechnie powiedzenie, że dziś kolejne pokolenia komunistów walczą z kolejnymi pokoleniami polskich patriotów. To dlatego na każdej manifestacji – tej środowej także – wciąż słyszymy to samo hasło: „Precz z komuną!".

eprasa.pl ab1a4acd9d

Szerszenie pustoszą armię Kremla



Andrzej Rafał Potocki

Sytuacja jest dość skomplikowana. Kreml zaczął wiosenno-letnią ofensywę, którą niespecjalnie jednak widać, jeśli chodzi o efekty. Chyba że mówimy o efektach w postaci złomu zalegającego na terenie. Patrząc na to, co odwalają bojcy, można odnieść wrażenie, że to zupełnie nowe siły, szkolone przez ludzi, którzy nie zauważyli, że sytuacja na froncie zmieniła się od 2022 r.

Ukraina poszerzyła bowiem bezpośrednie zaplecze frontu na tyłach Moskali do... kilkuset kilometrów! W czym rzecz? Bezpośrednie zaplecze frontu to pas przylegający do linii rozgraniczenia, na którym nie toczą się walki, znajduje się na tyłach walczących oddziałów (więc to nie jest strefa śmierci), ale gdzie nadal możliwe jest porażenie przeciwnika środkami uderzeniowymi szczebla operacyjnego, a czasem nawet taktycznego (artyleria, lotnictwo i drony). Właśnie drony zmieniają sytuację. I to bezzałogowce produkowane przez ukraiński przemysł. Chodzi o drony Hornet (przez Moskali nazywane „Marsjanami"), częściowo sterowane przez sztuczną inteligencję, odporne na zakłócenia generowane przez systemy walki elektronicznej. Hornety (po polsku Szerszenie) wróciły do tego, czym w pierwszych dniach inwazji były Bayraktary. Patrolują wyznaczony obszar i wypatrują ruskich pojazdów, najlepiej ciężarówek z logistyką, po czym je neutralizują. Szacunki mówią, że ich łupem pada co dziesiąta kacapska ciężarówka z zaopatrzeniem. Mało która baza transportowa ma 100 ciężarówek, ale progresja jest taka sama przy mniejszych liczbach. Jak jest 20 ciężarówek, to po 7 kursach zostaje 10. Zależnie od intensywności walk – a co za tym idzie, liczby kursów – po jednym, dwóch, a najdalej trzech dniach logistyka nie ma połowy swojej floty ciężarówek. To oznacza, że bojcy w pierwszej linii dostaną dwa razy mniej amunicji, dwa razy mniej paliwa, dwa razy mniej jedzenia. Co przełoży się na ich zdolności bojowe, bo w grę raczej nie wchodzi rzucanie kamieniami. Celem ataków są nie tylko linie zaopatrzenia, lecz także magazyny, punkty naprawcze, miejsca stacjonowania kacapskich jednostek, centra dowodzenia i rejony ześrodkowania.

Szalejące na niskich wysokościach (co utrudnia zestrzelenie) wzdłuż objazdu lądem (Most Krymski jest wyłączony z militarnego użycia) Hornety już doprowadziły do faktycznego odcięcia Krymu pod względem logistycznym. Półwysep zamienił się w największy samorządny obóz jeniecki. Nie da się z niego wyjechać ani wypłynąć bez zgody Ukraińców. Jeśli znamy już kontekst, zrozumiemy, dlaczego w kwietniu postępy Moskwy były tak słabe, że w ogólnym bilansie Tryzuby zaczęły odzyskiwać terytorium, dochodząc do wyniku 116 km² netto (po odjęciu zysków Kremla) na plus. Po prostu wyczerpane ciągłą, trwającą już drugi rok ofensywą siły moskiewskie, pozbawione skutecznej logistyki, straciły swoją – i tak już marną – wartość bojową.

Trochę o uzbrojeniu. W oficjalnym poradniku dla żołnierzy Rosjanie przestrzegają przed polskimi moździerzami kal. 60 mm, które są w zasadzie niesłyszalne. Ich pociski nie generują bowiem charakterystycznego świstu, toteż ostrzeliwani nie mają czasu na ukrycie się, co skutkuje znaczącymi stratami w postaci zabitych bądź rannych. Moskal dodał moździerze z Polski na listę jednych z największych zagrożeń dla żołnierzy w całych siłach zbrojnych Federacji. Co ciekawe, Zakłady Mechaniczne Tarnów (ZMT) zaprojektowały moździerze tak, aby były zdolne do korzystania zarówno z polskiej amunicji kal. 59,4 mm, jak i NATO-wskiej kal. 60,7 mm. Zmiana polega na wymianie lufy oraz paru innych elementów. Z kolei sama lufa ma mieć żywotność wynoszącą 1,5 tys. strzałów i wytrzymać oddanie 30 strzałów z rzędu. Pociski poruszają się z prędkością poddźwiękową, przez co spadają na cel niemal bezgłośnie. To w połączeniu np. z eksplodującymi 1,5 m nad ziemią pociskami MAPAM o masie 1,9 kg zawierającymi 2,5 tys. odłamków o zasięgu rażenia 40 m czyni z polskich moździerzy bardzo groźną broń. Warto też zaznaczyć, że nie jest to najnowszy system, ponieważ ZMT opracowały jeszcze lżejszy i prostszy w obsłudze wariant LMC, a także większy, ale za to dysponujący większym zasięgiem o nazwie – nomen omen – Szerszeń. Ruski, wpisując polski moździerz na listę najgroźniejszych broni, niezamierzenie podbija jego wartość eksportową, co jest nam bardzo na rękę.

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl ab1a4acd9d

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Stary uniwersytet



Aleksander Nalaskowski

Wyobraźmy sobie świat, w którym uniwersytety naprawdę są konserwatywne. Nie w znaczeniu używanym dziś przez internetowych przemądrzalców, którzy każdą niewygodną opinię określają mianem „lewackiej propagandy", lecz w sensie dosłownym – zachowawcze, przywiązane do średniowiecznej tradycji, nieufne wobec mód i ostrożne wobec gwałtownych zmian. Taki uniwersytet nie byłby ani rewolucyjny, ani szczególnie nowoczesny. Byłby instytucją, która z uporem trwa przy tym, co „stare", sprawdzone i wymagające.

I właśnie dlatego większość współczesnych czerwonych wojowników prawdopodobnie bardzo szybko by go znienawidziła.

Bo prawdziwie konserwatywny uniwersytet nie przypominałby wojennego okopu ideologicznego, lecz średniowieczną bibliotekę. Byłby miejscem pełnym ciszy, rygoru i hierarchii. Student nie przychodziłby tam „wyrażać siebie", ale słuchać mądrzejszych od siebie. Profesor nie byłby animatorem dyskusji ani trenerem kompetencji miękkich, lecz autorytetem, którego zadaniem jest przekazanie pewnego kanonu wiedzy. Nikt by nie pytał, czy program studiów jest „inkluzywny", tylko czy jest trudny. Hierarchia definiowałaby porządek, a nie była wyrazem nietolerancji i „krzywdzącej nierówności". Do prawdy idzie się pod prąd, a nie pod pachę z LGBT+ z prądem.

Dzisiejszy uniwersytet – niezależnie od politycznych sporów – coraz bardziej przypomina usługę. Student jest roszczeniowym klientem. Ma być zadowolony, zaangażowany, wysłuchany. Ankiety, ewaluacje, punkty ECTS, prezentacje multimedialne i „praktyczne kompetencje" stały się ważniejsze niż mozolne zdobywanie wiedzy. Tymczasem konserwatywny uniwersytet byłby brutalnie niepraktyczny. Kazałby czytać wielkie, stare księgi, często pozornie niepotrzebne. Uczyłby łaciny nie dlatego, że zwiększa szanse na rynku pracy, lecz dlatego, że stanowi część cywilizacyjnego dziedzictwa. Egzamin miałby sprawdzać nie kreatywność prezentacji w PowerPoincie, lecz to, czy student naprawdę coś zrozumiał. Brzmi staroświecko? Oczywiście. Ale właśnie o to chodzi.

Prawdziwy konserwatyzm akademicki byłby bowiem przede wszystkim nieufnością wobec teraźniejszości. Uniwersytet nie goniłby za trendami społecznymi ani politycznymi. Nie zmieniałby programów co trzy lata pod wpływem medialnych debat. Nie próbowałby być „cool". Wręcz przeciwnie – traktowałby modę jako coś z definicji podejrzanego. Każdą nową ideę pytałby najpierw: „Czy przetrwa próbę czasu?". A ponieważ odpowiedź zwykle brzmi – „Nie wiadomo", reakcją byłaby ostrożność.

To zresztą ironiczne, że współczesne oskarżenia wobec uczelni często płyną ze strony ludzi, którzy sami mają bardzo rewolucyjne oczekiwania. Chcieliby natychmiastowej zmiany programów, usunięcia niewygodnych autorów, zastąpienia jednych ideologii innymi, stworzenia „właściwej" narracji historycznej. Tymczasem konserwatywny uniwersytet reagowałby na takie żądania wzruszeniem ramion. „Być może macie rację – powiedziałby – ale wróćcie za 30 lat, wtedy zobaczymy".

Byłby też miejscem głęboko elitarnym. I to chyba najbardziej niepopularna cecha ze wszystkich. Współczesne społeczeństwa lubią mówić o powszechnym dostępie do edukacji wyższej, choć jednocześnie narzekają na spadek jej poziomu. Tymczasem historyczny uniwersytet nigdy nie był masowy. Studiowanie oznaczało wejście do wąskiego świata ludzi gotowych poświęcić lata na intelektualny wysiłek. Nie każdy musiał mieć dyplom, tak samo jak nie każdy musi być koncertowym pianistą.

Konserwatywny uniwersytet prawdopodobnie ograniczyłby liczbę studentów, podniósłby wymagania i przestałby udawać, że każdy kierunek powinien gwarantować świetną pracę. Humanistyka nie musiałaby się nieustannie tłumaczyć ze swojej użyteczności ekonomicznej. Filozofia mogłaby istnieć po prostu dlatego, że człowiek od tysięcy lat próbuje odpowiedzieć na pytanie, czym są dobro, prawda i sens życia.

Oczywiście taki świat miałby również ciemne strony. Nadmierny konserwatyzm łatwo zamienia się w skostnienie. Uniwersytety przez wieki potrafiły równie skutecznie chronić mądrość, co blokować nowe idee. Historia zna wielu uczonych wyśmiewanych przez akademickie autorytety tylko dlatego, że wyprzedzali swoją epokę. Ale to pojedyncze przypadki. Zbyt zachowawcza uczelnia może się stać muzeum własnej świetności – miejscem, które bardziej celebruje przeszłość, niż rozumie teraźniejszość. Takie niebezpieczeństwo istnieje.

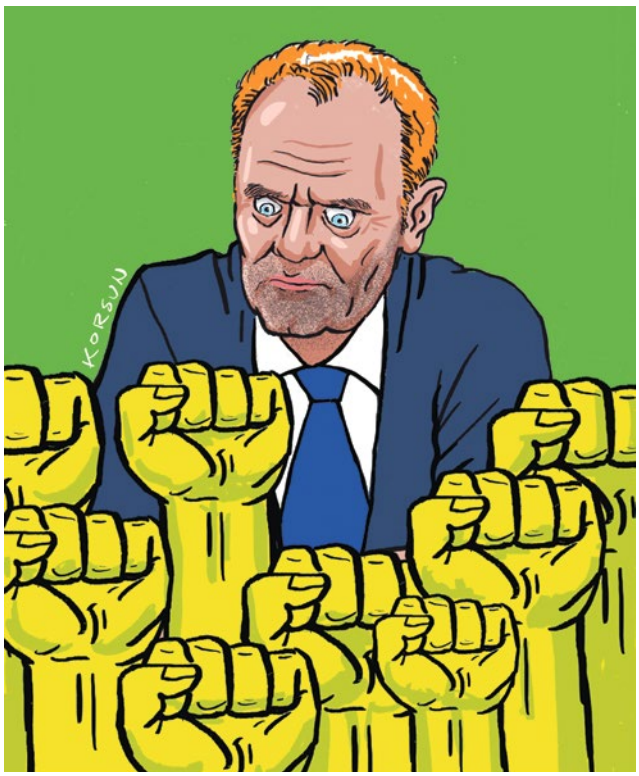
Ale może właśnie dziś trochę takiego konserwatyzmu byłoby uniwersytetom potrzebne?

Żyjemy bowiem w kulturze natychmiastowej reakcji. Każdy temat musi zostać skomentowany od razu, każde wydarzenie wywołuje społeczne wzmożenie, a instytucje ścigają się w deklaracjach moralnych i politycznych. Uniwersytet coraz częściej uczestniczy w tym chaosie jak kolejna platforma społecznościowa. Tymczasem jego siła zawsze polegała na czymś odwrotnym: na dystansie wobec emocji chwili. Jakże go brak etatowym komentatorom z tytułami profesorskimi.

Być może prawdziwie konserwatywny uniwersytet byłby dziś jedną z niewielu instytucji zdolnych powiedzieć: „Poczekajmy. Pomyślmy. Sprawdźmy". Nie dlatego, że boi się zmian, lecz z tego powodu, że traktuje prawdę poważniej niż tempo informacji.

eprasa.pl ab1a4acd9d

Michał Korsun prezentuje:
Miasteczko Gniewu rośnie pod KPRM



Wycinki z przeszłości

Mało kto wie, że przed wojną polska prasa zachwycała się skandynawskimi zwyczajami świątecznymi. W 1930 r. „Ojczyzna" opisywała piękny norweski zwyczaj „juleneg", czyli „snopa wigilijnego" dla ptaków. Nawet „najuboższy" gospodarz wystawiał zboże, tworząc zimą „nakryty stół biesiadny" dla ptactwa. Autor pytał: „Dlaczego nie mielibyśmy zaprowadzić i u nas w Polsce tego pięknego norweskiego zwyczaju?".

(sp)


Opłata pocztowa uiszczona gotówką.

Nr 51. Kielce, dnia 21 grudnia 1930 roku. Rok XIII.

OJCZYZNA

TYGODNIK OŚWIATOWO-SPOŁECZNY DLA WSZYSTKICH.

W JEDNOŚCI SIŁA!

Plan budżetowy na 193

Wigilja ptaków w Norwegji.

Jest kraj, w którym ptakom dzieje się lepiej niż gdziendziej, kraj, w którym latem bardzo nie płoszą ich i nie łapią w sidła, a gdzie raz, w zimie, ubiedzeni się i do nich zakryty stół biesiadny, tak, że zatrzokane wiele tek mrozów choć mogli wesołe serce płacie odżywają, wtedy z radości i wesela. Wprawdzie i my w Polsce, słusznie dumni jesteśmy z naszego obchodu Bożego Narodzenia, którego żaden naród w równie wymowny i rozmowy sposób nie miał podnieść do uroczystości i wdzięczności... Mo- siny jednak opowiedzieć o pewnym narodzie zamieszkałym po drugiej stronie morza, gdzie brzeg wysoko się wspina, gdzie lesny Fin wypedza swe srokie renifery na siedzie szczyty i gdzie...

To Norwegja.

Pamię tam dobry, stary zwyczaj: na Wigilię, kiedy każdy człowiek obchodzi stół swój zadawia, myśli tam serdecznie o ptakach, które nie odlatują na zimę wraz z prastwem przelotnem i zimują na miejscu. Wieczorem tego każdy człowiek w Norwegji, nawet najuboższy, bierze ze swego śpichrza gruby snopek zboża i utwierdza go wysoko na kijo w pobliżu swego domu. Czyniąc to w tym celu, żeby o tej porze roku, gdy warstwa śnieżna zakryje biedaszu ptactwa nędzne i skąpe pożywienie, każdy przyczyni się w ten świąty wieczór do uszczęśliwienia pięknych stów: „Spójrzcie na ptaki niebieskie, iż nie sieją ani żną, ani zbierają do gamion, a wady Ojciec nasz niebieski żywi je..." Ta radość Bożego Narodzenia nosi norweską nazwę «julenegg», co znaczy snop wigilijny. Już na dużą odległość spostrzec można chmary ptasie, które «julenegg taki snopek wyglądzy, i usłyszeć dziękczynny ich świergot.

Przez usta poety norweskiego, Henryka Wergelanda, gromadka ptasia w ten sposób się wypowiada o swym snopie wigilijnym:

Biedny chłopek w lesie w nędznej chacie mieszka,
Ofiarował nam snopek, wmieniony na tyczce.
Trzy ich miał tylko, a jeden nam oddał;
To Dzieciątko Jezus podumało mu cicho tę myśl!
Śnieg przywiali duch jego niski,
Nas zaś snopek ogłania i chroni...
Żadnego ziarnka dziobek nasz nie straci!
I dla nas Zbawiciel się tu narodził.
Niech Bóg błogosławi dawcy serce i rękę
I ten snopek w złoto mu zamieni!

Dlaczego nie mielibyśmy zaprowadzić i u nas w Polsce tego pięknego norweskiego zwyczaju?

Może już w tym roku spróbujemy?

Z WOLEJA

Książe William w szatni z lwami



Ryszard Czarnecki

Aston Villa, klub księcia Williama, następcy brytyjskiego tronu, właśnie wygrał Ligę Europy. Na meczu finałowym w Konstantynopolu, zwanym też Stambułem, syn króla Karola III pojawił się osobiście. „Od zawsze" jest on fanem tego klubu z Birmingham, który – choć istnieje od ponad półtora wieku – pozostaje w cieniu choćby gigantów z Londynu: Chelsea i Arsenalu. Polscy kibice trzymają kciuki za Aston Villę, bo gra tam nasz reprezentant, urodzony skądinąd na Wyspach Brytyjskich Matty Cash.

W finale angielska drużyna z reprezentantem Biało-Czerwonych znokautowała niemiecki klub SC Freiburg. Znam wielu rodaków, którzy konsekwentnie i w sposób do bólu przewidywany podczas międzynarodowych meczów piłkarskich (i nie tylko piłkarskich) zawsze dopingują... przeciwników klubów z Niemiec. Zapewne w myśl zasady: „Jak świat światem, nie będzie Niemiec Polakowi bratem".

Wspomniany książę William kiedyś szczerze wyjawił, dlaczego kibicuje mniej znanej Aston Villi, a nie Manchesterom czy Liverpoolowi. Powiedział, że nie chciał kibicować drużynom, które wspierają „wszyscy". To akurat dobrze o nim świadczy. „Lwy", jak określają ich fani, w swojej 152-letniej historii zdobyli mistrzostwo Anglii raptem siedem razy, z czego sześć w latach 1894–1910. Ostatni raz mieli „majstra" w... roku urodzenia (1981) wspomnianego już księcia Walii Williama Arthura Philipa Louisa. Przed finałem LE książę zagrzewał piłkarzy swojego klubu w stambulskiej szatni, co zresztą czyni systematycznie. Jak widać skutecznie, bo Aston Villa po raz drugi sięgnęła po europejski puchar (Ligę Mistrzów wygrała 44 lata temu).

Klub księcia Williama, grający w bordowo-błękitnych strojach (a na wyjazdach w czarnych), ma dwóch współwłaścicieli: miliardera z Egiptu oraz biznesmena z USA. Trenuje go Hiszpan Unai Emery. To łowca pucharów w Lidze Europy – na brzegu Bosforu zdobył już piąty, a uczynił to z czterema klubami. Dla polskich kibiców ważniejsze jest to, że w klubie tym grało lub gra czterech naszych rodaków. Kiedyś był to Dariusz Kubicki, niedawno Jan Bednarek, teraz wspomniany Matty Cash, a także wypożyczony z tego klubu bramkarz Oliwier Zych, który z Rakowem Częstochowa dotarł w tym sezonie do finału Pucharu Polski. Aston Villa to na pewno mniej „polski" klub niż kiedyś Borussia Dortmund z Lewandowskim, Błaszczykowskim i Piszczkiem, AJ Auxerre czy RC Lens, jednak wystarczająco „polski", aby cieszyć się jego środową wiktorią nad Niemcami na tureckiej ziemi.

eprasa.pl ab1a4acd9d



OD A DO ZYBERTOWICZ

Cyfrowa Pytia delficka

Najgorsze wcale nie jest to, że maszyna wie o nas więcej. Najgorsze jest to, że coraz chętniej pozwalamy jej decydować, co z tej wiedzy wynika

Czy dziś wszystko jest policzone? Nasze kroki zrobione w ciągu dnia, lajki na Instagramie, transakcje blikiem. Także migranci, którzy w ostatnim roku przybyli do Polski, bezrobotni, wypadki samochodowe i mandaty z ostatniego miesiąca oraz planowane do wyrębu drzewa...

DANE, DANE

Mnóstwo informacji o ludziach, procesach, zjawiskach – zgromadzonych głównie dzięki nowoczesnym technologiom. Coraz potężniejsze zbiory danych. Całe oceany wszelakich informacji. Ale te najważniejsze dotyczą nas samych, naszych najgłębszych sekretów. W czyich rękach są?

A może takie pytanie jest już bez sensu, bo któż, prowadząc analizy statystyczne, nie sięgnie po sztuczną inteligencję? Wielu analityków, opracowując ogromne zbiory danych, korzysta z pomocy chatów, które od ręki podają instrukcje i kody pozwalające otrzymać wykresy lub tabele mogące uchwycić dowolne korelacje.

Gromadzimy coraz więcej danych, wydaje się nam, że coraz dokładniej je porządkujemy, coraz sprawniej przetwarzamy, jednak coraz rzadziej próbujemy ogarnąć ich całościowy sens.

NARZĘDZIE CZY WSPÓŁPRACOWNIK

Nauka zaczyna przypominać przepastne archiwum wyników zamiast projektu zrozumienia rzeczywistości. Ale nie to jest najpoważniejsze. Badacze-humaniści od dawna zwracają uwagę, że zbyt często zadowalamy się produkowaniem danych, które nie układają się w sensowne całostki wiedzy dającej rozumienie świata. Ale może sedno problemu leży w tym, że my, ludzie, nie jesteśmy już sami w archiwizowaniu świata. Kluczowym współpracownikiem (to coś więcej niż „narzędzie") stała się sztuczna inteligencja.

Co więcej, trzeba już zakładać, że w pewnym sensie nieźle „prześwietliła" nasz świat. Przetwarza dane w skali i tempie, które dla człowieka są nieosiągalne.

Błyskawicznie wychwytuje wzorce, odkrywa podobieństwa, „widzi" łańcuchy przyczynowo-skutkowe, znajduje niedostrzegalne dla nas odstępstwa od normy. Innymi słowy, buduje modele powiązań szybciej, niż jesteśmy w stanie w ogóle zauważyć, że wyłania się jakaś szansa czy problem.

LEPIEJ ROZUMIEMY ŚWIAT?

Właśnie tego nie wiemy. Słabo pojmujemy, w jaki sposób AI porządkuje i analizuje dane. Nie wiemy dokładnie, które dane są wybierane, a które pomijane; jakie uproszczenia są wbudowane w modele, które w tak wielu dziedzinach życia wydają się szczególnie użyteczne.

W efekcie nie znamy zasad, według których AI nas klasyfikuje ani nie wiemy, co z takich klasyfikacji wynika. Decyzje bazujące na tych modelach mogą utrwalać niejawne wartości i niesprawiedliwe hierarchie.

W pewnym sensie nie tylko oddaliśmy maszynom prawo do interpretacji rzeczywistości, lecz być może wyhodowaliśmy wyrocznię naszego losu. Nie taką, która mówi zagadkami, lecz taką, która przelicza dane natychmiast i diagnozuje bez wahania. I zarazem – co wykazały badania z ostatniego roku – nie wszystkim się z nami dzieli.

Algorytmy nie muszą niczego „przeczuwać", bo po prostu błyskawicznie liczą. Przetwarzają dane, których ani nie widzimy, ani nie jesteśmy w stanie ogarnąć. Wybierają te, które uznają za ważne. I dzięki temu przewidują nasze zachowania na podstawie symptomów, o których nawet byśmy nie pomyśleli.

WŁADCZYNI

Współczesna Pytia nie przemawia dymem i trójnogiem. Jej wyrocznie mają postać wskaźników, scoringów i prognoz, których już nie kwestionujemy, bo „tak wyszło z danych". I właśnie w tym tkwi sedno. Najgorsze wcale nie jest to, że maszyna wie o nas więcej.

Najgorsze jest to, że coraz chętniej pozwalamy jej decydować, co z tej wiedzy wynika – dla nas, o nas i zamiast nas. W milczeniu oddajemy nie tylko dane. Oddajemy prawo do ostatecznej interpretacji świata. I pewnego dnia obudzimy się w rzeczywistości, którą nie tylko opisano, lecz także orzeczono za nas – czysto, precyzyjnie i bez odwołania.

Moją jedyną nadzieją jest wiara, że ostatnie słowo i tak należy do Boga. Dopóki bowiem przetrwają ci, którzy wierzą, że nad każdym – ludzkim czy nieludzkim – systemem istnieje prawda zakorzeniona w Nim, dopóty sumienie pozostanie w nas jako ostatnie, niezawodne narzędzie odróżniania dobra od zła.

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl ab1a4acd9d

wPolsce 24

POLITYKA NA DESER

Poniedziałek - sobota o 21:45



Zapraszamy na wieczorny przegląd dnia
i publicystykę z nutą ironii

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

telewizja naziemna	polsat box	CANAL+	netia	orange	vectra	PLAY	inea	TOYA	evio	multiMedia	YouTube
52	909 921, 196	62	192	32	825	65 339, 121	459	631	43	EPG 825, EPG PON 257	TelewizjawPolsce24

eprasa.pl ab1a4acd9d

Wesprzyj dziennikarstwo śledcze – fundament misji telewizji wPolsce24

Patrzymy władzy na ręce.
Tropimy afery.
Demaskujemy kłamstwa.
Ujawniamy niewygodne fakty.

Wojciech Biedroń
dziennikarz telewizji wPolsce24
laureat nagród SDP za reportaże śledcze



Oglądaj reportaże śledcze **w każdy poniedziałek o 20:05**

WSPIERAJ wPolsce24

wesprzyj.wpolsce24.tv

numer konta FRATRIA S.A.:
69 1020 4900 0000 8202 3036 2577
tytuł wpłaty:
DAROWIZNA

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

eprasa.pl ab1a4acd9d